

MIESIĘCZNIK
Kurjera Polskiego



Zeszyt VII.

na

LIPIEC

1901.



TREŚĆ:

- I. Emerytury robotnicze *K. Jankowski*.
- II. Z papierów po *Walerie. Emdynand Hoastick*.
- III. Kwiatożerca kwiaty (z rysunkiem).
- IV. Z prasy. (Spół o granicę w Tatrach. Królestwo i kongresowo).
- V. Po lodowcach i w ydmach.
• *Sven Hedén*.
- VI. Siedem cudów świata (z rysunkiem).
- VII. Ze świata kobiecego (z rysunkiem).
• *E. Żmijewska*.
- VIII. Rozmaitości.
- IX. Kapitan Lemigława, *Wigwam* (z ryłkami).
- X. Miec i Łowca (powieść). *H. Janulicki*.

Adres Redakcji: S-to Krzyżka 84, (Iasna 2).

WARSZAWA.

Druk. M. Lewincki i S-ka

Jasna 2, róg S-to Krzyżkiej.

Składy Zyrardowskie

Krakowski Przedmieście No 55 i Nowy Świat No 30
polecają:

**PLÓTNA. WYROBY POŃCZUSZNICZE. BIELIZNA.
Koldry, Dywany, Portjery, Firanki.**



Miesięcznik KURJERA POLSKIEGO

pod redakcją

Ludwika Straszewicza.

Tom III

r. 1901.

J. KOWALCZYK
LUBLIN



66

WARSZAWA

Drukarnia M. Lewiński i Syn, Jasna № 2.

1901.

С 202. 2922/1901/7-9

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Сентября 1901 года.

к 294/63

LIBRARY
IMCS

S P I S R Z E C Z Y

zawartych w tomie III za r. 1901 „Miesięcznika Kurjera Polskiego“.

Str.

Sprawy społeczne.

Emerytury robotnicze. <i>K. Puffke</i>	1
Przemysł domowy w Rosji	232
Walka z nędzą i żebractwem	394

H i s t o r j a.

Siedm cudów świata	101
Sześćset lat stosunków polsko-pruskich. <i>Czesław Jankowski</i>	177, 353

Krajoznawstwo.

Po lodowcach i wydmach. <i>Podróż doktora Swena Hedina</i>	93
Podbój pustyni	274

L i t e r a t u r a.

Z prasy. (Spór o granicę w Tatrach. — Królestwo Kongresowe	63
Z prasy. (Teatr Ludowy w Warszawie. — Przewodów niechlujstwu)	289
Z prasy. (W Poznańskim)	40

Artykuły różne.

Z papierów po Elsnerze. <i>Ferdynanda Hoesicka</i>	13, 207
Zniżają się szczyty, otwierają się góry	459

P o w i e ś c i.

Krwiożeroze kwiaty	47
Kapitan Łamigłowa (w każdym zeszyocie).	

	<i>Str.</i>
Miecz i Łokieć. <i>Wiktora Gomulickiego</i> (w każdym zeszytcie).	
Samko Ptak. Legenda słowacka przez <i>Juljusza Zeyera</i> .	251
Amerykanka.	426

P o e z j e.

Zakochał się djabeł w suchej wierzbie. <i>Wincenty</i> <i>Kosiakiewicz</i>	390
---	-----

Ze świata kobiecego.

Mody, rady i wskazówki ze wszystkich dziedzin życia domowego,
przepisy praktyczne i t. d. (w każdym zeszytcie).

Rozmaitości.

Naukowe, społeczne. Zadania, łamigłówki i t. d. (w każdym zeszytcie).

Emerytury robotnicze.

Starzy ludzie opowiadają chętnie, jak to za dawniejszych czasów człowiek żył dłużej, cieszył się lepszym zdrowiem, opływał w dostatki i w ogóle wiódł żywot nadzwyczaj szczęśliwy. Ostatnia zwrotka tych opowiadań streszcza się stale w twierdzeniu, że świat nasz dąży szybkim krokiem ku niechybnemu upadkowi. A jednak przypuszczenie to o fizycznym i moralnym wyradzaniu się rodzaju ludzkiego jest fikcją, która ani chwili ostać się nie może wobec wyników ścisłej nauki. Zapewne, że i dzisiaj jeszcze dalecy jesteśmy od ogólnej szczęśliwości. Wszelkie też prawdopodobieństwo zdaje się przemawiać za tem, że stan ten nigdy nie będzie udziałem ludzkości, a to z tej prostej przyczyny, że aby go osiągnąć, trzeba by przedtem zmienić do gruntu naturę ludzką, będącą mieszaniną ujemnych i dodatnich pierwiastków, złych i dobrych namiętności. Złe zaś te pierwiastki i instynkty cywilizacja osłabić jedynie może, nigdy zaś wykorzenić w zupełności. Mimo to wszystko spostrzegamy jednak, badając uważnie i bezstronnie dzieje narodów i społeczeństw, powolny wprawdzie, lecz bezustanny postęp, stale i ostatecznie wieńczone pomyslnym skutkiem dążenie ku wytwarzaniu coraz to lepszych wa-

runków, zarówno materialnego, jak moralnego bytu jednostki. Postęp ten ogarnia wszelkie dziedziny życia, wszelkie warstwy społeczne; najwyraźniej jednak ujawnia się w stanowisku, jakie wszędzie prawie wywalczyła sobie fizyczna praca.

Praca ta w wiekach starożytnych była przedmiotem powszechnej pogardy. Nawet tak wysoce zkażdą ucywilizowane narody, jak starożytni Grecy i Rzymianie powierzali ją wyłącznie prawie niewolnikom. Pewną zmianę wywołało pod tym względem chrześcijaństwo, którego boski Założyciel nie otaczał się możnymi tego świata, lecz wyłącznie prawie prostaczkami. Z czasem jednak zatarł się w zwyczajach ludzkości ten wyniosły przykład Zbawiciela i w państwach chrześcijańskich zepchnięto znów pracę ręczną na szczebel najniższy, i te jedynie warstwy cieszyły się znaczeniem i wpływami, które nie pracując same, żyły z pracy rąk obcych. Zawsze jednak o tyle postąpiła ludzkość naprzód, dzięki chrześcijaństwu, że zniesiono niewolę, przynajmniej w najjaskrawszych, i najbardziej upodlających godność człowieka jej formach.

Dopiero jednak w ostatnich czasach praca ręczna zdobywać sobie zaczyna przynależne jej w życiu społecznym i gospodarczym stanowisko. Rzecz prosta, że to zwycięstwo było łatwiejsze i nastąpiło prędzej w krajach postępowych, niż w zacofanych społeczeństwach. Gdy więc w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki od wieku już z górą praca ręczna cieszy się zupełnym równouprawnieniem z wszelkimi innymi dziedzinami działalności ludzkiej, a hańbi człowieka jedynie próżniactwo, u nas i dzisiaj jeszcze w największej liczbie wypadków, pozbawiony środków materialnych potomek wysokiego rodu poczytywałby za ujmę dla siebie i swej rodziny, gdyby zarabiać chciał pracą rąk własnych na kawałek chleba. Wytwarza się więc w ten sposób zastęp pasożytów społecznych, nie tylko nie produkujących nic osobiście, lecz żyjących z pracy obcej, pasożytów, dla których w społeczeństwach

prawdziwie ucywilizowanych nie ma już dzisiaj miejsca. Swoją drogą zaprzeczyć się nie da, że u i nas ujawnia się na tem polu powoli lecz stale zmiana ku lepszemu, i przestarzałe, a nierozumne i pod względem społecznym i gospodarczym wprost szkodliwe te zapatrywania ustępują coraz bardziej miejsca rozumniejszym poglądom.

Zresztą i z innych względów kwestja robotnicza i kwestja pracy ręcznej w ogóle nabiera dzisiaj daleko większego niż w dawniejszych czasach znaczenia. Wchodzi więc w grę nie tylko olbrzymi w ostatnich czasach we wszystkich społeczeństwach cywilizowanych rozwój, ale co ważniejsza i skupienie przemysłu. Dawniej gdy znaczną część przedmiotów, potrzebnych do codziennego użytku wyrabiano w domu, liczba robotników ani w przybliżeniu nie była tak wielką, jak dzisiaj, gdy praca fabryczna wyparła już prawie w zupełności przemysł domowy, gdy nadto zwiększyło się w nieznanym dawniej sposób zapotrzebowanie wszelkiego rodzaju wytworów. Polityczne zaś równouprawnienie z innymi warstwami ludności zapewnia wzrastającym stale jednocześnie z rozwojem przemysłu zastępom robotniczym i wpływ odpowiedni na wszelkie dziedziny życia publicznego, a zwłaszcza na prawodawstwo. Rządy więc państw pojedynczych już we własnym swym interesie liczyć się muszą z przedstawicielami pracy ręcznej, uwzględniać ich potrzeby, starać się o polepszenie ich położenia materialnego i moralnego.

Potrzeba ta, czy konieczność, dała też główny powód do reform społecznych, do prawodawstwa socjalnego. Pierwsze wkroczyły na drogę tych reform Niemcy, które przed dwunastu laty powołały do życia instytucję ubezpieczenia robotników na wypadek starości lub niezdolności do pracy. Olbrzymie to i błogie w swych skutkach dzieło zapoczątkowane zostało przez rząd niemiecki, czyli, wyrażając się ściślej, osobiście przez cesarza Wilhelma I. Zarówno bowiem robotnicy

jak i pracodawcy zajęli w pierwszej chwili wobec projektu ubezpieczenia wręcz nieprzychylną postawę. Pierwsi opierali się ponoszeniu ofiar na instytucję, która w dalekiej dopiero przyszłości przynosić im miała odpowiednie korzyści. W opozycji zaś tym wzmocniali jeszcze robotników niesumienni wichrzyciele, czerpiący w niezadowoleniu warstw robotniczych główne źródło swego znaczenia, a tem samym przeciwni wszelkim środkom, dążącym ku usunięciu tego niezadowolenia, ku wytworzeniu robotnikom znośniejszych warunków bytu. Pracodawcy znów żywili obawy, że wytwórczość niemiecka, obciążona nowym tym ciężarem, nie wytrzyma współzawodnictwa z krajami, produkującymi w korzystniejszych warunkach. Większość jednak reprezentacji narodu niemieckiego przeszła nad tym uporem i nad temi obawami do porządku dziennego i uchwaliła przedstawione jej przez rząd prawo o ubezpieczeniu robotników. Reforma ta nie zawiodła też pokładanych w niej przez jej twórców nadziei. Dzisiaj po dwunastoletnim istnieniu ubezpieczenia ustał w zupełności opór robotników, którzy przekonali się już o użyteczności tej instytucji. Nie stwierdzały się również obawy pracodawców co do upadku wytwórczości niemieckiej. Owszem przemysł niemiecki, pomimo ofiar, składanych na ubezpieczenie robotników, właśnie w ubiegłym dziesięcioleciu doszedł do zdumiewającego rozwoju.

Niemieckie prawo o ubezpieczeniu obejmuje wszystkich wogóle robotników płci obojej, zarówno przemysłowych jak rolnych, nie wyłączając służby domowej ani cudzoziemców. Ubezpieczeni dzielą się podług wysokości swego zarobku na pięć klas, czy kategorii. Ubezpieczony opłaca tygodniowo pewną przez prawo ustanowioną składkę, której wysokość unormowana jest odpowiednio do jego zarobku. Taką samą składkę pracodawca opłaca od każdego swego robotnika. Składka ta wynosi rocznie najmniej 3 marki 29 fenigów, najwyżej 8 marek 46 fenigów. Oprócz te-

go państwo dopłaca z własnych funduszków do każdego ubezpieczenia, pewną z góry oznaczoną kwotę. Ubezpieczenie jest obowiązkowe i państwowe, czyli, że robotnik musi się ubezpieczyć w państwowej instytucji ubezpieczeń. Rzecz prosta, że ubezpieczenie to państwowe nie pozbawia go możliwości ubezpieczenia się niezależnie od tego na własne ryzyko w tej czy owej instytucji prywatnej, w kasie dla chorych, Towarzystwie wzajemnej pomocy, Stowarzyszeniu zawodowym i t. p.

* * *

Francja uchodzi słusznie za kraj klasyczny wszelkiego rodzaju przewrotów politycznych. Dość przypomnieć, że kraj ten w ciągu jednego tylko ubiegłego wieku siedm czy ośm razy zmieniał swą formę rządu. Zważyć przy tem należy, że i dzisiaj pomimo niewątpliwego w ostatnich lat dziesiątkach zakorzenienia się instytucji republikańskich w szerokich warstwach ludności francuskiej, nie są bynajmniej wyłączone te, czy owe niespodzianki polityczne. Z rozmaitych bowiem stron zagrażają obecnemu ustrojowi państwowemu dość poważne niebezpieczeństwa i budzić się zaczyna coraz energiczniejsza opozycja przeciwko parlamentarnemu rządowi czy nierządowi, wiodącemu jakoby kraj nad brzeg materjalnej i moralnej przepaści.

Przedewszystkiem też w tem gorączkowym oddawaniu się całego narodu zagadnieniom politycznym, szukać należy przyczyny faktu, trudnego do pojęcia na pierwszy rzut oka, że kraj ten, który przodował Europie przez wiek prawie cały we wszelkiego rodzaju zmianach politycznych, a niezależnie od tego torował drogę postępowi i cywilizacji, na polu reform społecznych pozostał tak daleko w tyle po za innymi państwami. Gdy więc zacofane, monarchiczne i arystokratyczne Niemcy już przed kilkunastu laty zaprowadziły u siebie obowiązkowe państwowe ubezpieczenie ro-

botników na starość i od nieszczęśliwych wypadków, postępową, republikańską i demokratyczną Francją, dopiero przed kilku tygodniami przystąpiła do obrad nad tą reformą.

Istnieją jednak i inne jeszcze ważne bardzo przyczyny tego zastoju we francuskim prawodawstwie społecznym.

Najpierw więc uprzytomnić sobie wypada, że tak ruchliwy i zmienny pod względem zapatrywań politycznych Francuz konserwatyzmem społecznym przewyższa wszelkie inne narody. Z samej natury rzeczy naród ten wielkich i drobnych kapitalistów mało jest skłonny do eksperymentów prawodawczych, utrudniających tworzenie się kapitałów i osłabiających przynajmniej do pewnego stopnia wrodzonego wszystkim jego warstwom i stanom ducha oszczędności. Dalej dzierżąca i w dzisiejszej Francji samowładne panowanie kapitalistyczne burżuazja opiera się z cechującym wszędzie i zawsze tę warstwę społeczną egoizmem środkiem, które, rzecz prosta, odbijają się przedewszystkiem na jej własnej kieszeni.

Wreszcie zaprzeczyć się także nie da, że położenie robotnika jest we Francji pod wielu względami pomyślniejsze, a tem samem mniej się domaga poprawy za pomocą środków państwowych, niż w wielu innych krajach. Od wieku więc już z górami zniknął w stosunkach pomiędzy francuskimi prawodawcami a robotnikami dawny patryarchalizm, korzystny niewątpliwie w danym razie dla stron obu, lecz otwierający także wrota rozmaitym nadużyciom i zatargom, i obie strony traktują z sobą na stopie zupełnej równości społecznej i gospodarczej. Przytem dzięki właściwej francuskiemu charakterowi narodowemu uprzejmości, stosunek osobisty pomiędzy pracodawcą a robotnikiem jest daleko znośniejszy, niż np. w sąsiednich, stosujących i w sprawach robotniczych ciętość i surowość wojskową, Niemczech.

Co zaś najważniejsza, to fakt, że i warunki zarobkowe są we Francji korzystniejsze, niż gdzieindziej i zręczny, inteligentny i oszczędny robotnik o własnej sile zapewnić sobie może byt na starość i uciekać się nie potrzebuje do pomocy państwowej. Wszystko to razem wzięte, nie pozwala niezadowoleniu szerzyć się zbyt groźnie wśród francuskiej ludności robotniczej, a tem samem, choć nie uchyla w zupełności potrzeby reform społecznych, to jednak zmniejsza ją znacznie.

Zresztą i z tego powodu domaganie się reform społecznych we Francji nie było tak natarczywe, jak w niektórych innych krajach, że przywódcy stanu robotniczego, wyrażając wszystkie swe siły na zdobycie wpływu politycznego, przynajmniej do niedawna mało poświęcali uwagi zagadnieniom społecznym, a w szczególności polepszeniu losu materialnego warstw pracujących. Do pewnego stopnia ci przywódcy walczyli nawet i zwalczają dzisiaj jeszcze wszelkie projekty, zmierzające do tego polepszenia, upatrując w nich, po części słusznie, niebezpieczeństwa dla swego wpływu, czerpiącego główne swe źródła w ogólnem niezadowoleniu robotników.

Pomimo to wszystko myśl reform społecznych, a w szczególności ubezpieczenia robotników kielkowała od dość już dawna we francuskiej reprezentacji narodu, i w ciągu ostatnich lat kilkunastu opracowano w tym przedmiocie i złożono izbie około sześćdziesięciu projektów. Dopiero jednak w ostatnich czasach, gdy w gabinecie francuskim zasiada dwóch zdeklarowanych zwolenników reform społecznych, gdy przytem zbliżające się wybory do nowej izby deputowanych, zmuszają ojców francuskiego narodu do zjednywania sobie za każdą cenę przychylności wyborców, sprawa ta przybiera szybsze tempo, i projekt ubezpieczenia robotników zbliżać się zdaje ku swemu urzeczywistnieniu.

Przedstawiony francuskiej izbie deputowanych projekt ubezpieczeń, obejmuje wszystkich robotników

i urzędników francuskich w wieku do lat sześćdziesięciu pięciu, nie zarabiających więcej niż 4000 franków rocznie. Ubezpieczeni podzieleni są odpowiednio do swego zarobku na trzy klasy. Klasa pierwsza, którą stanowią robotnicy zarabiający mniej niż dwa franki dziennie płaci na ubezpieczenie po pięć centymów, klasa druga, zarabająca od dwóch do pięciu franków, po dziesięć centymów i klasa trzecia, zarabająca po nad pięć franków, po piętnaście centymów. Taką samą składkę opłaca od każdego ubezpieczonego pracodawca. Składki zarówno swoje własne, jak swych robotników pracodawca wnosi na rachunek ubezpieczonego do instytucji nazwanej „Kasą narodową emerytur robotniczych“, pozostającej pod kierunkiem ministra handlu, a zarządzanej w części swej finansowej przez państwową „Kasę depozytów“. W innych słowach państwo skupiać będzie w swych rękach całe ubezpieczenie. Ta sama „Kasa narodowa emerytur“ otrzymywać będzie od pracodawców po 25 centymów dziennie od każdego robotnika lub urzędnika cudzoziemca. Te dwadzieścia pięć centymów nie będą jednak wnoszone na rachunek robotnika, lub urzędnika zagranicznego, który nie ma prawa do jakiegokolwiek emerytury. Mieć one będą charakter podatku na zatrudnianie robotników zagranicznych, i służyć do opłacania kosztów administracji „Kasy emerytur“ obliczonych na 10 do 15 milionów franków.

Emerytury domagać się wolno każdemu ubezpieczonemu, począwszy od pięćdziesiątego piątego roku życia. Oblicza się ona podług wysokości składek, dokonanych na rzecz interesowanego, a oprocentowanych w stosunku trzech od sta. Minimum emerytury nie ustanawia projekt. Państwo pośredniczy o tyle tylko, że zabezpiecza „Kasie emerytur“ 3 procent od jej funduszków. Każdemu ubezpieczonemu przysługuje prawo wybierać przy obliczeniu przyszłej swej emerytury pomiędzy formą kapitału „na przepadłe“ (capital aliené), a kapitału zastrzeżonego (capital réservé), czyli

że wolno mu rozstrzygać, czy składki służyć mają wyłącznie dla niego, lub też zwrócone będą po jego śmierci rodzinie. W drugim tym wypadku emerytura będzie, rzecz prosta, daleko niższa. W ten sposób robotnik, który opłacał składki, począwszy od dwudziestego roku życia, i jeżeli „Kasa“ zapisywała na jego dobro po 50 fr. rocznie, aż do sześćdziesiątego piątego roku, pobierać będzie, począwszy od tego terminu, 802 fr. emerytury rocznej, jeżeli płacił składki na fundusz „przepadły“, a tylko 454 franki, jeżeli ubezpieczenie, czyli 2,250 franków przechodzi na spadkobierców.

Jeżeli uczestnik „Kasy“ staje się niezdolnym do pracy przed sześćdziesiątym piątym rokiem i jeżeli składki na jego korzyść przedstawiają co najmniej 2000 dni pracy czyli przecięciowo sześć do ośmiu lat uczestnictwa w „Kasie“, to otrzymuje prawo do emerytury dla inwalidów pracy. Emerytura ta będzie obliczana podług składek złożonych i na podstawie 3 procent, zagwarantowanych przez państwo. Jeżeli ta emerytura nie dosięgnie 200 fr., i jeżeli inwalida nie posiada innych źródeł; „Kasa“ dopełni różnicę, aż do 200 franków.

Państwo ponosi trzy czwarte tej dopłaty, departament 15%, a gmina resztę, czyli 10%. Dla starych pracowników, którzy przekroczyli sześćdziesiąty piąty rok życia w chwili, w której nowe prawo o ubezpieczeniach wnijdzie w życie, państwo wyznaczy fundusz w wysokości 15 milionów rocznie. Fundusz ten będzie rozdzielany pomiędzy tych pracowników w ten sposób, że emerytura żadnego z nich przekraczać nie może 100 franków. Prawo do tej emerytury przysługiwać będzie jednak wyłącznie robotnikowi, który wykaże się z co najmniej trzydziestu lat pracy.

W głównych zarysach projekt francuski odwzorowany jest na na odnośnem prawie niemieckiem. Widzimy więc w nim ten sam podział ubezpieczonych na klasy zarobkujące, to samo opłacanie składek przez pracodawców i pracowników, tę samą wreszcie przynajmniej przy emeryturach inwalidów pracy dopłatę

ze strony państwa. Istnieją jednak także dość ważne różnice. Przedewszystkiem więc wysokość składek jest w projekcie francuskim daleko znaczniejsza, niż w prawie niemieckiem. Gdy bowiem w Niemczech pracodawca i robotnik płacą rocznie od każdego ubezpieczonego najmniej po 3 marki 29 fenigów, a najwyżej po 8 marek 46 fenigów; w projekcie francuskim odnośne kwoty wynoszą 12 i 36 marek. Wreszcie w Niemczech ubezpieczony korzysta z emerytury dopiero w 70-ym roku życia, we Francji już w 65-ym roku.

Projekt ubezpieczenia robotników spotyka się we Francji z dwóch stron ze stanowczą opozycją. Część więc powołanych czy nie powołanych obrońców ludności robotniczej, odrzuca go jako nie wystarczający, jako lichą jałmużnę, rzuconą robotnikom, aby zamydlić im oczy i odwieść od dochodzenia słusznych jakoby praw swoich. Przedstawiciele znów kapitalizmu dowodzą, że społeczeństwo francuskie aż nadto obciążone wszelkiego rodzaju podatkami, żadną miarą ponosić nie jest w stanie nowego tego, wynoszącego podług tymczasowych obliczeń około 260 milionów franków rocznie ciężaru i przewidują, jako następstwo zamierzonej reformy niechybną w bliższej czy dalszej przyszłości ruiną materialną Francji. Przykład Niemiec, zdaniem tych przeciwników zamierzonego ubezpieczenia robotników, nie dowodzi niczego; w tem państwie bowiem panują zgoła odmienne warunki produkcji. W Niemczech przeważa produkcja wielka, we Francji wytwórczość drobna. Wielki przemysłowiec niemiecki bez trudności opłacać może daleko zresztą niższą, niż przewidywana w projekcie francuskim, składkę od swych robotników. Pracodawca francuski zatrudniający kilku robotników, w największej liczbie wypadków, wiążący za ledwie koniec z końcem, zamknąć będzie zmuszony swój warsztat, skoro mu przyjdzie opłacać od każdego z tych robotników 15 do 45 franków rocznie. Zapewne, że ludność francuska

jest, biorąc na ogół, zamożniejsza niż niemiecka, ale obarczają ją też daleko większe ciężary. Gdy bowiem w Niemczech na głowy ludności przypada przeciętnie 15,28 marek podatków pośrednich, a 6,07 marek bezpośrednich; we Francji podatki te wynoszą na głowę 33,72 i 16,59 marek.

Zarzutem tym trudno odmówić pewnej słuszności. Nie są one jednak tego rodzaju, aby przekonać mogły o szkodliwości zamierzonej reformy. Zważyć należy, że nie ma w ogóle poważniejszej zmiany w życiu społecznym i gospodarczym, któraby dała się przeprowadzić bez uszczerbku dla tych czy owych praw i interesów. Chodzi tylko o to, czy korzyści, wypływające z takiej reformy przeważają wyrządzone przez nią szkody; a co do tego, przy ubezpieczeniu robotników na wypadek starości lub niezdolności do pracy, nie może być chyba dwóch zdań różnych. Dopiero to ubezpieczenie zapewnia robotnikowi pełne społeczne i gospodarcze równouprawnienie z innymi warstwami ludności, odsuwa od niego dręczące go bezustannie widmo nędzy na starość, a tem samem i usuwa główną przyczynę niezadowolenia. Z gruntu przy tem fałszywe jest zdanie, odzywające się tu i owdzie, aby przymusowe ubezpieczenie tamowało osobistą inicjatywę i oszczędność u robotnika. Przykład Niemiec wykazał, że owszem to ubezpieczenie stało się potężnym bodźcem do oszczędności, podziało pedagogicznie na robotników, bo dowiodło im naocznie, jak wielkie moralne i materialne korzyści zapewnia im reforma, przeprowadzona wbrew ich woli.

O ile też sądzić można z dotychczasowego przebiegu obrad francuska reprezentacja narodu pomimo oporu kół kapitalistycznych i socjalistycznych, uchwaliła znaczną większością głosów przedstawiony sobie projekt ubezpieczenia robotników i wprowadzi wreszcie w życie reformę społeczną, oczekującą od tak dawna swego załatwienia. Nie ulega zaś wątpliwości, że reforma ta przyczyni się nie mało do osłabienia

nieporozumień i walk wewnętrznych, rozdzierających w ostatnich czasach społeczeństwo francuskie.

Wszelkie prawdopodobieństwo zdaje się przemawiać za tem, że za przykładem Niemiec i Francji podążą prędzej czy później i inne kraje i społeczeństwa, zapewnią, przedstawicielom i inwalidom pracy znośniejsze warunki bytu, podnosząc jednocześnie i godność ich osobistą przez przyznanie im odpowiedniej opieki państwowej.

K. Puffke.

Z papierów po Elsnerze

1769 — 1854.

Przyczynki do historii teatru i muzyki w Polsce

Przygotował do druku i objaśnieniami opatrzył

Ferdynand Hoesick.

— „Jakże to może być, Wasza Ekscelencjo—rzekłem— ażeby tak się stało bez żadnego względu na tego pisma urzędowego? Czyliż i do siebie nie mogę wziąć tego fortepianu?“ — „Rób pan, jak się panu podoba — odpowiedział na to minister — ale na teraz nie może być inaczej“.

Wziął go więc marszałek dworu, Broniec.

W roku 1809 Austriacy zajęli Warszawę, nastał nowy stan rzeczy, wszakże ja, po staremu, nie mogłem trafić do ładu, aż nareszcie w roku 1813 dostaliśmy się pod ojcowskie panowanie błogosławionej pamięci Cesarza Aleksandra I. Udałem się następnie do hr. Nowosilcowa z prośbą, aby choć Erard'a zaspokojono. Hrabia, zdając mi się wielkim miłośnikiem muzyki, gdyż nieledwie codziennie widywaliśmy się u pani Szymanowskiej, robił mi wprawdzie nadzieje, lecz wszystko to skutku pożądanego nie sprowadziło. Zaledwie zdołałem odebrać do siebie nareszcie fortepian, który mi

Broniec niechętnie oddawał... Wprawdzie generał Wołowicz, będąc w 1809 roku w Warszawie, gdy mu nieszczęsne przejścia fortepianu opowiadałem i przedstawiłem, a prosiłem o uniewinnienie mnie przed Erard'em w Paryżu, powiedział mi, że tenże do mnie najmniejszej pretensji nie miał i mieć nie może, ponieważ nie pierwszy to i nie ostatni zapewne fortepian, na którym olbrzymia jego fabryka szkodzi. „Nie troszcz się pan wcale — dodał generał Wołowicz — a swoją drogą czyn, co będziesz tylko mógł“. Zawsze też i ciągle miałem na myśli załatwienie w końcu tego interesu. Lecz z biegiem czasu nadszedł rok 1830, podczas którego całe moje mienie postradałem. Mała wiejska zagroda, w której ów nieszczęsny fortepian znajdował się, spalona i zniszczoną została do tego stopnia, że szukać musiano następnie miejsca, na którym stały niegdyś moje budowle. W ten sposób przez 40 lat pracy zebrany mająteczek w mgnieniu oka straciłem, gdyż wszystkie inwentarze, sprzęty gospodarskie i domowe, a między nimi i Erard'a fortepian wraz z drugim stały się pastwą... płomieni! Żałuję i ubolewam po dziś dzień, iż nie jestem w możności dowieść sumieniem braciom Erard'om mojej uczciwości i rzetelności!

Z tego to względu drogo mnie kosztuje pamięć Napoleona, tego wielkiego... wodza. Zamiast bowiem otrzymania nagrody za utwór opery *Andromedy*, trzykrotną poniosłem szkodę.

Opera moja, prócz kilkunastokrotnego przedstawienia w Warszawie, była jeszcze grana w Gdańsku w 1811 roku, gdzie Bogusławski wraz z towarzystwem dramatycznym na żądanie pułków polskich, składających załogę tego miasta, zjechał. Po przedstawieniu tej opery 15 sierpnia, komendant twierdzy generał Rapp, nazajutrz rano przysłał do kasy teatralnej 30 napoleonów w złocie, które pomiędzy członków opery rozdzieliłem.

V.

Zaczęły się czasy Księstwa Warszawskiego, czasy, dla rozwoju teatru *narodowego* bez porównania pomyślniejsze, aniżeli za rządów pruskich. Mimo to położenie teatru, a raczej sytuacja materialna jego przedsiębiorcy, stawała się z dniem każdym trudniejszą. Co było tego powodem, na to pytanie odpowiada Elsner w pamiętnikach swych zupełnie wyczerpująco, rozdział zaś, sprawom tym poświęcony, jest, jako charakterystyczny przyczynek do dziejów teatru polskiego, nadzwyczaj interesujący.

— Po roku 1808 doznawałem zupełnego zaufania ze strony Bogusławskiego, lubo pokilkakrotnie odmówiłem mu, i to stanowczo, wstąpienia mojej drugiej żony do teatru. Następnie zdarzyło się, iż pierwsza śpiewaczka, Dmuszewska, z domu Petrasz, śmiertelnie zachorowała, a pani Stefani, śpiewająca wybornie w podobnych rolach, jak Missy w operze *Przerwana ofiara*, wprzód jeszcze umarła, na jej więc miejsce wprowadziłem wykształconą przezemnie pannę Pięknowską, która po raz pierwszy wystąpiła w operze *Telemak*. Lecz gdy ta ostatnia zaczęła się zaniedbywać..., opera nasza znalazła się w krytycznem położeniu, tem więcej, iż istniejący podówczas w Warszawie wodewil francuski śmiało nam mógł stawić czoło...

Z krytycznego tego położenia wyratował operę polską Elsner. Stało się to na zebraniu u Dmuszewskiego, na którym radzono w sprawie towarzystwa teatralnego w celu dawania przedstawień na własny i wyłączny swój dochód, Bogusławski bowiem, nie mogąc powiązać końca z końcem, a nie mogąc uzyskać subwencji rządowej, nosił się z myślą rozpuszczenia swej trupy.

Nad wieczorem zebrali się artyści dramatyczni i kilku przyjaciół u Dmuszewskiego, (którego żona wtedy była właśnie chora) w celu narady względem następnych ich czynności. Za ukazaniem się mojem i oświadczeniem przyrzeczonego mi (przez Ministra Aleksandra Potockiego) pozwolenia (na projektowane towarzystwo teatralne), rozjaśniły się

twarze wszystkich, jakkolwiek nie co do opery, bo pani Dmuszewska była chora, panna Pięknowska zaś stanowiła opokę, o którą się wszystkie nadzieje obecnych rozbijały... Widząc, że narada do niczego ich nie doprowadziła, tak się do zgromadzenia odezwałem: „Moi panowie, przyjdzie czas, przyjdzie rada“, tymczasem zajmę się wyuczeniem tego, co będę mógł. O pierwszą śpiewaczkę zaś się nie troszczcie. Gotów jestem dla miłości i dobra towarzystwa cofnąć postanowienie dawniejsze i zmienić zasady, by żony mojej nigdy nie wcielić do teatru: teraz pozwalam jej przyjęcia i podjęcia się ról. Ażebyście się zaś przekonali, czy jest ona w stanie godnie odpowiedzieć temu, proszę was do siebie.“ Żona moja o niczem nie wiedząc, zdziwiła się mocno i zapytała, co by to znaczyć miało? „Oto, żebyś nam arję jaką zaśpiewała“, odpowiedziałem, a siadłszy do fortepjanu, zacząłem jej akompanjować do arji *Ombra adorata* Crescentiniego, którą też odśpiewała. Obecni nigdy się czegoś podobnego nie spodziewali, ponieważ żona moja, jako śpiewaczka nigdy nie występując, nigdy ze śpiewem swym nie dała się słyszeć nikomu. To też radość najwyższa wszystkich ogarnęła; nieśmiały a zamyślony Żółkowski, sławny komik, rozchmurzył się i wpadł w dobry humor. Bogusławski nigdy się nie spodziewał, abym dozwolił żonie mojej należeć do składu teatru, a to z powodu, że ilekroć domagał się tego, zawsze mu stanowczo odmawiałem, nie mógł zatem przypuścić, abym się teraz zdecydował w celu jedynie przyjscia w pomoc zakłopotanemu o dzienny kawałek chleba towarzystwu teatralnemu.

Wobec tak pomyślnego obrotu rzeczy Bogusławski zaniedbał myśli o rozpuszczeniu trupy i, nie dopuszczając do utworzenia się towarzystwa teatralnego, postanowił prowadzić teatr w dalszym ciągu na własne ryzyko. Swoją drogą, nie będąc w stanie regularnie opłacać personelu teatralnego, doznawał wielu przykrości.

— Nadto stał się przedmiotem nagany i uzalania się na złą administrację teatru, zarówno pod względem literackim, jak i gospodarskim, do czego szczególnie przyczynił się Dmuszewski, rozgłaszając pomiędzy publicznością istnie-

jący stan rzeczy, a to z powodu, że sam pragnął zostać przedsiębiorcą teatru, ma się rozumieć, nie ryzykując.

Podobne rozgłosy nie uszły uszów Bogusławskiego. Dowiedziawszy się nadto, iż brał w onych udział także i Osiński, dowodzący, że on by potrafił rzecz całą lepiej poprowadzić, tak dalece wziął to sobie do serca, że postanowił zaniechać zupełnie przedsiębiorstwa i odstąpić onego zięciowi swojemu, Osińskiemu, łącznie z Dmuszewskim, z warunkiem przyjęcia długów jego, za co by im ze swej strony oddał garderobę, księgozbiór i wszystko, co do teatru należało, a będące jego własnością, jako też i dekoracje, z których wiele jednak dotąd było własnością teatru królewskiego, zostającego pod rozporządzeniem Księcia Józefa Poniatowskiego. Długi Bogusławskiego, w większej połowie członkom towarzystwa należne, wynosiły 108,000 złotych polskich. Z tego to względu sam namawiał Osińskiego do objęcia teatru w spółce z Dmuszewskim posiadającym własny dom na Nowem Mieście prawem dziedzictwa po ojcu, ponieważ mogli by tymczasem spłacić 36,000 Złp. i niektóre pozateatralne długi, nie potrzebując na początek większych zasobów. Bogusławski w zamian żądał dla siebie stałej pensji i warował roczny dochód. Rzecz ta zdawała się już pomyślnie układać, bo Osiński szukał wsparcia u hr. Sołtyka, z którego synem był odbył podróż do Francji lat kilka wprzód. Jakoż otrzymał obietnicę pożyczki 1,000 dukatów. Dmuszewski ze swojej strony starał się o zaciągnięcie na swój dom podobnej summy. Podczas bezkrólewia teatralnego, towarzystwo dawało przedstawienia na własny rachunek, w których Bogusławski, dostarczając teatralnej garderoby, brał osobiście udział dla dowiedzenia i przekonania, że szczerze nie życzy sobie być dalej przedsiębiorcą. Mało mnie to wszystko obchodziło, przekony, że życzenia moje pod względem podania teatru pod bezpośrednią opiekę Rządu dalekiemi są od ziszczenia, a tymczasem gospodarska strona interesów teatralnych, ogólnie w opłakanym stanie i dyskredycie stawała. Że zaś ja zupełnie inne miałem w tym względzie wyobrażenia i zdanie, nie mieszałem się wcale do całej tej sprawy, tem więcej, że pomimo zapewnień, które do uszu

mych dochodziły, wątpiłem o szczerości Bogusławskiego. Jakoż okoliczności następne domysły moje usprawiedliwiły. Hrabia Sołtyk, pomimo najszczerzej chęci, nie mógł dostarczyć Osińskiemu obiecanej pożyczki; Dmuszewski również pomimo przedstawionej pewności hipotecznej nic nie uzyskał, w tym więc kłopotcie Osiński pewnego poranku wszedł do mnie z następną propozycją: „Czybyś pan nie mógł i nie chciał ze mną należeć do przedsiębiorstwa teatralnego? Ja bym w takim razie dyrygował częścią dramatyczną a pan operą; przekonany jestem, żeby panu łatwo było posiadając powszechny kredyt dostać 1,000 dukatów, któreby mu chętnie powierzono, a następnie, pewnie dobre zrobilibyśmy interesa“. Życzy sobie tego bardzo też mój, który mię do Pana po to przysłał, gdyż Dmuszewski już od wspólki odstąpił.“ „Panie Osiński! rzekłem, znasz mnie i wiadome są panu moje zasady tyczące się Narodowego Teatru! Możesz być zatem przekonany, że potakiwać nie będę poddaniu sztuki wyzwolonej pod jarzmo przedsiębiorstwa. Lecz Panu, i to Panu jednemu tylko, mogę dać dowód przyjaźni, nie cofając bynajmniej postanowienia mego nie należenia do ofiarowanej mi wspólki, a to w znalezieniu środków, pozwalających Panu, jako zięciowi Bogusławskiego, utrzymać teatr przynajmniej przez lat trzy lub cztery“. Osiński wyszedł, a ja ubrawszy się prosto udałem się do Bogusławskiego i opowiedziałem mu, co zaszło; zapytałem go przytem, czyby to wszystko serjo było, dodając, że nic nie przedsięwzię, nie usłyszawszy pierwej z ust jego potwierdzenia i kategorycznego objaśnienia powyższych okoliczności. Jeślibym wreszcie co i zrobił, to jedynie tylko dla Osińskiego, w żadnym razie jednak nie chcę zostać współnikiem jego, ponieważ nigdy o tem nie myślałem i nie myślę. Na te słowa Bogusławski zmieszał się nieco... Lecz wkrótce wynurzył się przedemną i opowiedział mi, jak przykre i bolesne mu były wyrzuty dzieci jego względem złej administracji teatru, którą, jak utrzymywali, lepiejby potrafili poprowadzić; mówił dalej, że właśnie dla tego życzyłby sobie, żeby zięć jego dla próby nią się zajął — następnie, że wcale by mi za złe nie miał, gdybym przyczynił się do ułatwienia Osińskie-

mu przyjscia do przedsiębirstwa. Gdy zaś na przedstawienie, czyby sam nie połączył się z zięciem, odpowiedział, że w żadnym razie by tego nie uczynił, wyszedłem, udając się wprost do domu. Wyszukałem plan mój, który w roku 1808 ułożyłem dla Ministra Łuszczewskiego *), a odczytawszy go, wpadłem na myśl towarzystwa akcjonarjuszów. Wieczorem dnia tegoż, w zwykłym kółku naszym, składającym się z pp.: Engelke, terażniejszego prezesa Konsystorza Ewangelickiego, Chrzońskiego, ówczesnego sędziego, Bansemera, Dechberga, Królewsko-Saskiego inspektora magazynu drzewa rządowego, Bersona, doktora medycyny, i innych, rozmawiałem o stanie obecnym teatru. Opowiedziawszy i wyłożywszy im plan mój, Chrząński i Bansemer natychmiast się za nim oświadczyli. Engelke obiecał namawiać pp. Braunig & Hikman, do których był proszony na obiad na dzień następny. Ja zaś sam tegoż dnia, będąc na obiedzie u Rady medycznego Gulejta, obeznałem go dokładnie z powyższym planem i opowiedziałem, co się już dnia poprzedzającego w tym względzie zrobiło. Natychmiast oświadczył się za wykonaniem przedsięwzięcia, a mając dnia następnego z rodziną wyjechać do szlązkich kąpiel, wręczył mi plikę listów zastawnych Saskich na 2,000 talarów, upoważniając mnie do użycia onych na ten cel, nim z podróży powróci. Wkrótce Engelke oznajmił mi także, że pp. Bräunig & Hikman gotowymi byli do nabycia akcji za trzy tysiące talarów. Tak więc zabezpieczywszy więcej, jak potrzeba było, na zaspokojenie pozateatralnych długów, udałem się nazajutrz bardzo rano do Osińskiego, nie wspomniawszy mu nic pierwej, co zdołałem uczynić, z krótko skreślonym planem moim na akcjach opartym. Zaledwie tylko co wstał. Wyłożyłem mu rzecz całą i oznajmiłem, że plan nie jest już projektem; — przeciwnie, że brakuje tylko jego potwierdzenia, by został przedsiębircą teatru, nie potrzebując do tego wielkich fundusów. Zdumiał na to i rzekł:

*) Plan nowej organizacji Teatru narodowego wraz z przyłączeniem doń szkoły śpiewu przy operze.

„Gdyby to nie było na jawie, sądziłbym, że to, co mi Pan mówi, jest snem tylko!”

Co się zaś tycze akcji, plan mój w krótkości był następujący: Bogusławski żądał 108,000 Zł. pol., z tych 60,000 potrzebował na zapłacenie członków towarzystwa teatralnego, pozostałe zaś dla zaspokojenia innych wierzycieli i zaległości za najęcie gmachu teatralnego. Ja wziąłem dziesięć akcji, każda po tysiąc złp., z których sześć rzeczywistych, a cztery wyobrażające Osińskiego, jako przedsiębiorcę, mającego prawo do podziału zyskiem, ma się rozumieć, po odtrąceniu wszelkich kosztów. Ażeby zaś obcym nie napędzać wiele pieniędzy, namówiłem także aktorów, którzy by sobie tego życzyli, do zostania współakcjonariuszami, wprawdzie tak, ażeby dwie osoby do jednej akcji należeć mogły, cała jednak akcja, miała w zysku tylko jedną frejlożę. Ztąd powstało towarzystwo akcjonariuszów z następującymi kapitałami:

- | | | | |
|-------------------------|--------------|------------------------|------------|
| 1. PP. Braunig & Hikman | 1,000 dukat. | gotowizną | zapłacone. |
| 2. „ Gudeit i Bansemer | 1,000 „ | gotowizną. | |
| 3. „ Chrzonski i Elsner | 1,000 „ | połowa gotowizną. | |
| 4. „ Dmuszewski | 1,000 „ | tytuł. wierzytelnosci. | |
| 5. „ Szczurowski | 1,000 „ | dto. | |
| 6. „ Osiński i Kudlicz | 1,000 „ | połowa gotowizną. | |

7, 8, 9 i 10 Osiński — jako tylko przypuszczony do podziału zyskiem. Chcąc zaś u osób obcych a biorących tak gorliwy i czynny udział w stowarzyszeniu, utrzymać opinią, że Osiński, nie mający podówczas pieniędzy, również jak i oni wkłada fundusz własny, postarałem się dla niego o pożyczkę 2,000 talarów. Tak więc wystawiłem mu i rozebrałem szczegółowo moje widoki, wskutek których współakcjonariusze mieliby $5\frac{1}{2}$ i $4\frac{1}{2}$ części w podziale zysków, a on sam po skończeniu się akcji dostanie na własność garderobę, zbiór nut muzycznych i dekoracje. Na to wszystko ledwie mógł przyjść do siebie z zdziwienia, pytając mnie, co miał następnie do czynienia?

— Udać się natychmiast do Bogusławskiego, odrzekłem, i interes ten ostatecznie załatwić.

— Wszakże już załatwiony podług tego, co mi pan mówisz.

— Bynajmniej, odpowiedziałem, ponieważ wiem dobrze, że Bogusławski żadnego przywileju nie posiada, a trzeba by koniecznie, aby odstępstwo jego od przedsiębiorstwa miało chociażby pozór tymczasowego przywileju Narodowego Teatru. Następnie, co do tego interesu, wszystko powinno się urzeczywistnić mocą kontraktu między stowarzyszonymi osobami, przed rejentem urzędownie przyznanym.

Osiński natychmiast, zaczawszy się ubierać, rzekł do mnie:

— Dobrze, bardzo dobrze rzecz cała obmyślona, lecz proszę mi powiedzieć, jak Pan wpadłeś na myśl przypuszczenia Kudlicza do stowarzyszenia? Wszakże, o ile mi wiadomo, bardzo mało lub żadnej nie ma on pretensji do Bogusławskiego; z drugiej strony nie ma pieniędzy i bardzo wątpię, żeby był w stanie sumę w rejestrze zapisaną zebrać.

— Niech się porozumie z przyjacielem swoim, Zdano-wiczem, odpowiedziałem, który wraz z żoną ma około 300 dukatów pretensji do Bogusławskiego, potrzebujemy zaś Kudlicza ze względu na gorliwość jego o dobro teatru okazaną czynnościami reżyserskimi, a mianowicie do zrównoważenia skłonności, do rozkazywania i wyłącznego rozporządzania się innych osób, wreszcie może i Pan nie użyjesz całkowitych 2,000 talarów.

— Ale czy rzeczywiście je dostanę? zapytał.

— Już do mnie to należy, odpowiedziałem.

— Kiedy tak, to masz Pan zupełną słuszność, rzekł mi, ale cóż dalej mam robić?

Gdy już ubrany był, gotów iść do Bogusławskiego, dodałem w końcu:

— Teatr zależy teraz od Prefektury, Prefekt zaś Nankowski jest pańskim przyjacielem, zdołasz więc Pan łatwo wraz z Bogusławskim wskórać urzędowe odstępstwo przedsięwzięcia teatru. Reszta sama z siebie się znajdzie i dopełni.

Osiński poszedłszy do Bogusławskiego i opowiedziawszy mu wszystko, prosił go o udanie się z nim do Prefek-

tury. Bogusławski, za ledwie wierząc swym uszom, a związany poprzednio danem słowem, wreszcie tak niespodzianie zagabnięty, bardzo się zmieszał, i nie mogąc się już wymówić od zadośćuczynienia żądaniu zięcia, poszedł z Osińskim do Prefektury, żadnych już tam trudności nie robiąc, domagał się tylko 1000 dukatów, jako posagu dla swej córki, i zastrzegł sobie aktorską pensję. Osiński na wszystko się zgodził.

Po skończonym układzie z teściem, przyszedł do mnie i uwiadomił mię o nim szczegółowo, na co rzekłem mu:

— Tem lepiej, gdyż tym sposobem realność Pańska (lubo pozorna tylko) zyskała na wartości.

Nazajutrz zebrałem akcjonarjuszów na posiedzenie, które Osińskiego i mnie delegowało do notariusza Engelke dla ułożenia i spisania kontraktu stowarzyszenia. Gdyśmy się w dni kilka potem zeszli u Engelkego dla podpisania aktu i odebrania naszych dowodów, wziął mnie ten ostatni na stronę i rzekł:

— Czyli też nie zatrzymasz Pan sobie jednej akcji jako pośrednik i jako wynagrodzenie za trud twój?

— Nie, nie, odpowiedziałem; jestem bowiem pewny, że Osiński po upływie kontraktu wywdzięczyć się potrafi; powtarzam raz jeszcze, że teraz dla siebie nic nie chcę, gdyż pragnę, ażeby mógł w jak najkrótszym czasie spłacić drugich akcjonarjuszów, reszta zaś znajdzie się później.

— Kiedy tak, niech będzie, jak pan chcesz, odpowiedział mi Engelke, moim obowiązkiem było zrobić panu tę uwagę, okoliczności bowiem często ludzi zmieniają.

Zaraz potem przystąpiliśmy do uregulowania towarzystwa, postanowienia pensji etc. Przedstawiłem z mojej strony, ażeby każdy członek teatru, będący akcjonarjuszem, nie więcej mógł żądać rocznej zapłaty nad 6,000 Złp. i to deklarując się zaraz, ponieważ wszyscy do równego rozdziału zyskiem w przedsiębiorstwie należeć powinni; gdyby zaś który z aktorów lub śpiewaków ze względu na zawód swój, mniej był czynnym, użyć by go można w administracji teatru. Na tej zasadzie mogłem życzeniu Osińskiego zadość uczynić, naznaczając mu w bilansie 6,000 Złp. pensji rocznej.

Przystąpiwszy nareszcie do uregulowania okoliczności, dotyczących się pozostałych członków opery, przedstawiłem, aby koledze memu, Kurpińskiemu, dodano tysiąc złotych rocznie ze względu, że już nieco był swej pracy poświęcił i niejednen z utworów swoich dostarczył, i że teraz więcej jeszcze do czynienia mieć będzie; na co się jednak Dmuszewski i Szczurowski nie zgodzili, lubo pierwszy za czciociela, drugi za protektora Kurpińskiego uchodzili, i oświadczyli zdanie przeciwne.

— Kiedy tak, powiedziałem, to ja przestanę na pięciu tysiącach rocznie i żądam, aby pozostałe tysiąc Kurpińskiemu były dodane, co też przyjęte zostało i istotnie przez rok pierwszy wykonanem było, przy czem byli obecni Chrzoński i Guteit. Wprawdzie po upływie roku okazało się, że interesa stowarzyszenia doskonale poszły, tak dalece, że każda akcja zyskała więcej, jak nakładowy kapitał, bo tysiąc za tysiąc, a sam Osiński przeszło 5,000 dukatów. Tenże po kilkakroć mi mówił, ażebym odstąpione tysiąc złotych Kurpińskiemu odebrał, lecz ja, szanując raz wyrzeczone słowo, przystać na to w żadnym razie nie chciałem.

Tymczasem żona moja, którą niechętnie do opery wcieliłem, na zdrowiu zapadła, a to z powodu wysilenia w wykonaniu ról śpiewnych, a mianowicie podczas przedstawień zimowych przy 20-o stopniowych nieraz mrozach, w źle opatrzonym na ten cel teatralnym budynku, chciałem ją więc wysłać do kąpieli w Rejnertz dla poratowania zdrowia, życząc sobie następnie z teatru wydalić, a przynajmniej dać jej przez czas niejaki stosowny wypoczynek. Na usilną jednak prośbę Osińskiego, pomimo zapewnień z mej strony, że dołożę starania w wykształceniu podobnej śpiewaczki, musiałem na ten raz podróży do wód zaniechać. Osiński, prócz namowy i przyrzeczenia, że żona moja rzadko odtąd występować będzie, obiecał mi solennie i wyraźnie, że na przyszłe lato nietylko dozwoli na tę podróż, lecz prócz tego koszta onej na siebie przyjmie.

W dzień Ś-go Józefa dał Osiński u siebie wielką kolację, podczas której uczczono mnie najwyższemi pochwałami i podług polskiego zwyczaju noszono na rękach okry-

wając dziękczynieniami. Mógłbym się wtedy spodziewać, że niektórzy z nich byli wężami, których w łonie mojem karmiłem, usiłującymi wszelkimi możliwymi środkami zatrzeć zawód mój artystyczny i człowieczy?

VI.

Jedną z największych zasług Elsnera dla muzyki polskiej było założone przezeń konserwatorium muzyczne w Warszawie, które z pomiędzy wielu utalentowanych uczniów, jakich wydało, przedewszystkiem może być dumnem z jednego: z Fryderyka Chopina.

Historji założenia i dziesięcioletniej egzystencji tej „Szkoły głównej muzyki“, poświęcił Elsner w pamiętnikach swych obszerny rozdział, jeden z najbardziej zajmujących.

— Właściwem znajduję przytoczyć na tem miejscu, niektóre uwagi i słów kilka o początku istnienia konserwatorium muzycznego w Warszawie i o p. Solovie, który przez objęcie przy niem posady stał się zawadą w osiągnięciu spodziewanego postępu i oczekiwanej z onego korzyści.

W roku 1810 urządził Bogusławski tak zwaną Szkołę Dramatyczną. Przeznaczył dla niej w swem mieszkaniu salę, w której dawniej odbywały się próby, w innych zaś częściach lokalu pomieścił czterech chłopców z dozorcą i cztery panny z guwernantką. Dalej wybrał i mianował według swego zdania nauczycieli, pomiędzy którymi był Antonioli, śpiewak z opery włoskiej (bo trzeba wiedzieć, iż Bogusławski miał słabość do Włochów), nie mający najmniejszego wyobrażenia o elementarnej nauce śpiewu i nie rozumiejący zupełnie polskiego języka. Pierwsza próba tej szkoły, zwłaszcza w deklamacji i językach, udała się dobrze, lecz co do pozostałej części zupełnie nie odpowiadała celowi, a nawet następnie uczniowie dla niemoralnego sprawowania się rozpuszczonymi zostali.

W roku 1814 (gdy już Bogusławski odsunął się od przedsiębiorstwa teatru, a tem samem i szkoły dramatycznej), poruczono mi nauczycielstwo muzyki w powyższej szkole i żądano jednocześnie, żebym skreślił nowy i poprawniejszy do jej wewnętrznego urzędzenia plan, co też uskuteczniłem.

Plan ten znajduje się w kopji przy aktach ówczesnej Kommissji Edukacyjnej, oryginał zaś złożony jest w ministerjum spraw wewnętrznych. W przedstawionym planie domagałem się urzędzenia przy głównej szkole drugiej elementarno-przygotowawczej dla chłopców i dziewcząt, z dwóch klas złożonej, a to w celu przysposobienia zdatnych uczniów do szkoły wyższej. Jakoż w roku 1817 otrzymałem na to polecenie urzędowe, a w 1818 zostałem mianowany rektorem tych połączonych szkół.

Kiedy następnie egzamin szkoły niższej odpowiedział oczekiwaniu, a egzamin szkoły wyższej połączonej z dramatyczną nietylko władze ale i publiczność w zdumienie wprowadził, postanowiłem, korzystając z powodzenia takiego, przeprowadzić do skutku moją główną myśl oddzielenia szkoły muzycznej od kulis teatralnych. Dopełniłem tego za pośrednictwem ministra Staszycyca, w r. 1819, w którym to założony został Instytut Muzyki i Deklamacji. Jednocześnie odebrałem polecenie wyszukania stosownego na ten cel budynku pomiędzy niedawno skasowanemi klasztorami, a że wszystkie już, prócz Panfen Bernardynek, zajęte były na składy lub pracownie fabryczne, pozostały więc na powyższy cel obrócić postanowiłem. Takim sposobem posiadaliśmy własny lokal i 36,000 zł. rocznie dla instytutu wyłącznie, zawdzięczając to ministrowi Staszycowi.

W tym czasie Osiński obowiązał się na żądanie ministra Mostowskiego i życzenia kilku panów polskich sprowadzić i utrzymywać teatr komedji francuskiej i prócz tego zapisać z Paryża kilku tancerzy i tancerek baletowych, a to z powodu, że obecne już towarzystwo pana Berindelli wielkiego powodzenia i upodobania doznawało. Otrzymawszy od rządu 72,000 złp. wsparcia na przedmiot zobowiązania się swego, wyjechał Osiński za granicę.

Po odejściu p. Brice, członka opery, a zarazem nauczyciela śpiewu przy instytucie naszym, wezwany byłem przez ministra Staszycyca o przyjęcie drugiego na jego miejsce, przedstawiając mi do wyboru pp. de Santis i Feuillide; wskutek czego, objawiwszy widoki moje we względzie pédagogicznym, objawiłem zdanie moje na korzyść ostatniego; a przytem na przedstawienie moje konieczności wcielenia i części instrumentalnej do instytutu i zlania wszystkich oddziałów w jedną całość, powstało nareszcie, a mianowicie w r. 1820, Konserwatorjum Muzyczne, i ustanowiono katedrę muzyczną przy uniwersytecie, dla której minister Staszyc wyjednał u komissji edukacyjnej 12,000 złp.

Na nieszczęście zachorował mocno Feuillide, który już wykształcił był drugą pannę Stefani, Polkowskiego i innych, a ja znów wezwany byłem o napisanie do Włoch o przysłanie do Warszawy nauczyciela, wirtuoza śpiewu.

Udałem się więc listownie do Salierogo, kapelmistrza, który mi odpisał, że w chwili obecnej nie ma pod ręką takiego, jakiego żądam, nauczyciela, że nawet Wiedeń cierpi w tem niedostatek, i że nakoniec sam o to napisał do Bolonji i mnie radzi, żebym podobnież uczynił. Zniosłem odpowiedź Salierogo do ministra, u którego właśnie zastałem gen. Roźnieckiego, ówczesnego prezesa dyirekcji teatralnej. Odczytawszy list Salierogo, generał Roźniecki oświadczył się z gotowością załatwienia tego interesu, mówiąc, że z czasów legjonów polskich wielu ma znajomych pomiędzy mistrzami muzycznymi i artystami śpiewu, z którymi koresponduje. Pan minister wraz ze mną poczytaliśmy oświadczenie się gen. Roźnieckiego za wypadek bardzo pomyślny dla naszego zamiaru. Czyż mogłem wtedy spodziewać się czegoś szkodliwszego dla siebie?

Wprawdzie w niektórych okolicznościach byłem przeciwny zdaniom generała Roźnieckiego, który dzięki mnie dostąpił zaszczytu być mianowanym prezesem dyirekcji teatralnej, lecz nigdy nie spodziewałem się, aby to mogło wywrzeć wpływ na moje przyszłe położenie.

Co zaś do prezesostwa teatralnego rzecz się tak miała. Lipiński zrzekł się także swego urzędu, ponieważ

trudno mu było pogodzić się z przedsiębiorcą, jakkolwiek posiadającym znajomość swej sztuki, będącym jednocześnie dobrym autorem i aktorem, gdyż *ultima ratio* jego była nie sztuka, ale kieszeń własna. Naturalnie, że na to żaden prezes nie mógł być obojętnym i wyradzały się stąd kollizje i sprzeczności. Ja zaś, nie mając żadnego zajęcia przy szkole dramatycznej Bogusławskiego, ustanowiłem towarzystwo kościelnej narodowej muzyki, które w każdą niedzielę zbierało się u ks. Pijarów dla wykonywania podczas nabożeństwa dzieł muzyczno-kościelnych, a któremu ówczesny rektor, ks. Stawiski, szczególnie sprzyjał. Za moim wpływem został generał Roźniecki wybrany na prezesa tego towarzystwa.

Ministerjum oświecenia, po zrzuceniu się przez Lipińskiego z posady, troszczyło się o wybór innego prezesa teatru, a że ja objawiłem był życzenie, by przy wyborze dano wzgląd na posiadanie znajomości muzyki przez przyszłego prezesa, powiedział mi minister Staszyc, niechże więc nowo wybrany prezes waszego towarzystwa kościelnego będzie razem prezesem dyrekcji teatralnej. Jakoż proszono gen. Roźnieckiego o przyjęcie tej honorowej posady.

W tym to roku jeszcze przybył Soliva, ów spodziewany nauczyciel śpiewu w konserwatorjum, który z sobą przywiózł także, jakby sądzić należało... śpiewaka? gdzie tam! chirurga! niejakiego Vignan, w nadziei, że na północy same tylko niedźwiedzie mieszkają, i że sam musi szczęście znaleźć i zapewnić je koledze.

Jak Soliva zadość uczynił oczekiwaniu, niech będzie odpowiedzią następną uwaga: że zupełnie głosu nie miał i nigdy nawet nie śpiewał. To też zawiódł naszą i gen. Roźnieckiego nadzieję i naraził na tysiączne trudności i kłopoty, chociaż ten ostatni pojąć nie mógł i wierzyć nie chciał, żeby Włoch głosu nie miał i śpiewać nie mógł. Czy było go napowrót, skąd przyjechał, odesłać? Gdyby tego nie chciał, należało-by mu znakomite koszta podróży tam daremnie zapłacić, a że dwoma miesiącami przed naznaczonym terminem przyjechał, pozostawiono aż do tego czasu rozwią-

zanie tej całej kwestji, czekając prawdziwie zmiłowania Bożego.

Jednakże Soliva napisał dawniej operę. Trzymając gazetę muzyczną lipską, znalazłem w niej pod rokiem 1817 artykuł z Medjolanu, zawierający recenzję opery jego utworu p. n. *La testa di bronzo*, wcale nie korzystną dla niego, dowodzącą bowiem, że brakło w tej operze znajomości muzyki i genjuszu; bo gdyby chociaż jeden z tych warunków posiadała, mogłaby się przy najemnych klaskaczach przez parę przedstawień utrzymać itd.

Położenie Solivy wśród nas tak dalece było przykre, że mi go się żal zrobiło. Jakoż przed zajęciem przeznaczanego u nas mieszkania odwiedził mnie dnia pewnego; ofiarowałem mu swoje usługi, dziękował mi bardzo i rzekł: „Panie Elsner, wszak jestem zupełnie w porządku, nie wiem przeto, co-by to znaczyć miało, że tak długo do obowiązku nie przychodzę.“ Pokazał mi następnie kontrakt z nim zawarty, który przeczytawszy, zdumiałem, gdyż wyrażono w nim, że zamówiony jest na dyrektora konserwatorjum, w którym miał być osobiście nauczycielem śpiewu. Dopiero wtedy pojąć zdołałem zakłopotanie generała Roźnieckiego, tem więcej, gdy w liście jego do korespondenta we Włoszech pisanym, a okazanym mi przez Solivę, wyrażonem było, że w Polsce, nie było człowieka zdolnego do zawiadywania takim, jak nasze konserwatorjum, zakładem, zwłaszcza, że dyrektor onego obowiązany był stworzyć operę polską.

Soliva, widząc moje zadziwienie, przyznał, że pomimo, jak widzieć mogłem, był zupełnie w tej sprawie na swoim miejscu, niemniej się dziwił i nie wiedział rzeczywiście, co-by to znaczyć miało. Odgadłem i przekonałem się, że zamiarem było usunięcie mnie z zajmowanej posady, do czego, jak się domyślałem, przyczynił się był najwięcej Osiński, chcąc zapewne wywdzięczyc mi się tym sposobem za przysporzenie mu 180,000 złp. majątku gotowego grosza, garderoby, biblioteki i dekoracji teatralnych bez żadnego z jego strony ryzyka.

Tak więc Soliva przez rok jeden na próbę pozostał.

W grudniu odbył się egzamin w mniejszej sali konserwatorium, na którym, prócz dykcji teatralnej i ministra, Staszycy, znajdowało się wielu zaproszonych jakoby znawców muzyki. Zaczęto od dwóch klas szkoły elementarnej, następnie przystąpiono do języków, deklamacji, sceniczności, na koniec do śpiewu wyższego. Polkowski odśpiewał z panią Palczewską duet z opery Kurpińskiego *Jadwiga*, w polskim języku. Stefani wykonała śpiewkę utworu brata swego, Józefa, podobnie w polskim języku. W końcu, panna Kralewska odśpiewała kilka kawatyn w języku włoskim. Przy skończeniu śpiewu minister Staszyc, zbalamucony przez generała Roźnieckiego i Osińskiego, tak się zapomniał, że wykrzyknął: „Zaraz widać, że nauczycielem śpiewu jest Włoch, bo istotnie język nasz wcale po włosku nie brzmi“, na co obecni z uszanowania dla czcigodnego ministra ledwo od śmiechu wstrzymać się zdołali *).

Chociaż minister i dykcja teatru zadowoleni byli ze sprowadzenia Solivy, publiczność jednak wcale nią być się nie zdawała zwłaszcza przekonawszy się, że Soliva nie śpiewa i nigdy nie śpiewał, bo głosu nie miał. To też zewsząd wołano: „Na cóż nam kōmpilator nie rozumiejący języka naszego, skoro mamy swoich kompozytorów, dyrektorów.“

W celu zapobieżenia i zbitcia tych zarzutów uchwalono, ażeby w porze zimowej, podczas zbyt silnych mrozów, zamiast przedstawień w teatrze, urządzano w opalanej sali ređutowej koncerty, czyli raczej wieczory muzykalne. Zamiar ten, korzystnie przedstawiony, z upodobaniem przyjęto. Na takim wieczorze wystąpił Soliva jako dyrektor orkiestry i od pierwszego razu, po odegranej przez orkiestrę sztuce, przyjęty został zewsząd oklaskami i wykrzyknikami: „Bravo, bravissimo! zaraz widać, że Włoch, co za ogień! etc.“ Jednakże w Petersburgu wcale przeciwnie się pokazało. Bo też u nas dyrygował tylko uwertury Rossiniego, w których skakał i odskakiwał w ustębach efektowych, robiąc z osoby swej istotną karykaturę.

*) Zobacz tegoczesną muzyczną „Gazetę Warszawską“ w artykule napisanym przez Zöllnera.

Okolo Wielkiej Nocy oświadczył Soliva, że otrzymał list, donoszący mu o niebezpiecznej chorobie matki, pragnącej go jeszcze przed śmiercią zobaczyć. Była to, jak się później okazało, odegrana komedja, w celu uniknienia następującego w lipcu egzaminu, po którym miało być zdecydowane utrzymanie go na posadzie lub nie, i czyby była potrzeba starać się o nowego nauczyciela śpiewu.

Okazał rzeczony list i żądał dwumiesięcznego urlopu, a otrzymawszy go, wyjechał.

Po upływie dwóch miesięcy odebrał Osiński od niego list, w którym prosił o przysłanie mu 2,000 zł. Osiński tłumaczył się, że w tej chwili onych nie ma; ja więc, ze względu, że Soliva rzeczywiście mógł się w niedostatku znajdować, z własnych funduszków, za pośrednictwem Frenkla, bankiera, żadaną przez Solivę sumnę posłałem.

Później dopiero przypomniałem sobie słowa p. Vignan, chirurga, przybyłego z Solivą, który pierwszy opuszczając Warszawę, rzekł mi: „Panie Elsner, o ile cię zdołałem poznać, za nadto jesteś dobrym, strzeż się, uprzedzam pana, ażebyś własnym tchem nie ożywiał gadziny“.

Osiński zwrócił mi później powyższą sumnę, ale Soliva żadnej odpowiedzi nie przysłał. Więcej roku go nie było, wrócił dopiero nagle, w chwili, gdyśmy napisali do Neapolu o przysłanie p. Tarquinio, obecnie w Dreźnie będącego.

Podczas njebytności Solivy odbyłem wyżej wspomniany lipcowy egzamin, a po wakacjach, które krótko trwały, ponieważ Soliva nie wracał, przedstawiłem na tymczasowych nauczycieli śpiewu: moją żonę dla dziewcząt, Żylińskiego dla chłopców tenorzystów, a dla basistów Szczurowskiego; głównie z tego powodu, żeby nauczyciel etatowy, Soliva, lub też inny jaki nowoprzyjęty, zastał choć cokolwiek przysposobionych uczniów. Projekt mój został przyjęty i lekcje niebawem rozpoczęły się. Zjawia się nareszcie Soliva, jak powiedziałem, niespodzianie, a rozpatrzywszy stan obecnych okoliczności i porozumiawszy się z gen. Roźnieckim, wystąpił z niejaką impozycją, gdyż istotnie nie stracił darmo czasu w Medjolanie. Uniknąwszy przez wyjazd egzaminu, obznajomił się tam z praktyczną nauką śpiewu, zupełnie wprzód

mu obcą, ponieważ dawniej był nauczycielem fortepjanu i jako taki napisał owe opery.

Zdawszy mu już przygotowanych uczniów i uczennice, przekonałem się, że w istocie nabył wprawy i znajomości w uczeniu śpiewu, a co więcej, w celu zapewne zwaleni zarzutu, jakoby śpiewać nie mógł, wyuczył się kilku duetów „Buffo—maniera caricata.“ Na wyrobieniu jednak głosu dokładnie się i teraz nie znał; nie wiedział, że chłopcy, mianowicie w krajach północnych, daleko później zmieniają głos (mutation), co się i dziś jeszcze zdarza.

W roku 1822 nie było jeszcze publicznego popisu, ale tylko odbyto prywatny w obecności ministra i dyrekcji teatralnej, powziąwszy zamiar zaimponować następnie egzaminem konkursowym. Lecz, żeby mnie odjąć wszelką dyrekcję, starano się wpływ mój na ministra osłabić, a potem zupełnie go zniweczyć. Donoszono mu też niestworzone rzeczy, i tak np.: jakobym w konserwatorjum należytego porządku nie pilnował, a więcej zajmował się wiejską swoją posiadłością; dalej, że wyobrażenie moje i władze umysłowe już się przytępiają, a tem samem niezdolny jestem do przewodniczenia takiemu instytutowi; nakoniec, że m się trunkom oddawał, a to zapewne dlatego, że m nie tak blade, jak za wiść wyglądał, lecz przeciwnie, zdrowo i hożo; i mnóstwo podobnych a fałszywych wieści. Do takiego to doszło stopnia, że przy każdej sessji dyrekcji teatralnej, której byłem członkiem, zawsze dowiadywałem się o czemś nowem, a następnie zmuszony byłem wszystkie potwarze czynnościami zbijać i odpierać.

Członkowie dyrekcji teatru, często niespodzianie przybывая podczas godzin naukowych, mogli się nareszcie przekonać, że na powyższe zarzuty wcale nie zasługiwałem. Minister, pomimo usiłowań gen. Roźnieckiego w przeciąganiu go na stronę Solivy, podobnie nie dowierzał oszczerstwom, ku mnie skierowanym, a znając moją szczerość i otwartość, kazał mnie o wszystkim uwiadomić.

Dość szło jednak jeszcze wszystko spokojnie, aż do wystąpienia konkursowego. Polecono mi ułożyć program egzaminowy, w którym na zakończenie umieściłem był kan-

tatę (pod № 24 w spisie tym oznaczoną) do tej okoliczności przezemnie utworzoną z pieśni „Boże zachowaj nam króla“ (Haendla). Tu zaczęło się nieco jawniej szachrajstwo, ponieważ po złożeniu skreślonego programu otrzymałem na piśmie: że Soliva dostarczy chór końcowy z jakiejś opery Rossiniego, gdyż kantata moja raz już wykonywaną była; nakoniec, że miałem się jedynie zająć dyrekcją egzaminu i to dnia pierwszego tylko, zostawiając panu Solivie urządzenie koncertu dnia następnego. Pojąłem całą intrygę, dążącą do wysadzenia mnie zupełnie, a przynajmniej do zachowania dla siebie wyłącznie powodzenia i błyskotek sławy. Przesłałem też ministrowi pismo, wyluszczające i przedstawiające mu całą prawdę, z oświadczeniem gotowości odstąpienia mej posady, dla położenia raz końca tym szykanom, gdybym tylko był pewny, że Soliva jest istotnie takim, za jakiego uchodzi powszechnie, i że nie mam nic innego na myśli, prócz korzyści instytutu muzyki w Polsce; dodałem w końcu, że chętnie poniosę tę ofiarę, rozstając się z moimi marzeniami, aby pracą i usiłowaniem rozwijać talenta młodzieży naszej i oddawać ją krajowi już ukształconą itd. Jednakowoż musiałem dalej cierpieć, pokąd by się minister osobiście o tem wszystkim, co w piśmie mojem wyraziłem, nie przekonał.

Spotkawszy raz ministra, jadącego w powozie, witałem go, przyzwał mnie do siebie i rzekł: „Ażeby publiczność dla instytutu zjednać i zainteresować, musimy jej tymczasem imponować postępami, mianowicie w śpiewie, ze względu na udoskonalenie opery“. Na com odpowiedział: „Mamyż więc fanfaronować!?“ Trafną odpowiedź zrozumiał dobrze i rozgniewany, natychmiast odjechał; wymknięte się moje słowo nie uszło uwagi ministra, o czem się na próbach, na których był obecnym później, niejako przekonałem.

Nim przystąpię do opisanie skutku egzaminu i wrażeń z koncertu wyniesionych, przytoczyć mi wypada pewną okoliczność, mającą związek z zamówieniem Solivy.

W etacie konserwatorjum zapisany był Soliva, jako pobierający tylko 6,000 złp., chociaż, prócz posady nauczyciela, uważany był za wirtuoza śpiewu, mającego swą metoda

wywrzeć dobroczynny wpływ na operę polską. Pobierał przecież 12,000 złp., będąc za tyle ugodzonym na tajemnego dyrektora całości, czemu jednak minister nigdy nie chciał wierzyć, gdym mu o tem mówił, bo też się z tem Soliva nie bardzo wydawał. Musiało więc przedsiębiorstwo teatralne w osobie Osińskiego wypłacać Soliwie resztę do 12,000, czyli 6,000 złp., nie całe wszakże, bo się jakaś część owych odtrącała na mieszkanie jego, w konserwatorjum zajmowane; za co też teatr narodowy otrzymał od rządu przywilej, na mocy którego, jak to się w zagranicznych teatrach praktykuje, od dochodu z każdodziennego przedstawienia jakichkolwiek innych widowisk pobierał część szóstą na korzyść swej kasy. Stąd Soliva uważał osoby wchodzące w skład opery za uczniów swoich, a między innymi Mejer, która po raz pierwszy wystąpiła w operze *Księżna Nawarry* i zachwyciła nią publiczność, a nawet moją żonę; chociaż pierwsza, występując w Wilnie, uchodziła za uczennicę Frank, doktorowej, a druga ani jednej nuty przed Soliwą nie śpiewała. Ze względu na te dwie śpiewaczki rozgadywano, unosząc się nad jego doskonałą metodą kształcenia śpiewu.

Rzeczywiście publiczność przez czas niejaki była zaślepioną. Nie dość na tem. Na całą orkiestrę teatralną (co się znowu Kurpińskiemu nie podobało), która podobnie należała do tego egzaminu, że tak powiem areszt położył dla uwydatnienia swoich zdolności, jako dyrektora orkiestry.

Po wielu próbach, na których Soliva dla większego wrażenia zawsze coś poprawiał, dodając jedno, ujmując drugie, po wielu próbach nadszedł oczekiwany popis. W pierwszym dniu niewiele się spodziewano, wszakże urządzenie całe, skromność, a szczególnie utwory uczniów kompozycji przez nich samych dyrygowane, wielce publiczność zajęły i słuszne i ogólne zadowolenie sprowadziły.

Zdumioną tem była dyrekcja teatralna.

Gen. Roźniecki przechadzał się ciągle tam i napowrót z Osińskim, obaj jakoś byli zaambarasowani; a minister podobnie wymuszone rzucił mi brawo! Zaprawdę, nigdym się czegoś podobnego nie spodziewał (zobacz program).

Wszyscy z upragnieniem oczekują dnia następnego. Jakoż koncertowy egzamin rozpoczął uwerturą Rossiniego, przyjętą z hałaśliwymi oklaskami. Mejer odśpiewała swą partję z olbrzymim powodzeniem, lecz nadszedł duet, sklecony z kilku duetów, w taki sposób, że słodycz, osłodzona różnemi słodyczami, zamieniła się w końcu w kwas. Do tego, nie zważając, czy to będzie dobrym efektem w chórze, duecie lub salonowej arji, dla uwydatnienia *forzando*, ciągle basowemu puzonowi odzywać się kazał, co w końcu tak zmęczyło słuchaczy i tak już przesyconych skleceniem sztuki wykonywanej, że publiczność, z zapału ostygłszy, po skończeniu duetu, grzecznością jedynie wywołane przesłała mu brawo. A tak, choć nie został bohaterem konkursowego egzaminu, cieszył się jednak, że mu się udało wystąpić ze swymi kleconymi utworami, i że mój utwór „Chwała tobie w zwyciężkim wieńcu“, nie był wykonany. Inaczej wszakże losy zrzędziły. Klęski, wyrządzone przez wylew wody w Petersburgu, spowodowały Jaworka za zezwoleniem Wysokiej Władzy do urządzenia koncertu na dochód poszkodowanych i zniszczonych powodzią mieszkańców stolicy Cesarstwa. Koncert miał mieć miejsce podczas bytności wiekopomnej pamięci w Bogu spoczywającego Cesarza Aleksandra I. Pan Jaworek udał się do mnie z prośbą o dozwole nie wykonania mej kantaty na ‘zamierzonym koncercie, co się też i stało. Jaworek otrzymał za koncert w darze od Jego Cesarskiej Mości rulon dukatów, ja zaś miałem zadosyćuczynienie w wyrzeczonych mi słowach przez ks. Ant. Radziwiłła: „Elsnerze, taki utwór wspaniały i samorodny musi być znanym w Niemczech. Życzę więc sobie słyszeć go w Berlinie lub innem jakim mieście“.

Zapomogi dodatkowe ustały na czas pewny, a Soliva coraz lepiej poznać się dawał. Dawniej zawsze się turbował o pieniądze i na Osińskiego się żalił, że mu regularnie nie wypłaca onych. Naraz udał się do ministra z prośbą o odstąpienie mu placu około kościoła Bernardynów na wystawienie sobie domu, przez co ministrowi zaczął oczy otwierać i ściągnął niejaką oziębłość Jego Ekscellencji, a nawet zupełnie byłby stracił wiarę, gdyby nie gen. Roźniecki i sła-

tego charakteru członkowie dyrekcji teatralnej, mianowicie Osiński. Ten bowiem znowu potrafił pozyskać łaskę gen. Roźnieckiego, który pomimowolnie dał się nakłaniać do zamiaru Solivy.

Dla powrócenia kosztów, wyłożonych na urządzenie egzaminu umyślono dać kilka oratorjów w czasie wielkiego postu, do czego się i minister przychylił. W tym celu odkryto potrzebę przerobienia i urządzenia stosownego sali konserwatorjum. Gdzie więc dawniej mieściła się orkiestra, urządzono galerję dla publiczności, orkiestrę zaś pomieszczono w dawnej galerji, opatrzonej kratą, jak zwykle bywa przy chórach, gdzie zakonnice zbierają się, przez co, w czasie wykonania, śpiewaków i śpiewaczek nie widziano, lecz tylko słyszano. Dodać do tego należy, że orkiestrę umieszczono nie naprzeciw wejścia, lecz nad wejściem, tak, że turkot zajeżdżających powozów, szczególnież artystom, na dętych instrumentach grającym, przeszkadzał i był dla nich nieznośnym. A potem czemuże to były te oratorja? Oto, pojedynczo oderwanemi sztukami, najmniejszego związku z sobą nie mającemi, które nie mogły publiczności nie znużyć, a to z powodu różnorodności utworów i ich formy.

Koszta zatem poniesione w powyższym celu okazały się być daremnymi i nieodpowiednimi, a sala popsuta.

Tym razem minister miał już tego dość; zwłaszcza, że za nadejściem egzaminowego czasu Soliva oświadczył, iż w tym roku nie będzie mógł odbyć publicznego, i że lepiej będzie poprzestać na prywatnym. Oświadczenie to uderzyło nawet Falkowskiego i Glińskiego, gdy tymczasem gen. Roźniecki i Osiński, wprawdzie półgębkiem tylko, ale potakiwali Solivie.

Podczas sessji w celu narady o tym egzaminie, oznajmił mi Falkowski, że dnia następnego mam być u ministra w jego mieszkaniu. Wprawdzie w dniu sessji jeszcze rano powiedziała mi Leduchowska, że będąc u ministra w celu zanieśienia przed nim skargi na Osińskiego i przedsiębiorstwo jego, była między nimi mowa i o mnie; że minister dał się słyszeć, jakoby o chęciach moich dobrych a szczerych przekonawszy się, postanowił odtąd ze względu na

mnie coś znacznego wyświadczyć i uczynić dla instytutu. Niestety! śmierć i wyroki Niebios nie dozwoliły mu wykonać wspaniałomyślnego zamiaru, chociaż testamentem swoim dość silnie i oczywiście dowiódł, ile z wysokiego stanowiska drogiem i szacownem mu było dobro i pomyślność ludzi i kraju! Jakoż między innymi dobrodziejstwami rozdarował ogromne posiadłości swoje pomiędzy włościan, a to w ten sposób, że nietylko usamowolnił ich, ale co tylko dotąd posiadali, oddał na własność, a pozostały swój majątek obrócił na wieczyste fundacje, dobro ich mające na celu. Rzadkie to i niespodziewane zdarzenie, nie tylko w Polsce, ale i w innych krajach! Czyż potrzebuję więcej powiedzieć o charakterze uczciwego i niezapomnianego człowieka? Czyny jego przemawiają dowodnie, aby przeświadczyć potomność, jakie pamiątki pragnął zostawić nauce i sztukom pięknym.

Poświęciwszy mały ustęp najgodniejszemu człowiekowi, wracam się do chwili, w której powołany zostałem do niego przez Falkowskiego. Nazajutrz poszedłszy o naznaczonej godzinie do ministra, spotkałem byłego prezesa dyrekcji teatralnej, Lipińskiego; minister zaś znajdował się jeszcze zajęty w bibliotece, z której wyszedłszy, prosił mnie o poczekanie chwil kilku, a sam wszedł napowrót z Lipińskim do biblioteki, gdzie dłużej, niż się spodziewałem, pozostali. Nareszcie wyszedł minister i kazał mi usiąść przy sobie na kanapie. Zaledwie słów parę przemówił, wszedł gen. Roźniecki i natychmiast zaczął dowodzić, że w tym roku nie można było odbyć publicznego egzaminu w konserwatorjum, o co minister z generałem Roźnieckim sprzeczkę wszcząwszy, tak się uniósł, że na starego sługę swego zawołał, kazał sobie płaszcz podać i wyszedł.

Nie dowiedziałem się nawet, co powodowało moją bytność u niego, i z niczem na ten raz odejść musiałem. Teżoż samego dnia jeszcze około południa poszedłem do biura ministra, gdzie mi powiedział, że dziś jeszcze każe mnie poprosić i w tym celu przyśle po mnie, dodając, że po obiedzie będzie bardzo zajęty, a przytem, że niezupełnie zdrowym się czuje. Jakoż położył się nawet do łóżka, by wię-

cej, niestety, nigdy już z niego nie powstać, albowiem na trzeci dzień umarł.

Że miał rzeczywiście zamiar zwierzyć mi się z czemś, co-by wpłynęło na korzyść naszego instytutu, domyślać się i stąd należy, że po śmierci jego znaleziono w gotowiznie 80,000 złp., któremi zupełnie nie rozporządził, a z których opędzono koszta pogrzebu, wbrew jego woli nawet, gdyż najwyraźniej zastrzegł testamentem jak najskromniejsze i najoszczędniejsze pochowanie przy kościele Kamedułów na Bielanych, gdzie zwykł był co niedziela udawać się i tam, siedząc w lasku, dzieła swe pisywał.

W istocie Warszawa nigdy jeszcze nie widziała tak wspaniałego pogrzebu. Od gmachu Towarzystwa przyjaciół nauk, oddawna, darowanego przez nieboszczyka na rzecz tegoż Towarzystwa, postępował kondukt aż do Bielan. Trumna niesiona była przez studentów i obywateli miasta wszystkich stanów na przemian podczas małej tej milki aż do kościoła bielańskiego, w którym wykonano *Requiem* i *Salve Regina* mojego utworu. Działo się to w styczniu, bardzo było zimno, natłok ludu był wszakże tak wielki, że trzeba było dobrze się spocić, chcąc się przez środek kościoła przecisnąć, czego ja i osoby przy mnie idące doświadczyliśmy.

Po śmierci ministra złe wzięło już zupełną górę. Niejednokrotnie ostrzegałem dyrekcję teatralną, że Soliva źle robi, przyjmując obcych mężczyzn, a szczególnie wojskowych, do śpiewu duetów z pannami; zastaniałem się tem, że mam prawo czuwać nad postępowaniem elewek instytutu, na którego czele zostaję, lecz wysmiano moje moralizowanie, a swoje robiono.

Jakoż pod pozorem konieczności obeznania uczennic z wielkim światem, czyli *dobrym tonem*, nim publicznie na scenę wystąpią, i z przekonania, że dla moich nienaruszonych zasad nigdy-bym na to nie przystał i nie zezwolił, wyrobił sobie Roźniecki następny przywilej: że wydział Konserwatorjum, obejmujący śpiew, dramatyczność i deklamację, a przez ministerjum spraw wewnętrznych opłacany, jako też wypłata pensji w tym wydziale, oddany był pod

bezpośrednie zawiadywanie prezesa dyrekcji teatralnej, o czym uwiadomiono mnie pismem urzędowym, zawierającym prócz tego inne jeszcze rozporządzenia, mianowicie, że Małecka zostanie guwernantką uczennic i stołować je u siebie będzie; a niejaka Paris nietylko pod przewodnictwem Solivy lekcje śpiewu udzielać, lecz przyuczać ich ma obęjścia i znajdowania się w wyższych sferach towarzystwa salonowego; nakoniec, że mieszkać powinna w gmachu Konserwatorjum. Wprawdzie później Soliva i Małecka, i Paris z miejsc powyższych potrafił wyrugować, co łatwo było przewidzieć; ma się jednak rozumieć, że wtedy nie miał już mnie pod bokiem.

Panienki dojrzawały w lata i talenta; do tych ostatnich wiele się przyczyniła Lenzi, nauczycielka śpiewu, i Celli, także dający lekcje w Konserwatorjum za osobną zapłatą. Czynności zatem Solivy ograniczały się tylko na przywłaszczaniu sobie cudzej sławy i zmuszaniu mnie do jak najprędzej bezczynności w artystyczno-naukowym wydziale.

Ponieważ mnie, jako założycielowi Konserwatorjum, powierzony był zarząd ogółem i dozór gmachu, zmuszony przeto byłem przy istniejących okolicznościach, jak to łatwo zgadnąć, na wszystko już nie zważać, by nie ściągnąć większych jeszcze prześladowań na siebie. Jednak dopiero w końcu lutego podałem się do dymissji, którą mi udzielono z najwyższymi pochwałami i podziękowaniem za czas mego zarządu w Konserwatorjum, i za gorliwość moją z wypłatą zasług moich za miesiąc ostatni, tak, że jeżeli nie roczną, to kwartalną miałem odebrać pensję. Lecz i tej, i wyłożonych własnych funduszów w ostatnim kwartale na drzewo, światło i szkło w Konserwatorjum, po dziś dzień, pomimo podawanych rachunków, nie otrzymałem.

Otrzymałem potem rozkaz usunięcia się z mieszkania, przezemnie zajmowanego, z przyczyny, że miano w początku kwietnia rozpocząć różne reperacje w gmachu. Tłómaczyłem się, że podług możności starać się będę spełnić dane mi polecenie, lecz że obecnie zupełnie wyprowadzić się nie mogę, mając jeszcze mnóstwo sprzętów i ruchomości, do instytutu należących, pod moją odpowiedzialnością. Ale nie słuchano

tego, bo nie dawszy mi żadnej na moją uwagę odpowiedzi, wzięli się do restauracji gmachu, poczęli stukać, hałasować, zrywać schody i t. d. Żona moja z dziećmi na wieś się przeniósła, a ja łóżko z rupieciami memi przenieść kazałem do pokoju, w którym udzielałem lekcji kompozycji, a do którego prowadziły osobne kamienne schody.

Ani można było myśleć o publicznym egzaminie w Konserwatorjum; jednakże odbyłem prywatny w obecności Radcy Stanu, Mar. Zaleskiego, i kilku członków kommissji oświecenia, a to tylko z wydziału świeżo oddzielonego i pod zaopatrywanie Uniwersytetu oddanego.

W następnym roku szkolnym dodano do tegoż wydziału naukę fortepjanu i nowo zaprowadzoną, podług mego planu, naukę śpiewu przy uniwersytecie i gimnazjach. Kommissja oświecenia, przekonawszy się o niesprawiedliwościach, mnie wyrządzonych, udzieliła mi pismo pochwalne i dziękczynne wraz z patentem na zwyczajnego profesora muzyki przy Uniwersytecie od Nowego Roku z powiększoną pensją o 1,000 złotych, czyli ogółem pobierałem teraz 6,000 złotych rocznie.

Ponieważ gmach, będący dawniej klasztorem, darowany był przez Kommissję oświecenia dla pomieszczenia w nim Konserwatorjum, a w Uniwersytecie podówczas nie było miejsca odpowiedniego do ćwiczeń muzycznych, nie przeszkadzających naukom w innych częściach gmachu jednocześnie odbywanych, przeto prezes dyrekcji teatralnej, a razem dyrektor tymczasowy szkoły śpiewu w części dramatycznej, porozumiał się w tym celu z Radcą Stanu, Mar. Zaleskim, i wskutek tego mieszkanie parterowe odtąd należeć miało do Kommissji oświecenia, pierwsze zaś piętro do Kommissji spraw wewnętrznych, a wielka sala parterowa wspólną. W ten więc sposób dla mnie i rodziny mojej wcale już pomieszczenia nie było. Dawne moje i Solivy mieszkanie najpierw wyporządkowano, w pierwszym pomieszczono uczennicę z guwernantką, a Soliva swoje zajął. Gdy się wzięto następnie do uporządkowania dawniejszego pokoiku panien, rozwalono mur, graniczący z moim pokojem, z którego musiałem ustąpić, unikając zasypania mnie kurzawą i pyłem. Na-

ówczas powiedziano sobie: „pozbedziemy się go przecie“. Wcale nie, pomyślałem i przenieśliem się do klasy instrumentów rzniętych, czego nikt nie spodziewał się zapewne, gdyż był to pokój obszerny wprawdzie, ale straszna rudera, i tam zimę całą przebyłem. Pokój uczennic był już wyprządony; dzięki mojej cierpliwości i wytrwałości do tego doprowadziłem, że mi pozwolono do niego się przenieść, co spowodowało, że nic wspólnego z drugim oddziałem nie miałem. Na urządzenie się w tem mieszkaniu własnych musiałem użyć pieniędzy, podobnież do dziś dnia mi niezwróconych.

Właśnie w tym czasie, gdym mieszkał w prawdziwym więzieniu, a rodzina moja na wieś wygnaną była, przybył do Warszawy dawno oczekiwany artysta, Lipiński. Spotykałem go tylko w towarzystwach, a lubo poznałem go dawniej we Lwowie u hrabiego Łączyńskiego, u którego wówczas zostawał, gdzie przez przyjaciela mego, Bundesmana, oświadczył mi się z szacunkiem i przyjaźnią, teraz nie raczył mnie nawet nawiedzić w mieszkaniu. Obawiał się zapewne odwiedzać wygnańca, unikając nawet pozoru znajomości ze mną, jakby onej żałował. Inaczej zupełnie postąpił ze mną ów sławny kompozytor i artysta, Hummel, przybyły do nas po Lipińskim z Petersburga, a którego przedtem osobiście nie znałem. Nietylko odwiedził mnie, lecz nadto sam się do mnie zaprosił na czas swego pobytu, a dowodząc mi współczuciem swojej przychylności, wprowadzał tem niejako w kłopot gen. Roźnieckiego i Soliwę, którego będąc w Medjolanie także poznał z przygód doznanych w zawodzie kompozytora i pocieszne szczegóły mi o tem opowiadał. Uważanie, jakim mnie wobec gen. Roźnieckiego zaszczycał Hummel, spowodowało nareszcie, że wyznaczono mi powyższe mieszkanie, a Soliva znalazł się niejako zmuszony do wytlómaczenia się jawnego, że nie on był winien temu wszystkiemu, co mnie spotkało, że było to jedynie z woli dyrekcji teatralnej, którą musiałem zapewne czemś obrazić, dodając, że zanadto ceni mój talent i zasługi, by mógł mi być nieprzyjacielem, a tem samem ubiegać się przedemną. Czegoż bowiem jeszcze Soliva miał mi zazdro-

ścić, dopiąwszy już swego celu? To też wyżej przytoczone uniewinnienie i pochwały dla mojej osoby tylko dla formy powiedziane były.

Wolę już raczej zamilczeć i zapomnieć o tem, co się działo, bo dalsze opowiadanie krzywd i niesprawiedliwości, których byłem ciągłą ofiarą, za daleko-by mnie zaprowadziło, a może-by nawet wzbudziło powątpiewanie; lecz ja nie dla efektu prowadziłem mój skromny żywot, pragnąc jedynie być użytecznym i na tem polu zyskać uczciwe imię, i jeżeli tego nie dokazał, nietylko mnie o to trzeba obwiniać!

Przy wyjeździe słusznie ulubionego i znakomitego artysty, Hummla, wręczyłem mu Mszę moją czterogłosową *in A*, którą właśnie wtedy skończywszy, jemu ofiarowałem. Obiecał wprawdzie powtórnie Warszawę nawiedzić, lecz, niestety, nie wrócił już więcej.

Znowu potem zjechał do Warszawy Lipiński, na kornację, jednocześnie z Paganinim; spotkanie to nie było pierwszemu na rękę. Tym razem więcej mnie już uważał, niż poprzednio, i natychmiast odwiedził, chociaż go o to nie prosiłem. Ponieważ przyjechał w przeddzień uroczystości, nie mógł przeto być na próbie Mszy mojej, którą na ten cel napisałem, jednakże odważył się stanąć przed pierwszym skrzypkiem, w zamiarze dyrygowania i odegrania skrzypcowego sola podczas *Benedictus*, chcąc zapewne tym sposobem dać uczuć wyższość swoją znakomitemu naszemu skrzypkowi, Bielawskiemu, i choć mu nie dozwoliłem tego, wskazawszy umyślnie miejsce obok Bielawskiego; doskonale jednak odegrał Lipiński rzeczony solo, pomimo nie zadość uczynienia pierwszemu jego żądaniu. Paganini został wezwany do grania u Dworu. Dwa te wielkie talenta nie mogły się porozumieć. Lipińskiemu przykro było, że oczy i uszy wszystkich zwracały się ku Paganiniemu; chcąc więc ostudzić zapał ku niemu, postanowił otwarcie stoczyć bój

smyczkowy. W celu odwrócenia niejako od tego Lipińskiego, zaprosiłem go do siebie wraz z kilkoma galicyjskimi jego przyjaciółmi na obiad, podczas którego wzywałem go i prosiłem, ażeby nie przerywał szczęściu zapowiadanych koncertów Paganiniego; lecz napróżno: chciał Lipiński koniecznie iść z nim w zawody, w celu dania powodu sprzyjającym sobie gazeciarzom do recenzji i krytyki *à la Pizis* o swojej i Paganiniego grze. Jednak wszystkie tych ostatnich pochwały i nagany, jako też Lipińskiego *anch'io son pittore* nic nie pomogły przed publiczności przyznaniem, bo koncerta Paganiniego pomimo to bywały przepełnione, kiedy Lipińskiego jedyny tylko za ledwie w połowie sali się mieścił, po którym z podwójnym żalem opuścił Warszawę, skarżąc się na oziębłość i brak patryjotyzmu publiczności. Wprawdzie chciałem zbliżyć i pojednać Lipińskiego z Paganinim, dając dla nich ucztę, lecz że Lipiński miał pręcej nad spodziewanie nasze wyjechać, obróciłem przeto pieniądze, na zamierzoną ucztę złożone, na kupno złotej tabakierki, i wręczyłem ją Lipińskiemu w imieniu artystów i miłośników muzyki warszawskich na pamiątkę jego pobytu, żegnając go przy wiwatach i toastach, szumiącym szampanem spełnionych.

W kilka lat później po raz trzeci Lipiński przyjechał do nas, lecz teraz uważał mię jako najpierwszego i dobrze życzącego przyjaciela. Dał parę koncertów, w których uważaliśmy, że grę swoją jeszcze wyżej posunął, i tym razem mniejszy już miał powód narzekania na Warszawę.

Kończąc moje notaty o Konserwatorjum, dodać muszę, że Soliva, doszedłszy nareszcie do zupełnego uskutecznienia planu swego co do organizacji wewnętrznej instytutu wedle myśli swoich, musiał jeszcze raz stanąć przy mnie na wielkim a publicznym egzaminie. Panna Paris uwolnioną już była od obowiązków; Małeczka odprawiona i zastąpiona przez Soliwę w posadzie guwernantki i gospodyni, która, jako córka traktjera, będąc obznajomioną z gospodarstwem oddawna, podczas powyższych intryg starała się o to, nie wydając się jednakże z tem jawnie. Właśnie gdy już znalazł się Soliva u cypla usiłowań swoich, nadszedł rok 1830,

w którym, obawiając się, aby koszta żywienia i pensja jego nie przepadły, pooddalał wszystkich uczniów i uczennice, i tym sposobem Konserwatorjum zniesione zostało, bo je później trudno już było zebrać, (nie zaś mocą Najwyższego, i szczególnego do tego Ukazu). Soliva jest teraz w Petersburgu, gdzie przecież cudów nie pokazuje.

Oto zatem jest mniej więcej historia byłego warszawskiego Konserwatorjum muzyki. Za dowody opisanych powyżej przezemnie okoliczności służyć mogą wszystkie akta, złożone u mnie w tym celu.

Odrobina tego wszystkiego, czem się do założenia instytutu przyczyniłem, lub co już dla istniejącego uczyniłem, nie da się porównać z tem, co następnie wykonać zamierzałem, gdyby nie ścieśniano działań moich, zmuszając mnie do zajęcia się tyłą niesnaskami i walczenia z tak licznymi przeszkodami. Lecz, niestety, potrzeba było do tego większej, jak moja, a żelaznej wytrwałości, odwagi i siły, choć, Bóg mi świadkiem niech będzie, że mi na woli dobrej nie brakło.

Uczniami szkoły mojej kontrapunktowej i kompozycji muzycznej, którzy się wyłącznie muzyce poświęcali, a o których z tego względu wspomnę, byli następujący:

Józef Stefani, syn Jana, ulubionego kompozytora polonezów i opery *Krakowiaczy i Górale*, już przy schyłku dni jego napisanej. Józef Stefani, a uczeń mój, jest dziś nauczycielem śpiewu przy Liceum, twórcą wielu Mszy, dla uczniów tegoż Liceum napisanych, a przytem dyrektorem muzyki baletowej przy teatrze, dla którego napisał operę kilka melodramatów, i ułożył muzykę do kilku baletów.

Piotr Wejnert był drugim nauczycielem fortepjanu w Konserwatorjum, który jeszcze przed rokiem 1830 umarł. Był on synem dawniejszego pierwszego fletyisty orkiestry królewskiej, a twórcy kilku mniejszych oper polskich, kan-

tał, równie jak innych dzieł muzycznych, napisanych dla tutejszego kościoła Ewangelickiego do słów profesora Hoffmana, wynalazcy *Choraleonu*.

Tomasz Nidecki, pochodzący z rodziny bardzo muzycznej, uczeń mój, na koszcie krajowym będący, a który po ukończeniu kursu kompozycji przez Rząd wysłany został za granicę dla dalszego wykształcenia się. Mieszkał długo w Wiedniu, gdzie nakoniec zajmował posadę kapelmistrza przy Leopoldsztańskim teatrze, był twórcą muzyki do kilku melodramatów i oper, a teraz jest drugim dyrektorem przy tutejszym teatrze.

Józef Linowski, Antoni Radziński i Józef Jarecki, którzy szczególnie muzyce kościelnej poświęciwszy się, wiele w tym rodzaju utworów na 3 i 4 głosy z towarzyszeniem organów napisali. Linowski, który, niestety, już umarł, pozostawił *Mszę* swego utworu z towarzyszeniem orkiestry. Radziński biegłym jest teraz organistą przy tutejszym Świętokrzyskim kościele. Ostatni zaś, Jarecki, który także umarł, był organistą przy tutejszym farnym kościele, mając jednocześnie tamże obowiązek kapelmistrza.

Fryderyk Chopin, który swą genialną grą na fortepianie, również przez utwory swoje rozpoczął nową epokę dla tego instrumentu. Prawdziwie wdzięczny i przywiązany uczeń, do dziś dnia nie zapomina o mnie, pocieszając listownie z synowską czułością starego swego przyjaciela i donosząc niemal ó każdym kroku swoim, co mi niewymownie jest przyjemnem *).

Ignacy Dobrzyński, który, że tak powiem, wzrósł przy muzyce (ojciec bowiem jego był kapelmistrzem u hr. Glińskiego), odznacza się szczególnie jako kompozytor orkiestrowy. Współubiegając się z drugimi kompozytorami o prae-mium, wyznaczone w Wiedniu za najlepszy utwór symfonji orkiestrowej, Dobrzyński swoją symfonią omal nie zwalczył i nie przesadził Lachnera: miał wprowadzić ten ostatni trzy

*) Niestety, z korespondencji tej zachowało się kilka za-ledwie listów.

głosy za sobą, Dobrzyński zaś dwa tylko, lecz najważniejsze, bo obu kapelmistrzów nadwornych, i utrzymał się, jak mi o tem donosił *Harlimer*.

Antoni Orłowski, obecnie we Francji przebywający, zajmuje posadę dyrektora muzyki w Rouen, jest twórcą jednej mniejszej opery i wielu dzieł orkiestrowych.

Albrecht Frejer, niezawodnie jeden z najlepszych wykonawców na organach, teoretyk muzyczny, a obecnie organista przy tutejszym kościele Ewangelicko-Augsburskim, utrzymującym przy tymże szkołę śpiewu pod jego dyrekcją.

Napoleon Wysocki, jeden z pierwszych fortepjanistów warszawskich, obecnie w podróży będący.

Józef Nowakowski, którego wiele już dobrych utworów na fortepjan wyszło, mieszka w Warszawie, i z właściwą sobie biegłością, dzielnością i znajomością rzeczy, udziela lekcje na tymże instrumencie.

Józef Krogulski, który już w wieku lat 10-ciu i 11-tu odbył z ojcem kilka podróży artystycznych, w których publicznie na fortepianie słyszeć się dawał. Obecnie w Warszawie zajmuje się dawaniem lekcji i zawiaduje muzyką śpiewu z organami, przy kościele ks. Pijarów, dla których wiele utworów napisał, i tamże szkołę śpiewu urządził.

Co się tyczy Chopina, to kształcił się on w Konserwatorium w nauce harmonji i kontrapunktu, pod kierunkiem Elsnera, od września roku 1826 do lipca 1829, czyli, że przeszedł w niem cały trzechletni kurs nauk od początku do końca. Niezmiernie ciekawe są własnoręczne raporta Elsnera dotyczące egzaminów przy końcu roku, a z których dowiadujemy się o postępach „najprzywiązanego z uczniów“ autora *Łokietka*. Raport pierwszy „o mającym się odbyć egzaminie dnia 17 lipca 1827 roku“, pomiędzy uczniami „kompozycji czyli kontrapunktu“ wymienia trzech najwybitniejszych z następującemi adnotacjami rektora: 1) „*pierwszoletni Chopin Fryderyk (szczególna zdolność)*“, 2) „*drugoletni J. Do-*

brzyński (*zaolność niepospolita*)⁴, 3) „trzyoletni Nidecki (szczególna zdolność)“. W następnym raporcie o zamierzonym egzaminie w d. 12 lipca 1828 roku notuje Elsner: „Chopin Fryderyk (*szczególna zdolność*, drugoletni, wyjechał na wieś dla polepszenia zdrowia); trzyoletni Dobrzyński i Linowski (*wiele zdolności*)⁴. W raporcie trzecim, o zamierzonym egzaminie w d. 20 lipca 1829 r., zapisał już Elsner te pamiętne o Chopinie słowa: „Lekcja kompozycji muzycznej: Chopin Fryderyk (trzyoletni, szczególna zdolność, *genjusz muzyczny*)^{*)}.

W rok później, gdy 20-letni Chopin po swych tryumfalnych koncertach pożegnalnych w Teatrze Narodowym wyjeżdżał z Warszawy (2 listopada 1830), za rogatką wolską oczekiwało go liczne grono przyjaciół z Elsnerem na czele. Kiedy nadjechał, chór męski, złożony z jego kolegów w sztuce, oraz z uczniów Konserwatorjum, odśpiewał rzewną kantatę do słów Dmuszewskiego, umyślnie na ten cel przez Elsnera skomponowaną. W swym „Summarjuszu“ skomponowanych przez siebie utworów muzycznych, w dziale III, pod rubryką „większych i mniejszych kantat“ zapisał Elsner o kantacie tej pod № 37 następujących kilka słów:

Kantata na głosy męskie z towarzyszeniem gitary, napisana na okoliczność wyjazdu ucznia mego, Chopina, a wykonana przez współuczni jego z klasy kompozycji w konserwatorjum w oberży pod Wolą, gdzieśmy oczekiwali na mającą go zabrać pocztę.

*) Erazma Nowakowskiego „Dawne konserwatorjum muzyczne w Warszawie“ w *Echu muzycznym* z roku 1891, oraz Pc-lińskiego: *Z życia Fryderyka Chopina*, feljeton w *Kurjerze Warszawskim* z października roku 1899.

Krwiożercze kwiaty.

(Epizod z ostatniego powstania na Kubie).

Porucznik Will Scorlett otrzymał polecenie, jak się zda-
wało, łatwe i niezawierające w sobie nic tajemniczego: do-
ręczyć list od kapitana Drivera z Porto-Riko admirałowi Lack,
stojącemu z eskadrą po drugiej stronie międzymorza.

— Niewiele wymagam od pana—mówił kapitan,—wziąć
z sobą trzech lub czterech ludzi na wypadek napaści pod-
czas podróży pieszo przez międzymorze i wręczyć list admi-
rałowi. Oszczędzimy tym sposobem, conajmniej, trzy lub
cztery dni. A zdaje się, że ludność miejscowa jest dobrze
usposobiona względem nas.

Ludność, o której mówił kapitan, byli to powstańcy
kubańscy. Na wązkim pasie ziemi, oddzielającym Porto-Ri-
ko od zatoki północnej, gdzie stał okręt admirała, nie było
dotąd żadnych wypadków, pomimo, że międzymorze zajęli
Amerykanie wbrew woli Kubańczyków.

— Trzeba będzie przebyć z pięćdziesiąt mil po zupeł-
nie nieznanem terytorjum — zauważył Scorlett.—Prócz tego,
jeżeli Hiszpanie nas nienawidzą, to i Kubańczycy, jak się
zdaje, niezbyt kochają naszą flagę.

— To prawda, oni są zdolni podstępem okraść człowieka,—odparł kapitan.—Ale, myślę, że nie weźmiesz pan z so-
bą na wyprawę trąb mosiężnych i różnokolorowych girland.

Lasy są tu podobno bardzo gęste. W każdym razie, idziesz pan w drogę, oto list. Możesz pan udać się natychmiast.

— Czy mogę sam wybrać sobie towarzyszków?

— Rób pan, jak się panu podoba. Możesz pan wziąć z sobą choćby psa łańcuchowego, jeżeli chcesz!

— Tak właśnie zrobię; zresztą pies jest moją własnością, więc myślę, że nie pan nie możesz mieć przeciwko temu.

Myśl o przygodach w podróży sprawiała Scorlettowi miłe wrażenie. Fantazja jego była niezwykle pobudzona. Scorlett mógł służyć za typ eleganta, lecz pod światową powierzchownością ukrywał rozum niepospolity; jego zaś wiadomości anatomiczne i botaniczne mogłyby oddać wielkie usługi krajowi, któryby nie znajdował się na najniższym stopniu kolonizacji.

Podporucznik Terror i jeszcze dwaj inni właściciele tych muskułów, nie licząc psa, zamykali mały oddział, udając się w drogę. Gdy słońce zachodzące ostatnim pocałunkiem pożegnało wierzchołki wzgórz, podróżni nasi przeszli już sześć mil drogi.

Scorlett dziwił się, że nigdzie nie było widać śladów zniszczenia. Widocznie wojna nie dotknęła tej miejscowości. Domy i chatki stały nieuszkodzone, a mieszkańcy z ponurą ciekawością spoglądali na Amerykanów z pod pochylonych dachów.

— Musimy poszukać tu sobie schronienia na noc! — rzekł Scorlett, gdy zbliżyli się do wioski, okazujący nawet pewne pretensje do cywilizacji. Przy wejściu do krętej uliczki spotkali niemłodego człowieka.

— Szukamy noclegu! — zwrócił się ku niemu Scorlett. — Jesteśmy gotowi zapłacić dobrze.

Krajowiec wskazał ręką po za siebie.

— Tam, na końcu ulicy, jest restauracja, w której panowie znajdziecie wszelkie wygody. Jesteśmy przyjaciółmi Amerykanów.

Scorlett wątpił o prawdzie tych słów, ponieważ dotychczas spotykał ze strony ludności chłód i podejrzliwość;

w każdym razie podziękował za wskazówkę i poszedł z towarzyszami dalej.

Właściciel oberży także miał swoje wątpliwości: obawiał się, że tacy znakomici panowie nie znajdą u niego należytego komfortu. Gromadka gości, ubranych malowniczo i wyglądających na rozbójników, chłodziła się przy bufecie, z papierosami w zębach. Lecz widok garści złota wkrótce zmienił skromne zdanie gospodarza o swym hotelu.

— Zrobię, co tylko potrafię, szanowni panowie! — rzekł do gości. — Proszę dalej.

Za chwilę Terror i Scorlett siedzieli na otwartem powietrzu, między oleandrami, paląc cygara i popijając wino miejscowe. Z długiego bufetu, jasno oświetlonego, dochodziły do nich wybuchy śmiechu, dźwięki gitary i kastanietów.

— I tutaj się bawią — zauważył Terror.

— A możebyśmy się przyłączyli do nich? — rzekł Scorlett. — Przecież dobry oficer powinien korzystać z każdej sposobności, aby się dowiedzieć coś ciekawego.

Terror z zachwytem przyjął propozycję, z której obiecywał sobie wiele przyjemności; po miesiącu, spędzonym na okręcie w zupełnej beczynności, czuł wielki pociąg do tego rodzaju rozrywek.

Długi, wązki pokój był przepełniony Kubańczykami, którzy nie zwracali wcale uwagi na przybyszów. Wszyscy mieli oczy wlepione w estradę, na której z wdziękiem tańczyła młoda dziewczyna. Wirowała z taką szybkością, że girlanda z czerwonych kwiatów, otaczająca jej ramiona, zdawała się jednostajnym, drżącym płomiennym pasem.

— Śliczna dziewczyna i tańczy znakomicie! — odezwał się Scorlett, gdy taniec się skończył i młoda dziewczyna zeskoczyła na ziemię. — Trzeba odżałować ćwierć dolara.

Tancerka zbliżyła się do widzów, z wdziękiem wyciągając rękę z muszlą i skłoniła się Scorlettowi, rzucając nań miękkie spojrzenie czarnych oczu. Gdy rzucił jej z uśmiechem monetę, jej aksamitne oczy zapłonęły. Siedzący obok Kubańczyk, z czarną brodą, wyglądający na rozbójnika, wydał jakiś złowieszczy dźwięk.

— Zazdrosny jest, jak Otello!—szepnął Terror. — Spójrz no na jego twarz!

— Wolę patrzeć na coś przyjemniejszego! — roześmiał się Scorlett.—Ślicznie tańczyłaś, piękna damo! Mam nadzieję, że jeszcze pokażesz nam....

Zatrzymał się nagle. Spojrzenie jego padło na płomieną girlandę kwiatów; znał wszystkie prawie gatunki, lecz takich kwiatów nigdy jeszcze nie widział.

Był to jakiś nieznanany gatunek orchidej, o wielkich, krwawo-czerwonych kwiatach. Jak wszystkie prawie orchideje, kwiaty te miały podobieństwo do twarzy ludzkiej, lecz twarz miała okropny wyraz okrucieństwa i obłudy. Zapach kwiatów był niezwykły i nieprzyjemny; Scorlett przypomniał sobie, że czuł podobny po bitwie pod Manillą. Tak, bezwątpienia to był odór trupi.

— W każdym razie to śliczne kwiaty!— rzekł do dziewczyny.—Gdzieś je zerwała, piękne dziewczę?

Tancerkę mile polectała uprzejmość młodego Amerykanina, lecz w jednej chwili stanął obok niej brodaty Otello.

— Lepiej pan zrobisz, jeżeli dasz pokój dziewczynie — rzekł hardo.

Scorlett zacisnął pięści i zmierzył Kubańczyka oczami od stóp do głowy. Przypomniał sobie jednak list do admirała i rozsądek wziął w górę.

— Nie jesteś pan domyślny, mój przyjacielu—odparł,— chociaż trzeba przyznać, że masz dobry gust. Mnie zaciekawiały kwiaty. ,

Kubańczyk ochłonął i nawet uśmiechnął się,

— Może pan byś chciał dostać takich kwiatów?—zapytał znowu. To ja je przyniosłem Zarze i mogę panu wskazać, gdzie rosną.

Wszyscy obecni zwrócili oczy na Scorletta, jak mu się zdawało ze złym uśmiechem. Młoda dziewczyna zbladła, jak płótno.

— Gdyby pan wiedział—wyjąkała — niechciałby....

— ...Słuchać bajek głupiej dziewczyny!—wtrącił groźnie Otello i tak silnie wstrząsnął ją za rękę, że tancerka syknęła z bólu. — Rwać kwiaty niewielka rzecz, jeżeli się to robi

ostrożnie. Za dolara podejmę się wskazać panu to miejsce i doprowadzić do portu *Anny*, dokąd pan idziesz.

Scorlett był zachwycony propozycją. Nie mógł oprzeć się chęci poznania nowego gatunku orchidej.

— Dobrze, przyjmuję!—odparł.—Jutro ze świtem wyruszamy. Nazywasz się pan *Tito*? Więc dobranoc, panie *Tito*!

Gdy Amerykanie już wychodzili z pokoju, tancerka zerwała się za nimi i wymówiła niezrozumiałe wyrazy. Dał się słyszeć odgłos uderzenia i stłumiony krzyk bólu.

— Nie, nie!—zawołał *Terror*, gdy *Scolett* chciał się odwrócić, — lepiej się nie wtrącać. Jest ich tu conajmniej po



Tancerka skłoniła się *Scorlettowi*, rzucając nań miękkie spojrzenie czarnych oczu.

dziesięciu na każdego z nas, i wszyscy wrogo usposobieni. Nie trzeba się wtrącać do spraw rodzinnych. Jestem przekonany, że i piękna tancerka w razie potrzeby rada użyć noża, jak jej zazdrosny kochanek!

— Ależ on musiał ją mocno uderzyć!

— No tak, szkoda dziewczyny, ale my jej nic nie możemy. Trzeba jaknajprędzej oddać list komu należy, a nie zawracać sobie głowy dziewczętami.

Scorlett milcząc machnął rękę i obaj opuścili oberżę.

II.

Nazajutrz, o świcie, Tito zjawił się, stosownie do umowy. Był nie do poznania. Wczorajsza zuchwałość znikła bez śladu, dziś był to grzeczny, wesoły i uprzejmy przewodnik.

— Chciałbym jak najprędzej dostać się do portu Anny!—rzekł Ccorlett. — Znasz pan drogę?

— Każdy cał, panie. Chodziłem nią setki razy. Za dwa dni będziemy na miejscu.

— Czyż to tak daleko?

— Odległość nie jest tak wielka, lecz trzeba iść lasem. A są tam ścieżki, na których jeszcze nie postąpiła noga białego!

— A pamiętasz pan o orchideach?

W oczach Tita zabłysnął zły ogień, lecz zgasł w tej chwili. Później Scorlett przypomniał sobie ten szczegół, na który teraz nie zwracał uwagi.

— Zobaczysz pan orchideje, całe tysiące! Używają one wprowadzie złej opinii — lecz są to głupie bajki. Orchideje rosną na wysokich drzewach i puszczają od siebie długie, zielone wąsy, bardzo trujące, trzeba więc rwać kwiaty ostrożnie. Lecz same kwiaty są nieszkodliwe, pomimo, że lud je zowie makiem djabelskim.

Scorlett słuchał chciwie i pałał żądzą jaknajprędzej zobaczyć i samemu narwać niezwykłych kwiatów. Musiał jednak miarkować swój zapach, gdyż na miejscu, gdzie rosły, mieli stanąć nazajutrz.

Całemi godzinami musieli torować sobie drogę przez gęste zarośla. Upał okropny palił skórę i tamował oddech.

Wyszli nareszcie z zarośli i zbliżyli się do grupy wysokich drzew, stojących na wzgórzu. Na drzewach pięły się rośliny pasorzytnicze, spuszczać się w dół jakby pękami zielonych sznurów. W górze czerniły się kwiaty, na widok których Scorlettowi zabiło serce.

— To są krwawe orchideje, prawda? — zapytał przewodnika.

Tito wzgardliwie wzruszył ramionami.

— Jest tu parę kwiatów, a i to dostać ich nie można. Jutro będzie pan ich miał dosyć.

— Myślę jednak—zaczął Scorlett,—że mógłbym....

Zatrzymał się nagle. Ognista tarcza zachodzącego słońca wyjrzała z poza drzew, złocąc pęki zielonych sznurów i robiąc je przezroczystymi, jak szkło. Poplątane zielone zwoje wyglądały jak sztucznie utkana pajęczyna, w środku której, zamiast muchy, kołysał się... szkielet ludzki!

Ręce i nogi miał rozkrzyżowane, gdzieniegdzie wisiały jeszcze strzępy odzieży.

— Okropność!—zawołał Scorlett.

— Jak on się tu dostał? — rzekł, wzdrygając się, Terror.

— Może Tito wyjaśni nam tę tajemnicę! — zauważył Scorlett.

Tito był zaniepokojony. Spoglądał ukradkiem na oficerów, jak złoczyńca, schwytyany na gorącym uczynku. Gdy jednak nie spostrzegł na ich twarzach śladu podejrzenia, odzyskał dawną pewność siebie.

— Owszem, mogę to wyjaśnić! Widziałem już podobne rzeczy. Jest to z pewnością jakiś amator roślin, który był

tu sam i wszedł na drzewo, nie mając z sobą noża. Chwytnie łapy orchidej spętały go, jak sznury, a im bardziej starał się wydostać, tem silniej zaciskały się więzy. Nikt nie słyszał jego krzyków, nikt nie podążył z pomocą i zginął.

Wyjaśnienie było prawdopodobne, nie osłabiało jednak okropnego wrażenia, jakie robił widok szkieletu. Przez czas niejaki oddział posuwał się naprzód milcząc. Zmierzch zapadł i wkrótce ciemności objęły ziemię.



...w środku kołysał się... szkielet ludzki!

— Musimy tu przenocować! — rzekł Tito. — Mamy tu miejsce wysokie i suche, otoczone ze wszystkich stron drzewami. Na przestrzeni kilku mil niema lepszego miejsca.

Mówiąc to, Tito zapalił pochodnię. Znajdowali się na niewielkiej, wysokiej płaszczynie, otoczonej ze wszystkich stron drzewami. Grunt był twardy, suchy i, jak zauważyli podróżni ze zdziwieniem, usiany kośćmi. Były tu czaszki i szkielety ludzkie, ptasie i zwierzęce, wielkie i małe. Widok był niezwykły.

— Nie możemy tu zostać na noc! — zawołał Scorlett.

Tito wzruszył ramionami.

— Inne miejsca niema. W dole są niebezpieczne wyziewy, a w lesie węże i jaguary. A kości? Wielkie rzeczy, można je usunąć.

Wszyscy wzięli się do uprzątniania kości. Wszystkie szkielety były białe i suche od słońca i wiatru.

Wpatrując się w jeden szkielet, Scorlett spostrzegł coś błyszczącego na palcu. Był to pierścień. Wziął go do ręki, obejrzał i zawołał nagle:

— Znam ten pierścień! Należał kiedyś do Antoniego Pierre, słynnego i śmiałego botanika. Nieszczęśliwy padł ofiarą namiętności do nauki! Ciekawym jednak, co to znaczy? Zkąd tu tyle kości ludzkich i zwierzęcych, a wszystkie leżą regularnem kołem pomiędzy drzewami! Nie, coś w tem jest...

Tito zaczął opowiadać, że kilka lat temu wylądowało tu plemię indyjskie, aby spełnić jakies obrządki religijne. Pewnie są tu ich ofiary.

Lecz Scorlett słuchał opowiadania z niedowierzaniem. Ciekawość jego była podrażnioną.

— W tem się kryje jakaś tajemnica — rzekł do Terra. — Chciałbym, bądź-co-bądź dojść prawdy.

— Co do mnie — odparł ziewając Terror, chciałbym zjeść kolację i położyć się spać.

III.

Scorlett leżał na ziemi, spoglądając dokoła przy świetle ogniska. Czuł jakiś niewytłomaczony niepokój i wzrastające wzruszenie. W powietrzu unosiły się dziwne, niewyraźne dźwięki. Gałęzie drzew szeleściły nad jego głową.

Od czasu do czasu zdawało mu się, że widzi zielone węże, uwijające się pomiędzy drzewami. Za kołem, utworzonym przez kości, leżał Tito. Raz jeden podniósł czarną głowę powoli i w oczach jego mignął złowieszczy ogień. Gdy jednak spotkał wzrok Scorletta, położył się znowu.

— Co ten łotr zamyśla? — mówił do siebie Scorlett. — Czuję, że po nim można się wszystkiego spodziewać. Ale cóż on może nam zrobić?—Leżeć!—zawołał na psa, który zawarczał i zawył żałośnie. Widocznie pies także przeczuwał niebezpieczeństwo, lecz na głos pana położył się znowu, i tylko przez sen skowyczał cicho.

— Spróbuję nie zamykać powiek do świtu! — pomyślał Scorlett.

Jakiś czas czuwał, potem zaczął marzyć na pół we śnie. Zdawało mu się, że spaceruje po ogrodzie, pełnym kości i krwawych kwiatów; widział Antoniego Pierre'a, jego bladą, energiczną twarz; słyszał żałosny skowyt psa.

Głos psa zbudził go. Oddychał ciężko. Krople zimnego potu wystąpiły mu na czoło; serce biło mu w piersiach, jak młotem.

Nagle stało się coś dziwnego. Jakaś niewidzialna ręka schwyciła psa, podniosła wysoko w górę i rzuciła na dół. Pies padł ciężko na ziemię i pozostał nieruchomy.

Uczucie niezwyklej bojaźni i własnej niemocy owładnęło Scorlettem. Co to wszystko znaczy?

Dokoła panowała cisza głęboka. Towarzysze Scorletta, znużeni podróżą, spali tak mocno, że zapewne nie obudziłyby ich nawet salwa armatnia.

Scorlett, dzwoniąc zębami, zczołgał się na czworakach do miejsca, gdzie leżał pies.

Ogromny dog już nie żył. Pierś jego broczyła krwią, na szyi były ślady jakiegoś zębatego narzędzia, podobnego do piły. Co dziwniejsza, do koła rozrzucone leżały kwiaty czerwonych orchidej.

Scorlett czuł, że włosy mu wstają na głowie. Nigdy jeszcze w życiu nie doznawał uczucia takiego strachu, takiego przerażenia, jak w tej chwili, tak wszystko było dookoła tajemnicze. Bezwątpienia krwawe kwiaty grały tu jakąś rolę, niedarmo cieszyły się smutną opinją. Teraz dopiero zrozumiał, dlaczego Zara zbladła, gdy Tito podjął się pokazać mu kwiaty; przypomniał sobie jej krzyk i uderzenie przez Tita. Widocznie tancerka chciała go ostrzedz o niebezpieczeństwie, grożącym jemu i jego towarzyszom. Czy to nie zemsta zazdrosnego kubańczyka?

Teraz ośwładnęła nim chęć zapłaty niegodziwcowi. Zbliżył się do miejsca, gdzie leżał Tito i dotknął go lufą rewolweru. Kubańczyk spał dalej.

— Podły łotrze! — zawołał Scorlett. — Zastrzelę cię, jak psa!

Lecz Tito nie poruszył się wcale, oddychał równo i spokojnie. Tak spać mógł tylko człowiek, mający czyste sumienie, lub też pewny, że ofiara nie ujdzie jego rąk. Wtedy Scorlettowi błysnęła myśl, że Kubańczyk nie przypadkowo wybrał sobie miejsce po za obrębem koła, w którym spali Amerykanie i w którym wyłącznie groziło niebezpieczeństwo. Postanowił zostawić w spokoju Tita, a czemprowadzej obudzić towarzyszków.

Nagle ujrzał, jak pęk zielonych sznurów spuścił się z wierzchołka drzewa i wyciągnął się w długą szmaragdową linę, z rodzajem trąby na końcu. Zapewne ta roślina pasożytnicza, żyjąca na drzewach, pochłaniała soki i rosę nocną za pomocą tych wielkich narządów. Przypuszczenie to zdawało mu się prawdopodobne, lecz prędko przekonał się, że się mylił.

Olbrymie łapy wyciągały się i drżały, kołysząc się w powietrzu niby wahadło.

Nagle jedna łapa przesunęła się po ramionach śpiącego majtka, podobna do nici olbrzymiej pajęczyny, gotowej do

pochwycenia ofiary. W oczach skamieniałego z przerażenia Scorletta, łapa pochwyciła trąbą majtka w pół ciała, i powoli podniosła w górę.

Scorlett rzucił się naprzód. Teraz, gdy ujrzał towarzysza w niebezpieczeństwie, strach go opuścił. Wyjął z kieszeni duży nóż składany i przeciął straszny sznur. Pod nożem nie uczył, jak się spodziewał, nic twardego, lecz ciało, podobne do marchwi.

Majtek spadł ciężko na ziemię, potem podniósł się, i zaczął przecierać oczy.

— Co się stało? — zapytał zdziwiony.

— Na miłość Boską, pomóż mi czempredziej obudzić wszystkich! — zawołał Scorlett. — Wpadliśmy w szatańską pułapkę.

Majtek zerwał się na równe nogi i przy tym ruchu całe dolne ubranie jego spadło na ziemię, jakby przecięte ostremi zębami strasznej rośliny. Na ciele pozostały tylko ślady zębów, i wystąpiły kropelki krwi. Trudno w takich warunkach o godzinie drugiej w nocy, być przytomnym, to też biedny majtek nie mógł przyjść do siebie.

— Co się stało? — wyjąkał. — Czyżby mnie...

— Budźże tamtych! — krzyknął Scorlett.

Jeszcze kilka zielonych sznurów opadło z drzewa i strojne w krwawe kwiaty bujały się, jakby czekając na zdobycz. Scorlett, jak szalony, rzucił się ku śpiącym, budząc ich bez ceremonji kułakami. Wreszcie wszyscy się zbudzili, prócz Tita, który spał snem błogosławionego.

— Nic dotychczas nie rozumiem, o co idzie? — odezwał się Terror.



„łapa pochwyciła trąbą majtka w pół ciała i powoli podniosła w górę.

— Chodź pan tutaj, dalej od tych drzew, to ci wytłumaczę wszystko! — odparł Scorlett.

Opowiedział szczegółowo wszystko, na co patrzył własnymi oczami. Towarzysze, z wyjątkiem majtka poszkodowanego, słuchali z niedowierzaniem.

— Nie mogę w to uwierzyć — mówił Terror cicho, aby nie obudzić Tita.—To jakieś czary przeklętych Kubańczyków. Nie może być, aby te marne sznury mogły zrobić coś podobnego.

— Zobacz pan — odparł Scorlett, — co te marne sznury zrobiły z naszym psem.

— To prawda, że biedne zwierzę padło ofiarą, jednak ja chcę się na sobie przekonać....

Tymczasem kilkanaście sznurów zwiesiło się z drzew i kołysały się, jakby poruszane ręką niewidzialną; był to nawet widok wspaniały, tylko nie dla Scorletta, który widział już ciemną stronę tego wspaniałego widoku.

— Co pan chcesz zrobić? — zapytał Terrera.

— To, co powiedziałem.

Nie tracąc czasu na przekonywanie, Scarlott rzucił się do Torrera, chcąc go powstrzymać siłą.

— Nie, nie! — zawołał Terror, pojmując jego zamiary. — Nie przeszkodzisz mi pan!

Rzucił się naprzód i zaczął torować sobie drogę przez szmaragdowe sznury.

— Na miłość Boską, wróć się! — krzyczał Scorlett.

Było już zapóźno. Zielone sznury spowiły ciało Terrera, krępując go z taką siłą, że przestał oddychać i uczył, że nogi jego podnoszą się od ziemi. Ostatkiem sił począł rozrywać straszne łądzygi i na chwilę znów stanął na ziemi.

Nie dbając o własne bezpieczeństwo, Scorlett i towarzysze rzucili się na pomoc. Cztery noże pracowały gorączkowo, tnąc potworne łądzygi.

— Nie wszyscy razem! — wołał Scorlett. — Niech jeden będzie na pogotowiu, aby przecinać nowe, opuszczające się z góry sznury. Dalej, chłopcy, żywo!

Tymczasem zielone łądzygi owinęły całe ciało Terrera, jak węże. Twarz Terrera zbladła jak błotno.. Wreszcie



Cztery noże pracowały gorączkowo, tnąc potworne ramiona...

Scorlett przeciął resztę krępujących nieszczęsnego sznurów i Terror upadł na ziemię bez przytomności.

Gdy odniesiono go na miejsce bezpieczne i wszyscy opuścili koło zaczarowane, Scorlett uczuł zawrót głowy i mdłości, i stracił przytomność.

Po chwili ocucono go, a w pół godziny później i Terror odzyskał przytomność.

— Czuję się dziwnie słabym i jakby pijanym!—odezwał się Terror.—Trzeba by jednak skwitować się z naszym przyjacielem Titem!

— Śpi, jak niewinne dziecko—odparł Scorlett,—w przekonaniu, że już przestaliśmy istnieć. Ale przygotowałem mu niespodziankę.

Tymczasem Kubańczyk obudził się i spojrzał dokoła. Z początku wzrok jego wyrażał ciekawość, potem rozczarowanie i wreszcie bojaźń.

Scorlett zawołał go do siebie.

— Nie będę z tobą długo rozmawiał. Przekonaliśmy się, że nie można ci zaufać, pójdziemy więc dalej sami.

— Wolno panu robić, co mu się podoba, proszę tylko o przyrzeczoną mi zapłatę

Lecz Scorlett odpowiedział mu, że musi się zabezpieczyć przed nim nadal.

— Zostawimy cię tutaj do naszego powrotu. Żywności będziesz miał dosyć, a ochroną będą ci te drzewa. Do jednego z nich przywiążemy cię.

Zuchwała pewność siebie opuściła Kubańczyka. Kolana pod nim zdrząły, zimny pot wystąpił na czoło.

— Do tych... drzew... — wyjąkał.

— Tak, mój przyjacielu, do tych drzew.

— Ale tu niebezpiecznie.. tu są węże... lepiej gdzieindziej...

— Jeżeli to miejsce miało być bezpieczne dla nas, to będzie bezpieczne i dla ciebie.

Tito nie wytrzymał dłużej. Padł na kolana i błagał o litość, przyznając się, że powodowała nim zazdrość.

— Jak wy rwiecie te kwiaty? — zapytał Scorlett.

— Bardzo prosto. Za dnia, gdy sznury skręca się w górę, jak sprężyny, trzeba zwilżyć pod nimi ziemię; trąby wchłaniają w siebie wilgoć, prostują się i wtedy można ścinać kwiaty; w każdym razie trzeba być ostrożnym!

— Już ja nie chcę się dotykać tego djabelskiego maku. A ty, mój przyjacielu, pójdiesz z nami, nie jako przewodnik, lecz jako tymczasowy więzień.

Kubańczyk schylił głowę, milcząc.

Z PRASY.

Spór o granicę w Tatrach.

Istniejący oddawna pomiędzy Galicją a Węgrami spór o obszar przy Morskiem Oku, zaostrzył się znowu w ostatnich czasach. Pomimo, że przed dwoma laty obie strony zgodziły się oddać sprawę do rozstrzygnięcia sądowi rozjemczemu międzynarodowemu, Węgrzy pod osłoną swej żandarmerji rozpoczęli budowę strażnic na spornem terytorjum.

Wobec rozdrażnienia wielkiego dwóch narodowości, sprawa staje się coraz ciekawszą, podajemy zatem czytelnikom jej przebieg podług „Przeglądu Zakopiańskiego”

Wojna, jaka wybuchła między Turcją a Rosją w roku 1769, i walki partyzanckie konfederatów w Polsce były powodem, że Austria, dbając o całość swoich granic, wystawiła zaraz z wiosną tegoż roku wzdłuż całej granicy węgierskiej od Polski, Mołdawji i Multan silny kordon wojskowy, aby zabezpieczyć swych poddanych z jednej strony od możliwych napadów stron walczących, z drugiej, aby przeszkodzić zawleczeniu zarazy morowej, która w tym czasie właśnie silnie wybuchła w Polsce, a mianowicie na Podolu i w okolicach podkarpackich. Dowódcy wojsk cesarskich otrzymali odpowiednie polecenia, aby żadnej ze stron walczących nie forytowali, lecz zachowali „najściślejszą neutralność“, każdy jednak gwałt odparli gwałtem i ktobykolwiek się poważył przekroczyć granicę, aby go natychmiast rozbrojono. Dla usunięcia wszelkich wątpliwości co do kierunku strzeżonej granicy, postanowiono oznaczyć ją w miejscach mniej od natury rozgraniczonych znakami „najbardziej znanymi i bu-

dzącymi uszanowanie“, to jest orłami cesarskimi z herbem węgierskim na piersiach. W tym celu ustanowiono osobnych komisarzy i wydano im specjalne instrukcje, z których najważniejsza brzmiała następująco:

„Wobec Mołdawji mają się komisarze z wszelką ostrożnością i uprzejmością zachować i dotychczasowe granice ściśle szanować, aby uniknąć jakiegokolwiek powodu do zażaleń. Względem Polski winni tak postępować, aby owe państwa, łąki i inne grunta, o któreby Polacy chcieli się spierać, zająć i bez żadnego względu na jakikolwiek protest zatrzymać“ *).

Baron von Seeger, cesarski pułkownik jeneralnego sztabu i radca dworu węgierskiego, Józef Török, wydelegowani do obrony granic Austrii, mając poleconą swobodę działania i niekrepowania się względami wobec Polski, z wojskiem regulowali granicę, jak im się tylko żywnie podobało. Wymyślali wszystkie powody pretensji do ziem polskich wzdłuż Karpat tak, że w tym zapale roku 1769 wcielili do Węgier, a tem samem do Austrii nietylko Spiż, część dolin od Liptowa, całą Nowotarszczyznę, ale nawet Sądeczyznę po Beskidy i na ich grzbiecie słupy graniczne z orłami cesarskimi ustawiali!

Tymczasem nastąpił pierwszy rozbiór Polski; Austrija zabrała całą krainę tę, którą Galicją przewzano, nie zgadzało się przeto teraz z interesem państwa, aby bezprawnie wydartę świeżo przez komendanta Seegera z komisarzem rządowym Törökiem nadgraniczne części Polski pozostały przy Węgrach.

I stała się rzecz ciekawa, a bardzo zabawna, że teraz trzeba było owe powiaty odbierać Węgrom, aby wcielić je do Austrii. Baron von Seeger poszedł do dymisji, a inny jenerał austriacki musiał rewindykować przez tegoż przed trzema laty uzurpowane krainy dla Węgier. Wtedy to odebrano Sądeczyznę i Nowotarszczyznę od Węgier, a tem samem i ta część Tatr, którą się udało urwać Węgrom, pozostała przy Galicji. Węgrzy jednak nie chcieli się cofnąć pod Polski Grzbień; narady wspólnych komisji do rozstrzygnięcia tego sporu o granicę do żadnego rezultatu nie doprowadziły.

Po trzecim rozbiorze Polski, gdy rząd austriacki potrzebował pieniędzy, rozpoczął sprzedawać dobra koronne w Ga-

*) Dr. A. Czołowski: Sprawa sporu granicznego przy „Morskiem Oku“.

licji, zabrane Polsce, i Nowotarszczyzna jako taka poszła na handel. Kupujący musiał jednak wiedzieć, co nabywa, więc wypadło oznaczyć granice obszaru ściśle, i tym sposobem w r. 1824 Kamera, t. j. zarząd dóbr państwowych, odstępując Homolaczowi dobra Zakopanego i Kościelisk, musiała temuż oddać nabyty obszar, który nad Morskiem Okiem kopcami granicznymi odznaczono. Boki jego tworzył grzbiet Tatr od Mięguszwieckiego szczytu ciągnący się przez Rysy i Żabie, dalej, jako granicę, wytknięto linię prostą do punktu, gdzie do Białej Wody wpada potok Rybi (to jest woda płynąca z Morskiego Oka). Granica obszaru dworskiego, do Zakopanego należącego, stała się odtąd granicą polityczną między Galicją a Węgrami. Opis szczegółowy wytkniętej wówczas granicy wraz z rysunkiem na mapie znajduje się w aktach.

W r. 1831 niejaki Sochor, leśniczy u Homolaczów w wsi Bukowinie, przeniósł się na taką posadę do sąsiadów na Węgrzech do Paluczajów i w zawiści do swoich dotychczasowych chlebobawców podburzył dziedzica węgierskiego do oderwania części obszaru nad Morskiem Okiem od dóbr Homolacza, na podstawie jakichś dawniejszych pretensji. Działy się na tym skrawku różne odtąd awantury prywatnej natury; zajmowanie pasącego się bydła, wyrębywanie drzewa, o co udawano się ze skargami do władz rządowych. Przez lat 7 zbierały się komisje, które swoje rezultaty odsyłały do namiestnictwa i do ministerstwa spraw wewnętrznych, że w końcu polecono na nowo wytknąć granicę między posiadłościami sąsiadującymi. Homolacze tymczasem uznali za stosowne zgodnie zakończyć ów spór o granice swoich posiadłości z Salomonem, dziedzicem Lendaku i w r. 1858 sprzedali mu stoki Żabiego. Aktu tej sprzedaży jednak gubernator Galicji nie zatwierdził, iżby stąd nie wyniknęły spory o granicę polityczną.

Granica tedy Galicji od Węgier szła granicą grzbietu Tatr na około Morskiego Oka, padając na dolinę Białej Wody do punktu, gdzie schodzi potok Rybi. Sołtysi z Białki pasali bydło na zboczu Żabiego, a właściciele dóbr Zakopanego dzierżyli las poniżej położony.

Spokój jednak w tej okolicy zaprowadzony zamącił na nowo uciekinier ze służby dworskiej na polskim chlebie utuczony, oficjalista leśny Kegel. Wkręciwszy się do służby świeżego nabywcy dóbr Jaworzyńskich, pruskiego magnata, księcia Hohenlohe'go ze Szlawencyc na Śląsku, podjudził swego chlebobawcę ze zemsty osobistej do wszczęcia sporu o stoki Żabiego nad Morskiem Okiem.

Rzeczy były tak już dobrze dla Węgrów przygotowane, że na zwołanej komisji przy Morskiem Oku w 1883 r. w d. 16 sierpnia, starosta nowotarski Steuer miał podpisać w imieniu rządu austriackiego umowę o posunięciu granicy węgierskiej, wedle życzeń delegatów węgierskich. Tu dopiero po raz pierwszy spotkali napastnicy opór, bo wśród delegatów Galicji znalazł się reprezentant wydziału krajowego radca Mochnacki, wysłany przez ówczesnego marszałka krajowego d-ra Zyplikiewicza, który w imieniu kraju kategorycznie oświadczył, iż na żadne uszczuplenie granic kraju nie przyśanie, ale owszem zażąda zwrotu dawniej już oderwanych części Tatr.

Odtąd trwa wojna w tej uroczej krainie na dobre, chociaż obszar sporny przez władze wyższe ogłoszonym został za nietykalny dla obu stron, do rozstrzygnięcia wyroku, pod karą 10 tysięcy guldenów. Z polskiej strony zakaz naruszania spornego obszaru ściśle jest zachowywanym; z węgierskiej zaś jest polem ciągłych gwałtów, sięgających nawet terytorjum zakwestjonowanego. Ścieżki naokoło Morskiego Oka, wyrobione nakładem Tow. tatrzańskiego na użytek powszechny dla turystów każdej narodowości, niszczyli wysłańcy zarządcy dóbr Hohenlohego. Ławy do przejścia upływu wody z jeziora, służące też dla każdego człowieka, ulegają barbarzyństwu owego zarządu; przeszkadzanie gościom w zwiedzeniu okolicy należy do czynów cywilizacyjnych pełnomocnika pruskiego. Nawet posunęła się służba jego do takiego postępku, że naczelnika c. k. sądu z Nowego Targu, chcącego sprawdzić nietykalność obszaru spornego, przyjęła z wymierzonymi ku niemu strzelbami. Zniewagę tę władzy cesarskiej ignorowały najwyższe czynniki w Wiedniu.

Corocznie ksiązę Hohenlohe z całym swoim dworem, w sierpniu polując na kozice, zapędza się za nimi na sporny obszar, na którym ustawą wzbronionem jest polowanie. Strażnicy wnoszą skargi o to przestępstwo, na które żadnych skutków nie mogą się doczekać. Zarząd dóbr księcia Hohenlohe'go stawia jeden dom za drugim na spornym obszarze, które wprawdzie nigdy zimy nie przetrzymują, bo ulegają pożarowi, ale stawianiu nowych rząd nie przeszkadza, pomimo nawoływań ze strony tak wielkiego koronnego kraju, jakim jest Galicja w państwie austriackiem.

Ta bezkarność służby właściciela dóbr Jaworzyńskich podkopuje wszelką powagę rządu austriackiego i sprawia fatalne wrażenie, przypominając stan Polski z roku 1769, gdy cesarskiemu komendantowi wojska wysłanego do strzeżenia granic Austrii dano instrukcję szanowania innych rzą-

dów, oprócz polskiego, który wolno było traktować bez żadnych względów.

Wskutek dualizmu państwa austriackiego Węgrzy znajdują się wobec innych prowincji tegoż w stosunku międzynarodowym, to jest tak samo, jakby przez Tatry przechodziła granica francuska lub szwedzka. Do osądzenia przestępstwa popełnionego przez Węgrów na granicy Galicji niema w Austrii władzy. Potrzeba na to sądu rozjemczego międzynarodowego i na takie rozsądzenie sporu granicznego zgodziła się reprezentacja polska na sejmie we Lwowie, jak i węgierska w Peszcie. Wyznaczyły obydwie strony swoich arbitrów, a ci mieli sobie wybrać superarbitra na przewodniczącego. Uplłynęło już lat 5 od dokonania tych czynności, lecz do wyboru superarbitra dotychczas nie przyszło pomimo wniosków polskiego reprezentanta. Widocznie jest, że Węgrzy, przeczuwając niepomyślny dla siebie rezultat przy rozsądzeniu sporu granicznego, usiłują zwłoką sprawę zabagnić, tembardziej, gdy sporny obszar dzierżą i prawych dziedziców od używania swojej własności gwałtami odtrącają bezkarnie.

Dla tych osób, co nie znają istoty tej sprawy granicznej nad Morskiem Okiem, trzeba nadmienić jeszcze, że Węgrzy nie posiadają żadnych dowodów, jakoby kiedy stoki Żabięgo do nich należały. Przeciwnie wszystko świadczy, iż to jest niezaprzeczona nasza własność. Nawet gdy dobra Zakopanego były wystawione na publiczną licytację w roku 1888 i mapy całego obszaru długo były publicznie w Nowym Sączu wystawione do przejrzenia chcącym nabyć, nie założyli Węgrzy, ani książę Hohenlohe żadnego protestu. Po kupieniu ich przez hr. Władysława Zamoyskiego dnia 9 maja 1889 r., gdy nastąpiło oddanie całego obszaru przez c. k. sąd i wydzierany namkęs ziemi jawnie był oddany w ręce nowego nabywcy, nie pojawił się nikt ze strony węgierskiej, coby się ośmielił zaprzeczyć prawomocności kupna i zajęcia na własność całych dóbr ze stokami pod Żabiem naokoło Moskiego Oka.

Poprzedni właściciele tego obszaru płacili zawsze podatki do kasy rządowej w Nowym Targu; jakiekolwiek czynności urzędowe wypadły do spełnienia na tym gruncie, odbywały się z ramienia władz austriackich, w Galicji istniejących. Mapy i opisy Tatr przez Węgrów i Niemców, wydawane z dawien dawna, nie zaprzeczają należenia okolicy całej nad Morskiem Okiem do Polski, a po teźże rozbiorze do prowincji Galicji. Kto chce sprawdzić te twierdzenia, niech zajrzy do pracy d-ra A. Czołowskiego: „Sprawa sporu

granicznego przy Morskiem Oku", który, umocowany przez wydział krajowy do zebrania aktów dotyczących, zbadał archiwa cesarskie, rządowe i zagraniczne, i owoc swoich poszukiwań wydał w wymienionej książce.

Gdyby Węgrzy choć jeden wiarogodny dokument posiadali, któryby wykazał słuszność ich pretensji do obszaru wydzieranego nam w Tatrach przy Morskiem Oku, toby już dawno wyrok pomyślny pozyskali. Nie mają za sobą nic, tylko prawo kaduka; tymczasem budowaniem strażnic na spornym obszarze pod osłoną karabinów żandarmerji pragną dowieść istotności posiadania. Do nas należy czuwanie, iżby ani chwili nie dzierżyli Węgrzy naszej ziemi spokojnie bez protestu, aż do wydania wyroku przez sąd rozjemczy międzynarodowy.

Królestwo Kongresowe.

Znany badacz niedalekiej przeszłości naszej, p. Szymon Askenazy drukuje w tegorocznych zeszytach „Biblioteki Warszawskiej” szereg interesujących artykułów p t „Pożegnanie stulecia”. Artykułów takich ukazało się pięć. Podajemy czytelnikowi naszemu artykuł piąty, z zeszytu czerwcowego.

Kongresowe Królestwo Polskie wyobrażało na wszelki sposób nowinę dziejowo-polityczną. Doniosła nowinę w stosunku rosyjsko-europejskim. Nowinę kapitalną w stosunku polsko-rosyjskim. Rossja ostatecznie stanęła w Warszawie. Zaś stawiała się już nie tak, jak przed dwudziestu niespełna laty. Wtedy, z woli cesarzowej Katarzyny, dobywszy miast, wydała je Prusom, sama cofnęła się do Niemna i Buga. Teraz, z ramienia cesarza Aleksandra, przychodząc z odnowicielską gałązką oliwną, rozgłosiła się pokojowo i pozostała nad Wisłą. Już nie z borów żmudzkich i stepów ukraińskich, ale z równin Mazowsza, wypukłą, zgoła ekspansywną linią frontową, bezpośrednio obejmowała Zachód. To była ważna nowość dla Europy. Aliści była tu inna jeszcze, nieskończenie ważniejsza dla Polski. Polska sprzęgnięta została z Rossją. Znowuż przecie całkiem inaczej, niż przed laty dwudziestu. Już nie na samej tylko jednostronnej, mechanicznej czynności wchłaniającej, lecz na obustronnym, orga-

nicznym zespole miało nadal polegać łączne pożyte obojga narodów. Tak więc, od jednego zamachu, zmieniło się, dopełniło, albo pono nawet odrodziło, stanowisko Rossji względem Europy, stanowisko Polski względem Rossji. Jakkolwiek bądź, dopełnienie, czy też bodaj odrodzenie, napewno znacząca odmiana, winna była znaleźć sobie odpowiedni wyraz w kongresowym Królestwie Polskiem. Wynikało pytanie: o ile ten nowy wyraz prawno-polityczny odpowiadał istotnie nowemu dziejowo-politycznemu zjawisku? O ile znaleziona na Kongresie wiedeńskim formuła ustawodawcza i terytorjalna Królestwa Polskiego czyniła zadość jego europejskiemu i polskiemu powołaniu?

Ustawa Królestwa, w samej swojej zasadzie, jako *conditio sine qua non*, warowana była przez Kongres. Jednak, w swoim zastosowaniu, niby zło konieczne, nader tylko ogólnikowo była wskazana w kongresowym akcie wiedeńskim. Wszakże rozwinięta następnie, hojną dłonią Aleksandra, w akcie konstytucyjnym warszawskim, uposażona została w stosowne instytucje narodowe i liberalne. Przeciwnie, terytorjum Królestwa było początkowo planowane, w dziejowych zapewne pomysłach, lecz w nader obszernym zakresie, przez cesarza Aleksandra. Ale następnie, skąpą ręką Kongresu, pod bezpośrednim jego naciskiem, skurczone zostało do szczupłych i ułamkowych rozmiarów przestrzennych i ludnościowych. Antynomja zaiste uderzająca. Obszer-na ustawa wykroczyła po za myśl pierwotną Kongresu. Ciasne terytorjum pozostało w tyle za pierwotną myślą Aleksandra. Ta znamienna antynomja pochodna wyrastała wprost z pierworodnej europejskiej, jak samo Królestwo było płodem kongresowej Europy. Wyrastała z onej wewnętrznej sprzeczności zasadniczej, która, jak się rzekło, stanowiła piętno wytyczne, a stanowiła oraz kalectwo, stanowiła kłutwę wszystkiego kongresowego dzieła. W tem rzekomem dziele „restauracyjnej“ odnowy, naprawdę pokutowała przedewszystkiem stara, przedawniona, przeszłościowa racja stanu. Pokutowała tem samem uparta negacja nowożytnego ducha, nowożytnych warunków i nowożytnych konieczności. Ale takie absolutne przeczenie dziejowego postępu niewszędzie już było podobieństwem. Przychodziło tedy radzić sobie z musu, od wypadku do wypadku, połowicznym, nienaturalnym i nieskutecznym kompromisem. Tak stało się właśnie w wypadku niniejszym. Kongres żywił zakorzenioną nieufność dla Polski, dotychczas zachodniej awangardy napoleońskiej, i, co gorsza, najdobitniejszego uosobienia nowoczesnej idei narodowościowej i wyzwolenczej. Żywił zara-

zem zrozumiała trwogę przed Rossją, ustatkowaną teraz w Warszawie, odtąd wschodniej straży przedniej rosyjskiej. Owóż, Kongres, nieufny i trwożny, poradził sobie po swojemu. Wynałazł rozcieńczone lekarstwo zapobiegawcze, które nie zapobiegało niczemu. Obmyślił połowiczne zabezpieczenie, które nie zabezpieczało od niczego. Obmyślił mianowicie rozwiązanie, będące kompromisem pomiędzy zasadą podziałową XVIII wieku, a narodowościową XIX wieku. Zastrzegając ustawę, obciął terytorjum Królestwa. Obciął, ile tylko się dało. Mniemał, że w ten sposób osłabiał niebezpieczeństwo. Nie rozumiał, że je potęgował. Niezdolny rozumieć ducha czasu, tym razem nie rozumiał nawet własnego interesu. Nie pojął, że metoda była przestarzała, że zmieniły się warunki. Nie pojął, że dać więcej, obecnie, wśród odmiennych warunków, znaczyło poniekąd dać mniej, i na odwrót. Nie pojął dalekonośnych konsekwencji, jakie nieściła w sobie nowa idea związku, stanowiąca na miejscu starego sposobu wcielania. To też nie pojął konieczności szczerego, trwałego ufundowania tej nowożytniej idei związkowej. Zostawił ją w powietrzu. Zawiesił na zastrzeżeniu ustawodawczem i na tem poprzestał. Wiotkie oparcie, żaden fundament. Tembardziej, że samo zresztą owo zastrzeżenie konstytucyjne, aczkolwiek stanowczo i bezwarunkowo zarejestrowane *in abstracto*, przecież w przyszłych swoich konkretnych szczegółach półgębkiem tylko, po akademicku, wyznaczone było w akcie wiedeńskim. Rękojmie konstytucyjne już z samej swojej natury nie były w smak Kongresowi. Dlatego też równoległe rękojmie dla Poznańskiego i Galicji tak łatwo mogły zostać obrócone w żart, w niwecz, przez Prusy i Austryję. Kongres w tych rzeczach patrzył przez szpary. Wprawdzie z Królestwem Polskiem była sprawa nieco inna. Tutaj, w Warszawie, sankcje ustawodawcze miały podobno pewne specyficzne znaczenie ochronne, jakiego nie miały ani w Poznaniu, ani we Lwowie. Tutaj ustawa miała podobno zapobiegać, zabezpieczyć, zahamować. Ale cóż znaczyła goła ustawa? Wedle myśli Kongresu miała być hamulcem. Lecz wedle pierwotnej intencji cesarza Aleksandra miała być dźwignią. Tylko takiej intencji zawdzięczała ona naprawdę swoje obszerne i liberalne brzmienie. Tuszył sobie pierwotnie, i słusznie, jej nadawca, że przez nią zjednoczy w swoich rękach władzę moralną nad powszechnością opinii polskiej. Rachował, że tedy może w następstwie dźwignie niedokonane na Kongresie zjednoczenie pod swoim berłem powszechności ziem polskich. Ale takie intencje bardzo wspaniałe, lecz bardzo ryzykowne, mogły

uledz zmianie, ze zmianą okoliczności, czasu, a nawet, a zwłaszcza — ze zmianą człowieka. W rzeczy samej zmienia się radykalnie już po kilku latach. Cóż wtedy zostanie? Zostanie nowotwór nie zrównoważony i niedojrzały, a pozbawiony odtąd widoków dotarcia dojrzałości i równowagi.

Właściwe dzieje konstytucyjne Królestwa Polskiego poprzedził wyjątkowo długi okres przygotowawczy, ciągnący się od początku 1813, aż do końca 1815 roku. Z kolei, w samym tym blisko trzechletnim okresie wstępnym, wyłaniają się dwie oddzielne, a nierówne fazy przechodnie. Nasamprzód, przez dwa lata z górą, okupacyjne rządy wojskowe Księstwa Warszawskiego, aż do ogłoszenia Królestwa. Następnie, przez pół roku, mieszane rządy tymczasowe Królestwa Polskiego, aż do ogłoszenia karty konstytucyjnej.

W lutym 1813 roku, zwycięskie wojska rosyjskie wkroczyły do Warszawy. Całe Księstwo faktycznie objęte zostało w posiadanie przez Rossję. Stworzona została po raz pierwszy nowa, nieznana tutaj dotychczas, władza generał-gubernatorska. Rzeczywistym rządcą naczelnym kraju został generał-gubernator Łanskoj. Wprawdzie po paru już miesiącach zaprowadzono, pod jego przewodnictwem, pośrednią władzę krajową, z obszernym tytułem Rady Najwyższej Księstwa, a przy udziale niektórych Polaków. Wszakże ta nieokreślona instytucja, acz rzekomo „najwyższa“, była niczem więcej, tylko „radą“. Skład jej polski był nieliczny i dobrany starannie, nie z pośród obywateli Księstwa, lecz z dotychczasowych poddanych rosyjskich. Wszedł więc tutaj Lubecki dla spraw wewnętrznych, Wawrzecki — dla sprawiedliwości, Czartoryski — z kompetencją raczej ogólnikową; zresztą wiceprezydium Rady — przy Nowosilcowie, prezydium — przy Łanskoju. Zostawiono wprawdzie w głównych zarysach dotychczasowe formy administracyjne francusko-warszawskie. Wprowadzono jednak do nich niejedną dotkliwą modyfikację w duchu wyjątkowej administracji cywilno-wojskowej. W tej pierwszej dobie okupacyjnej sprawa zasadnicza, sprawa wcielenia, albo też związku, była jeszcze całkowicie w zawieszeniu. A nawet dość długo i dość wyraźnie rozwiązanie ostateczne zdawało się wówczas przechylać raczej na stronę wypróbowanej zasady wcielenia, aniżeli nowomodnej zasady związku. Takie przynajmniej było, bez żadnej wątpliwości, mocne przekonanie i życzenie Roszjan, rządzących wówczas Księstwem Warszawskim w imieniu cesarza Aleksandra. Taka była opinia Łanskoja. Ten najpierwszy generał-gubernator warszawski, postać za-

pewne już z samego tytułu ciekawa, typ dworaka i męża stanu z czasów końcowych Katarzyny, osobiście człowiek oglądany i ujmujący, swoim oględnym i zręcznym obejściem, dobrą francuszczyzną, wyszukaną uprzejmością, łagodnym, często ulgowym sprawowaniem rygorów okupacyjnych, potrafił zyskać sobie sympatję i nawet wdzięczność Warszawy. Atoli, w charakterze gospodarza najgrzeczniej czyniąc honory Zamku królewskiego, nie omieszkiwał równocześnie, w poufnych raportach do Aleksandra jak najmocniej ostrzegać przed niewczesną, niebezpieczną i zgoła zbyt hojnością ustawodawczą względem trzymanyh w rękę ziem warszawskich, a natomiast usilnie doradzał proste wcielenie tych ziem zdobytych, na wzór ośmiu gubernij zachodnich, do imperjum wszechrosyjskiego. W tym samym zupełnie duchu starał się wpływać senator Nowosilcow, wiceprezes Rady, wprowadzony tam przez Czartoryskiego, udający najżarliwszego przyjaciela Puław i Polski, a zarazem redagujący tajne memorjały o niezbedności roztoczenia ścisłego dozoru policyjnego nad wszystką ludnością Księstwa, zarówno po departamentach, jak w szczególności w Warszawie. Wreszcie, co najciekawsza, pod wpływem takich inspiracyj, a w pewnej mierze niezawodnie i z własnego naturalnego popędu, W. Ks. Konstanty Pawłowicz, z większą jeno otwartością od Łanskojów i Nowosilcowów, w podobnym oświadczył się duchu. Powołany niebawem do tak wyjątkowej roli w Królestwie Polskiem, a pod koniec nawet niejednokrotnie nadzwyczaj śmiały rzecznik jego odrębności politycznej, — Wielki Książę wtedy jeszcze, w tej najwcześniejszej dobie wstępnej, radził po prostu zamienić departamenty na gubernje, posadzić gubernatorów z Cesarstwa, jednym słowem, ustanowić porządki warszawskie na wzór i podobieństwo kijowskich, witebskich albo wileńskich. Wprawdzie cesarz Aleksander, koniec końcem, nie dał posłuchu tym radykalnym natchnieniom, i swoją ostateczną decyzję na podnioslejszej, odnowicielskiej oparł podstawie. Ale ta ostateczna własna jego decyzja bynajmniej nie była przez niego odrazu niezłomnie i nieodwołalnie powzięta. Nazbyt był praktycznym politykiem Aleksander i nazbyt był sobą, ażeby z góry nieodwołalnie jedną tylko zostawiać sobie drogę, ażeby sobie odwrót zamykać. Chciał od początku bytu Królestwa, i w najobszerniejszem znaczeniu, ale rezerwował sobie także możliwość jego niebytu; od początku chciał związku, ale rezerwował sobie także możliwość wcielenia. Tym-to sposobem tamte nieprzyjazne inspiracje skrajne, przez blisko dwa lata, — to jest póty, póki królewska myśl Aleksandra, acz

w ścieśnionym zakresie, nie została urzeczywistnioną w aktach wiedeńskich, — miały swobodne pole do rozgospodarowania się w obezwładnionem Księstwie Warszawskiem. Dopóty też w ciągu niniejszej pierwszej fazy wstępnej, a zwłaszcza w jej części przedkongresowej, kraj najcięższą przechodził próbę. Pierwszą realną zapowiedź pewniejszego zwrotu ku lepszemu podała jedyna siła realna: wojsko polskie. W osobie Dąbrowskiego i generalicji, wypłaciwszy aż do ostatka swój dług honoru względem Napoleona, z tem większą powagą moralną pochyliło swój czysty sztandar przed Aleksandrem. Z chwilą, gdy wojsko polskie, uznane jako takie przez cesarza, wróciło do kraju, poczęły zwolna wyjaśniać się losy kraju. Stworzone w Warszawie, latem 1814 roku, właśnie przed zebraniem się w Wiedniu Kongresu, naprzód Komitet Organizacyjny Wojskowy, nieco później Komitet Organizacyjny Cywilny. Obadwa ciała — z wyjątkiem W. Ks. Konstantego, przewodniczącego w pierwszym w charakterze Wodza Naczelnego, — wyłącznie w polskim stanowiono składzie. Przecie był ciągłe wynik ostateczny nieprzebitą mgłą nadchodzących obrad kongresowych zgoła zasłonięny; jeszcze też ciągle na dwa końce kierowana była robota, na poły tylko uchwytana, na poły niemal fikcyjna. Fikcję oczywiście wyobrażał Komitet Cywilny. Urządzony z całą gorliwością i dobrą wiarą, acz nie wszędzie z dostatecznym zrozumieniem stosunków miejscowych, przez ks. Czartoryskiego, i zanadto też przez niego brany na serjo, ten Komitet warszawski dla przyszłego Królestwa Polskiego, powołany do życia w przededniu dyplomatycznej kampanji wiedeńskiej, w gruncie rzeczy wykazywał niejaki pokrewieństwo z nieboszczykiem komitetem petersburskim dla przyszłego Księstwa Litewskiego, powołanym do życia przed paru laty, w przededniu wojennej kampanji moskiewskiej. Chodziło tu podobnież głównie o zabawienie, o zajęcie tymczasowe opinji publicznej. Prawodawcze prace komitetowe podobnego też i tym razem doświadczyły losu, i kilkomiesięczna protokółarna pisanina ostatecznie w całości poszła do kosza. Całkiem inaczej natomiast prezentował się Komitet Wojskowy. I on również zajmować miał sobie pierwotnie wyznaczoną fikcyjną, a w każdym razie nawskroś zawisłą, rolę i robotę. Ale na szczęście, wsparty i oświecony niepospolitem generała Dąbrowskiego uczestnictwem i dyrektywą, odrazu pod takim przewodem musiał zdobyć sobie własną istność realną i własną moralną świadomość. Komitet Wojskowy w najkrótszym czasie, ze zdumiewającą sprawnością, zreorganizował armję krajową i stworzył tym spo-

sobem główny zakład i rzeczywistą opokę nowego krajowego bytu. Kiedy zaś z końcem 1814 roku, wśród gwałtownego obrotu narad kongresowych wiedeńskich, cała przyszłość kraju okazała się zakwestjonowaną, kiedy pod podwójnym naciskiem nieprzyjaznych wpływów rosyjskich i europejskich, Łanskojowych i Metternichowskich, mógł zawahać się, mógł się zgoła cofnąć w swoim postanowieniu Aleksander; natenczas Komitet Wojskowy warszawski, prowadzony przez Dąbrowskiego, w dobrze zrozumianem poczuciu swojego powołania i swojego obowiązku, rzucił swoją szpadę na chwiejącą się szalę, upomniał się o poręki terytorjalne i ustawodawcze i, umocniając w ten sposób zarazem stanowisko kraju względem Aleksandra i stanowisko Aleksandra względem Europy, dobrze zasłużył się zarazem i wobec kraju, i wobec monarchy. Memorjały, złożone w tej sprawie przez Komitet Wojskowy na ręce W. Ks. Konstantego w listopadzie i grudniu tegoż roku, stanowią w całym znaczeniu słowa wielki akt służby publicznej. Niedługo potem dokonano się w Wiedniu ostateczne porozumienie w rzeczach polskich. Nareszcie, z początkiem lata 1815 roku, ogłoszenie Królestwa Polskiego zamknęło pierwszą, najmniej jasną, i otwarło drugą, widniejszą już fazę niniejszego wstępnego okresu.

Uroczyste ogłoszenie Królestwa Polskiego odbyło się w Warszawie 20 czerwca 1815 roku. Od samego rana miasto przybrało postać świąteczną. Na zamku królewskim, na ratuszu, na głównych gmachach publicznych wywieszony nowy herb i sztandar Królestwa. Na domach prywatnych wszędzie umieszczono nowe kolory krajowe. Z kościołów biły wszystkie dzwony. W starożytnej katedrze Świętojańskiej zgromadziły się nowe władze, — gdyż Radę Najwyższą Tymczasową Księstwa zastąpił obecnie Rząd Tymczasowy Królestwa, — dostojnicy cywilni i wojskowi w prezbjterjum i pierwszych ławkach, za nimi deputacje obywatelskie od departamentów, przedstawiciele municypalni od stolicy, dalej w tyle i w bocznych nawach, w ograniczonej zresztą dopuszczoną liczbie, mieszana ludność miejska. Natomiast przed wrotami świątyni, na ciasnej ulicy i aż na Placu Zygmunta, stłoczone wielogłowe tłumy, w skupieniu raczej, niż podnieceniu, czarne, nieruchome i ciche *) Odprawiona nasamprzód msza przez biskupa w pontyfikaljach: odśpiewano

*) Czartoryski do Aleksandra, z Warszawy, (21) juin 1815: „ceux qui avaient assisté à tant de cérémonies dans ce pays ont remarqué que celle-ci avait un tout autre caractère, quelque chose de calme et réel, rien de théâtral et de joué. On eût dit

Veni Creator. Poczem odczytano donośnie u Wielkiego Ołtacza: abdykację króla saskiego Fryderyka-Augusta z korony książęcej warszawskiej, zwolnienie od wiernopoddańczych dla niego obowiązków, manifest Aleksandra do Polaków, narkreślone od niego zasady przyszłej konstytucji królewskiej, — aż wreszcie, pod sam koniec, według objawionej ogólnej roty, odebrano od przytomnych przysięgę na wierność Jego Cesarskiej Mości, Królowi Polskiemu, Aleksandrowi I Pawłowiczowi i Jego po wieczne czasy prawym następcom w Monarszym Domu Romanowów. Moment dziejowy najpierwszej wagi. Otwierał on, jak się zdawało, nową zgoła erę. Odmykał istotnie wielką niewiadomą. Napoczął próbę, nigdy dotychczas niepodjęwaną, a jakże trudną, doniosłą, przełomową, w jakże wielu kierunkach politycznego i społecznego życia narodu.

Wraz z ogłoszeniem Królestwa, na miejscu zwiniętego Komitetu Organizacyjnego Cywilnego powstał nowy Komitet Konstytucyjny, obdarzony już wyraźną i określoną kompetencją: ułożenie karty ustawodawczej. Znajdował się on właściwie pod przeważnym wpływem i kierunkiem ks. Adama Czartoryskiego, i to zarówno ze względu na przepisane sobie Zasady wytyczne, inspirowane przez księcia, jakoteż na sam swój skład osobisty, dobrany przeważnie z zaufanych domowników puławskich. Sam Czartoryski opracował dział o reprezentacji narodowej, Matuszewicz i Plater — o rządzie, Wawrzecki — o sprawiedliwości, Linowski — o poręczeniach ogólnych. Jednakowoż, pod naciskiem uzasadnionych wymagań sytuacji i opinii miejscowej, w samym projekcie ustawodawczym przemogły prawie wyłącznie wzory francuskiego prawnego i publicznego ducha, całkowicie niemal biorąc górę nad pewną predylekcją dla wzorów angielskich, dostrzegalną pierwotnie w Komitecie Konstytucyjnym pod bezpośredniem natchnieniem Puław. Tak więc, między innymi, upadły zamierzone pierwotnie parostwa dziedziczne i majoraty. Tak utrzymały się skazane pierwotnie na zniesienie obowiązujące w kraju kodeksy Napoleońskie. Powierzenie przez Aleksandra rewizji projektu konstytucyjnego Stanisławowi Potockiemu, wykarmionemu na liberalnych pojęciach francuskich, przyczyniło się jeszcze niepomalu do

que cette nation, après tant de souffrances, n'avait plus assez de ressort pour se livrer à une joie folle". Spółczesne relacje Łan-skoja w formie mniej dyplomatycznej stwierdzają to samo postrzeżenie.

wyciśnięcia na projekcie wskroś nowożytnego i postępowego piętna. Inne, oczywiście mniej pożądane zmiany redakcyjne, i to zarówno dopełnienia, jak zwłaszcza opuszczenia, z nadzwyczaj sprytną a przewidującą dyskrecją, za pomocą kilku zaledwo dostrzegalnych pociągnięć pióra, wprowadzone zostały przez Nowosilcowa, powołanego ze strony rosyjskiej do oceny i ocenowania gotowego projektu. Wreszcie, niektóre znaczące modyfikacje, jak się zdaje, uskutecznione zostały w ostatniej jeszcze godzinie, przed udzieleniem sankcji i podpisu, wedle osobistych wskazówek samego monarchy.

Karta konstytucyjna, po półrocznem w ten sposób opracowaniu, w ostatecznej uświęconej swojej redakcji przedstawiała się jako obszerna, systematyczna całość, obejmująca, w siedmiu tytułach i stu kilkudziesięciu artykułach, wszystkie główne podstawy prawno-politycznego bytu Królestwa. Na najpierwszem zaraz miejscu wyrzeczone po wszystkie czasy połączenie Królestwa Polskiego z cesarstwem rosyjskiem, w osobie Aleksandra i jego następców, na mocy obowiązującego w Rossji porządku dziedziczenia, to jest na mocy obowiązującej ustawy sukcesyjnej cesarza Pawła I-go. Akt koronacji królewskiej i przysięgi na konstytucję, z wyłączeniem samego nadawcy, jako zastąpiony dla niego przez położenie podpisu nadawczego, dopiero na następców jego włożony. Herb Królestwa w nowej, pośredniej, ustanowiony postaci, przez umieszczenie Orła Białego na piersi dwugłowego czarnego Orła rosyjskiego, — a więc ściśle na sposób nowego herbu Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Stało się to na stanowcze życzenie Aleksandra, a wbrew pierwotnemu projektowi Komitetu Konstytucyjnego, gdzie zostawiony był prosty Orzeł Biały, przysługujący Księstwu Warszawskiemu. Zresztą, skutkiem późniejszych zarządzeń koronacyjnych 1857 i 1883 roku, herb królewski, na równi z innymi herbami prowincjonalnemi, przeniesiony został z piersi na skrzydła orła cesarskiego. W nietykalnej osobie Króla złożona w całej pełni udzielna władza rządowa, oraz w granicach inicjatywy, sankcji i *veto*. uczestnictwo władzy prawodawczej. Przy nim mianowanie członków rządu, sądownictwa, senatorów, biskupów, naczelnictwo nad siłą zbrojną, kierunek polityki zagranicznej, jednej i wspólnej dla Królestwa i Cesarstwa. Ostatnia okoliczność wyłączyła z góry osobne krajowe ministerjum spraw zagranicznych: jednakowoż, w pewnej poniekąd sprzeczności z tym przepisem konstytucyjnym, przy boku W. Księcia Konstantego w Warszawie istniał samodzielny Wydział dyplomatyczny, prowadzący na

własną rękę stałą korespondencję z przedstawicielami państwa u wszystkich wybitniejszych dworów zagranicznych *). Monarcha, sam stanowiąc o wojnie i pokoju, władny używać armji polskiej, wedle swego uznania, ku obronie państw obojga, wszelako tylko w obrębie granic europejskich. Bezpośrednia czynna nad wojskiem władza oddana W. Ks. Konstancemu w stopniu Naczelnego Wodza; właściwa administracja wojenna winna była konstytucyjnie zostać w rękę odpowiedzialnego ministerjum wojny, lecz faktycznie, od pierwszej niemal chwili, pochłonięta również niemal przez główną kwaterę wielkksiążęcą. Namiestnik królewski, w zastępstwie monarchy, formalnie wszystką władzą koronną, w obu kierunkach, cywilnym i wojskowym, obdarzony, faktycznie, pod względem już cywilnym — w znacznej mierze, pod względem wojskowym — w zupełności, od dyrektywy wielkksiążęcej zależny. Nie uprawniony zresztą Namiestnik do wykonywania osobistej prerogatywy monarszej względem całości, ani nawet oddzielnych części prawodawczej reprezentacji narodowej. Rada Stanu przy Namiestniku i pod jego prezydencją, w charakterze instytucji doradczej, powołana do przygotowania projektów prawodawczych, nadzoru nad czynnościami rządu, zdawania z nich sprawy sejmowi, rozstrzygania wreszcie sporów jurysdykcyjnych i administracyjnych. Rada Administracyjna, również pod przewodnictwem Namiestnika, w niektórych względzie uważana za część składową Rady Stanu, w istocie wyobrażała właściwą odpowiedzialną, rządzącą władzę wykonawczą. Była czemś w rodzaju gabinetu ministrów, wedle pojęć dzisiejszych, z tą atoli kardynalną różnicą, że ministerja szły luzem, w oderwaniu, fikcyjne tylko, złączone przez Namiestnikowskie nominalne prezydjum, a nie zjednoczone faktycznem kierownictwem uznanego premiera. Jednak, w pewnym przynajmniej stopniu, wyższy autorytet jednego celniejszego ministra z samej natury rzeczy wywierał niejaki ogólniejsze oddziaływanie na inne ministerja: tak, w pierwszych kilku latach górował Stanisław Potocki, piastując równocześnie — sposobem kumulacji, dość dziwnej zapewne dla dzisiejszych pojęć parlamentarnych, i nawet dość przeciwniej owoczesnym pojęciom o podziale władz publicznych,— obowiązki rządzącego ministra i dostojęństwo prezesa senatu; tak, w ostatniem dziesięcioleciu, swoją wszechobecną a wszędzie niezbędną

*) Papiery, wychodzące z tej kancelarji, nosiły drukowaną sygnaturę: *Royaume de Pologne. Affaires Etrangères.*

energją i wyjątkowem u monarchy zachowaniem, dominował Lubecki. Pośrednictwo między rządem krajowym a koroną, sprawowane przez sekretarjat stanu w Petersburgu, w osobie oddzielnego ministra sekretarza stanu, urzędującego u boku monarchy. Na miejscu samą Radę Administracyjną warszawską składało pięć ministerjów wydziałowych, pod nazwą Komisji rządowych: wojny, skarbu, sprawiedliwości, spraw wewnętrznych, oświecenia i wyznań. Widoczny postęp w zniesieniu oddzielnego z czasów Księstwa Warszawskiego ministerjum policji, wcielonego obecnie do wydziału spraw wewnętrznych. Naodwrot, a w takim samym postępowym duchu, sprawy wychowania publicznego i religijne, dotychczas na zawieszonym komornym w obcym lokowane wydziale, obecnie podniesione do przynależnej im powagi samostannego rządowego organu. Wszelako religja rzymsko-katolicka, jeszcze za Księstwa konstytucyjnie „religja stanu“, teraz już jedynie „szczególnej opiece rządu zalecona“. Tak znacznej inowacji naczelną pobudką najopaczniej jednak przez tendencyjnych i nierozważnych historyków na karb jakiegoś specyficznego warszawskiego niedowiarstwa łożona i wyrzucana z przekazem. Rzeczywistej pobudki szukać tutaj raczej w wyraźnej woli nadawcy, w odmiennym wyznaniu panującego, w dosłownem brzmieniu dynastycznej ustawy Pawła, w świeżym jeszcze, z przed lat kilku, ukazie samego Aleksandra o religji prawosławnej, jako jedynej i wyłącznej religji stanu wszechrossyjskiej. Zupełna tolerancja religijna zresztą poręczona; zapewniona równość wszelkich wyznań przed prawem zwyczajnem, zaś chrześcijańskich — przed prawem politycznem: zawieszona tym sposobem ludność żydowska w wykonywaniu ogólnej i lokalnej prerogatywy przedstawicielskiej.

Władza prawodawcza przy dwuizbowej reprezentacji narodowej. Sejm trzydziestodniowy właściwie z urzędu co dwuletni. Atoli wsunięte niezręcznie — albo może zbyt zręcznie — zastrzeżenie uboczne, iż król mocen jest wedle swego widzenia „odkładać“ (*ajourner*) sejmy, stało się powodem, że zamiast siedmiu conajmniej, wypadających z litery prawa, cztery tylko sejmy odprawiano w całym piętnastoleciu. Sejmowanie w obu izbach publiczne. Głosowanie jawne, prostą większością. Senat dożywotni, w liczbie członków niewyższej nad połowę składu izby niższej. Izba poselska w sto kilkadziesiąt, na lat sześć obieralnych, posłów od szlachty oraz deputowanych od gmin. Posłowie a deputowani z nazwy tylko, nie z istoty, różni; sporo też zawsze najlepszej szlachty pośród deputowanych gminnych. Nadzór

izby nad czynnościami rządu ześrodkowany głównie w trzech rewizyjnych komisjach sejmowych: do praw cywilnych i karnych, do praw administracyjnych i organicznych, do rzeczy skarbowych. Pod postacią wyczerpujących Uwag Komisji sejmowej, jako też rozległej prerogatywy petycyjnej, wykonywana przez sejm w nader obszernym zakresie dzisiejsza czynność interpelacyjna. Cenzus obiorczy senatorski dosyć wysoki. Natomiast cenzus bierny i czynny do izby niższej nader umiarkowany. Wyborcą poselskim każdy szlachcic, zapisany w księdze szlacheckiej danego okręgu sejmikowego. Wyborcą deputackim: każdy właściciel gruntowy, płacący jakikolwiek podatek; każdy rzemieślnik przełożony nad czeładzią; fabrykanci i kupcy powyżej pewnej, dość skromnej, skali majątkowej; plebani i wikariusze; nauczyciele, artyści, i naogół w obszernym zakresie przedstawiciele nauk i sztuk wyzwolonych. Wybory wyłącznie bezpośrednie. Senat w pełnym składzie, niezawisłe od swoich funkcji prawodawczych, tworzy gotowy Sąd najwyższy w sprawach oskarżenia o zbrodnię stanu.

Ograniczając się na razie do wskazania tych najogólniejszych zasad ustawodawczych, należy postawić sobie pytanie: co sądzić o wartości politycznej i prawnej niniejszego dzieła konstytucyjnego? Nie ulega wątpliwości, że akt konstytucyjny, i w treści swojej, i zwłaszcza w redakcyjnym brzmieniu, nie był wolny od dotkliwych braków. A więc naprzód, co do treści, Karta ustawodawcza w kilku punktach arcyważnych milcząco odstępowała od objawionych urzędownie Zasad ustawodawczych, których winna była zostać rozwinięciem. Były tedy wyraźnie wyszczególnione, zapowiedziane w Zasadach, a przecie całkiem brakowało w Kartce takich materji arcydoniosłych: definicja zasadnicza samej Ustawy, jako kardynalnego węzła i warunku; organizacja sądownictwa administracyjnego na ogólnych podstawach proceduralnych; reforma społeczna i prawna żydów; autonomia miejska; wreszcie, co główna, urządzenie włościan, stopniowe „zapewnienie im rzeczywiście i gruntownie dobrego bytu“, przysposobianie ich na właścicieli, a tem samem na pełnych, czynnych obywateli kraju. O tych wszystkich rzeczach ani słyhu nie było w konstytucji. Przemilczenie było tu poniekąd odwołaniem. Było w każdym razie bądź opóźnieniem, bądź nawet zgoła spaceniem prawidłowego rozwoju i koniecznego postępu. To też skutki tych milczących restrykcji w każdej niemal odpowiedniej dziedzinie dotkliwie i długo dały się we znaki krajowi. Tak w odciętej własnej jurysdykcji mógł skostnieć biurokracizm admi-

nistracyjny. Tak reforma żydowska późno, jeśli nie zapóźno, przysłała dopiero na ręce Wielopolskiego. Tak przypadek z kretesem samorząd miejski. Tak odsunęto się i wysunęto uwłaszczenie włościanstwa. A następnie, co do samej formy aktu ustawodawczego, było w niej aż nadto wadliwych szczegółów redakcyjnych, otwierających szerokie pole niepożądanego, albo wręcz niebezpiecznej interpretacji. Były tam w wysłowieniu błędy, wynikające z nierozwagi, lub przeoczenia, a były także dwuznaczniki, umieszczone z celowym z góry rozmysłem. Tak, zamiast starego *neminem captivabimus* wstawiony zwrot *neminem captivari permittemus*: i oto odrazu stało się dopuszczalnym samo nieprawne uwięzienie, a w dalszej dopiero perspektywie obiecane zwolnienie z więzienia. Tak, obok poręczonej wolności druku, przewidziane całkiem ogólnikowo ograniczenie jej „nadużyć“! i wnet stworzony otwór dla nieograniczonej cenzury. Tak, gdzieindziej, „pierwszy budżet“ zostawiony do woli królewskiej, bez żadnego bliższego objaśnienia, co właściwie przezeń należy rozumieć: i naraz odtąd przez całe piętnastolecie sejm i kraj wyłączone zupełnie od sprawowania najżywotniejszej prerogatywy budżetowej. Tak, gdzieindziej znowu, w przepisie o procedurze oskarżycielskiej przeciw ministrom stanu, użyty niestosowny spójnik łączny zamiast różnicowego, słówko *et* zamiast *ou*; i nagle pozbawiona izba poselska przynależnego sobie samodzielnego prawa oskarżania. Takie i inne szczegóły, na pozór drobne i czysto formalne, lecz na prawdę nader istotne, miały niebawem odbić się zewszecmiar niepomyślnie na biegu spraw publicznych, kryjąc w sobie mętne źródło drażliwych nieporozumień i zatargów pomiędzy koroną i rządem, a sejmem i opinią.

W ten-to sposób, przy pobieżnym już rozważeniu Karty ustawodawczej, zarówno pod względem merytorycznym, jak literalnym, na pierwszy zaraz rzut oka następczają się liczne wątpliwości i namacalne zarzuty. Można-by nawet bez trudu jeszcze je pomnożyć i podkreślić. Jakiż jednak stąd wniosek ostateczny? Ten tylko, iż konstytucja nie była doskonałą. Ale wyznajemy, że żadnej nie znamy doskonałej. Powiemy tedy, po wszystkich uczynionych zastrzeżeniach: konstytucja była dobrą. Powiemy jeszcze: wśród ówczesnych europejskich nie znamy żadnej lepszej. Powiemy więc: nie znamy wśród nich żadnej równej. Jednakowoż nie miała ona szczęścia do swoich sędziów. Sądzona była na ogół surowo a niesprawiedliwie. Wytknięto wszystkie w niej wady, nawet wady rzekome; mniej dopatrzono się i doceniono rzeczywistych pierwszorzędnych zalet. Wyrokowano o niej

przeważnie ze stanowiska pewnych, z góry powziętych, założeń stronnicych. Wyrokowano o niej zawsze pod wrażeniem końcowego jej rozbitcia, mianując ją narzędziem chybionem i niezdatnem. Wyrokowano zarazem i tendencyjnie, i anachronicznie. Zaniedbano i tym razem, jak w tylu innych wypadkach, jedynej dozwolonej i niezbędnej miary porównawczej. Wprawdzie ofiarował Lelewel słynne Porównanie trzech konstytucji: majowej, napoleońskiej a kongresowej; lecz nie uniknął ani tendencji, ani anachronizmu. Pisał już pośród huku rozpaczliwych strzałów rewolucyjnych, a mierzył jeszcze miarą ustawodawczą czteroletniego sejmku. To też podwakroć tutaj chybił: sądem polityka i dziejopisa. W innym, stateczniejszym duchu, i na mocy innej, stosowniejszej skali porównawczej, należy oddać sprawiedliwość Karcie konstytucyjnej Królestwa Polskiego. Była ona nieskończenie sprawniejszem narzędziem reprezentacyjnem od Ustawy Księstwa Warszawskiego. A pamiętać należy: była własnością kraju, kilka razy szcuplejszego od Rzpltej 1791 roku, a niewiele obszerniejszego od Księstwa 1807 roku. Pamiętać także: była zrodzona już nie podczas pierwszego przyływu, lecz w chwili gwałtownego odpływu prawnopństwowych pojęć nowożytnych, w zaraniu zacoфанej doby restauracyjnej, i w takim zresztą momencie, kiedy zasady parlamentaryzmu, w znaczeniu dzisiejszem, wszędzie jeszcze, nawet na Zachodzie, spoczywały w kolebce. Tembardziej oczywiście, wszystko razem biorąc, a biorąc zwłaszcza na uwagę czas i okoliczności, należy w konstytucji warszawskiej 1815 roku uznać dzieło na ogół niepospolite, dzieło wysokiego i oświeconego rozumu stanu. Zabezpieczała osoby i nietykalność własności cywilnej, utrzymując krajowi wielkie europejskie prawodawstwo i kładąc je w ręce niezawisłego sądownictwa. Zabezpieczała swobodę sumienia i myśli, poręczając pełną tolerancję religijną i, w zasadzie przynajmniej, poręczając wolność druku. Zabezpieczała nareszcie poważny udział ogółu w kontrolowaniu czynności machiny państwowej, warując instytucje przedstawicielstwa narodowego, w zakresie, jak na pojęcia i warunki owoczesne, jedynie dostępnym, a nawet poniekąd w zakresie natenczas bezprzykładnym, wykraczającym daleko po za granice spółczesnych reprezentacyjnych wzorów zachodnich. W rzeczy samej,—jakkolwiek paradoksalnie, prawie bajecznie, brzmieć to musi dzisiaj, po latach kilkudziesięciu, wobec jakże odwróconych z gruntu stosunków krajowych,—nie może ulegać żadnemu wątpieniu, że Królestwo Kongresowe, pod względem ustawodawczo-reprezentacyjnym daleko zostawiało po za sobą

społeczne najkulturalniejsze społeczności Zachodu. Wyprzedzało znacznie Anglię. Ówczesne *franchise* parlamentarne angielskie, oparte na przedawnionej praktyce fikcyjnych jednostek wyborczych, osławionych *rotten boroughs*, na wstępnym i nieuczciwym systemacie krzyczącego oligarchicznego nadużycia, pod każdym względem stało niżej od nowego sejmowego prawa warszawskiego, opartego na zasadzie jednostajnych wyborów bezpośrednich, równomiernych okręgów ludnościowych i umiarkowanego majątkowego cenzusu. Te zdrowe poręki reprezentacyjne, jakie wtedy posiadało Królestwo, po kilkunastu dopiero latach, kiedy ono już istnienie będzie, zdobędzie sobie Anglię na mocy ciężko wywalczonych pierwszych bilów reformy. I podobnie jak Anglię Jerzego IV, wyprzedzało oraz Królestwo Polskie we względzie ustawodawczym Francję Ludwika XVIII i Karola X. Dość porównać Kartę warszawską 1815 roku z ową sławną *Charte* 1814 r., pod której hasłem dawali się zabijać Francuzi na barykadach lipcowych, i której pogwałcenie ukarali wyprawieniem bourbońskiej dynastji. Owóż, wedle tej drogo-cennej *Charte*. — biorąc już tylko na uwagę wydane w jej rozwinięciu najpierwsze „liberalne“ przepisy 1817 roku, a pomijając późniejsze, ścieśniające przepisy reakcyjne o przyjmowaniu elektorskim tak zwanych „podwójnych wotów“, — prawo wyborcze bierne wymagało lat 40 wieku i opłacanego podatku rocznego 1,000 franków, prawo wyborcze czynne — lat 30 i podatku 360 franków. Tymczasem, wedle Konstytucji Królestwa, prawo wyborcze bierne wymagało lat 30 wieku i 100 złp. podatku; czynne zaś wymagało pełnoletności zwyczajnej, to jest lat 24 i przysługiwało wszystkim wyborcom szlacheckim, posiadającym *jakkolwiek* własność gruntową, oraz wszystkim wyborcom gminnym, opłacającym *jakkolwiek* podatek gruntowy, lub posiadającym pewne, nader skromne, ogólne, szacunkowe a nie podatkowe, kwalifikacje majątkowe, czy też wreszcie zawodowe, a bodaj jedynie umysłowe. Różnica była jasna i oczywiście zgoła na korzyść Królestwa. Ale najdobitniej tę różnicę uzmysłowią cyfry ostateczne. We Francji restauracyjnej, na mocy Karty 1814 roku, znalazło się ogółem około 80 tysięcy uprawnionych wyborców. W Królestwie Polskiem, na mocy Karty 1815 roku około 100 tysięcy. Francja ówczesna pod względem zaludnienia przeszła siedm razy przewyższała Królestwo. Zatem, jak łatwo wyliczyć, — przyciem należało-by nadto uwzględnić odpadających żydów, — Królestwo, w porównaniu z Francją, wykonywało wtedy dziewięć do dziesięciu razy

rozleglejszą funkcję przedstawicielską. Koniec końcem, jak się okazuje, pod względem ustawodawczej reprezentacji narodowej, Królestwo Polskie zajmowało najpierwsze miejsce w Europie kongresowej.

Podpisanie Karty konstytucyjnej było pierwszym wielkim aktem publicznym Aleksandra I w Warszawie. Wtedy też jego po raz pierwszy ujrzała stolica Królestwa. Wjazd uroczysty Aleksandra do Warszawy w połowie listopada 1815 roku był niezawodnie znamiennym momentem historycznym. Przed stu laty w zamku królewskim nad Wisłą był zjawił się Piotr Wielki w gościnie u Augusta II. Teraz Aleksander I, prawy monarcha Królestwa Polskiego, do własnego królewskiego przybywał domu. Opuszczając miasto, pozostawił zakład drogocenny pod postacią nadanej Ustawy.

Wiosną 1818 roku monarcha zjechał do Warszawy dla otwarcia pierwszego sejmiku Królestwa. Zagajenie sejmiku z wielką odbyło się wystawnością. Zgromadzone w wielkiej sali senatorskiej obiedwie izby, galerje świetną natłoczone publicznością, dokoła i na stopniach tronu stanęli Wielcy Książęta, rząd krajowy, towarzyszący monarsze ministrowie cesarscy, generalicja polska i rosyjska. Aleksander, podniósłszy się na tronie, odczytał piękną i dziwnie obiecującą mowę tronową. „Spełniają się — mówił głosem dobitnym, wzruszonym, a jednak obmyślanym w każdym akcencie, — spełniają się Wasze nadzieje i moje życzenia... Podalście mi sposobność okazania mojej ojczyźnie tego, co dla niej oddawna gotuję, i co otrzyma, skoro zarody tak ważnego dzieła będą mogły osiągnąć potrzebne rozwinięcie... Wzniescie się do wysokości waszego zadania. Wezwani jesteście dać znakomity przykład Europie, wzrok swój na was kierującej... Skutki prac waszych nauczą mnie, czy, wierny swoim przedsięwzięciom, będę mógł dalej rozszerzać to, co już dla was uczynilem“.

Słowa monarsze wywarły potężne wrażenie na obecnych, a odbiły się dalekiem echem po mieście, kraju, państwie i Europie. Zawierały one dużo zapowiedzi najpierwszej wagi: w stosunku do Królestwa i w stosunku do Cesarstwa. Lecz te słowa doniosłe wywarły wrażenie całkiem odmienne na słuchaczach polskich a rosyjskich. Jeszcze przy redagowaniu pierwotnego tekstu mowy tronowej w Petersburgu, mocno oponował się Capodistrios. Potem, przed jej wygłoszeniem w Warszawie, oponował się Wielki Książę Konstanty. Teraz, kiedy została wyrzeczona, nader zajmujące wywoływała sądy. Generał Michajłowski-Danilewski zauważył pocichu: „Piotr Wielki nie mówił nam, żeśmy dzicy, ale nas

reformował". Generał Jermołow głośno prorokował: „Skończy się na zapowiedziach". Lecz najciekawsza rozmowa toczyła się półgłosem na uboczu, o kilka kroków od tronowego wzniesienia. Stał tam młody jeszcze, dosługujący się dopiero kariery, generał porucznik rosyjski, i z deferencją, w której celował, pytał starego, zasłużonego generała Miłoradowicza: „Jakże raczysz mniemać, Ekscellencjo, cóż właściwie z tego będzie?". A Miłoradowicz opryskliwie: „To będzie, że za lat dziesięć będziesz ich brał szturmem ze swoją dywizją". Ciekawy generał-porucznik nazywał się Iwan Fieodorowicz Paskiewicz.

Obrady i uchwały prawodawcze wzięły obrót poważny i pomyślny. Przyjęto pożyteczne prawo o rozgraniczeniu normalnem dóbr nieruchomości, sposobem skróconej procedury, przy zwolnieniu od opłat rządowych, w przepisany terminie prekluzyjnym, — środek w szczególności ważny dla ubezpieczenia szarpanych dóbr narodowych, a niezbędny również dla należytego usatkwowania ogólnych porządków hipotecznych. Równocześnie też, w rzeczy samej, wzięto pod rozwagę ten ostatni przedmiot arcyważny, a nader pilny i na czasie, ze względu na upływający właśnie dziesięcioletni termin działania obowiązującego Kodeksu, a stąd kłopotliwej kodeksowej odmowy hipotecznej: gruntownie i roztropnie załatwiono tę doniosłą materję w najpowszechniejszym zakresie, przez nowe znakomite prawo o ustaleniu dóbr nieruchomości, przywilejach i hipotekach, szczęśliwe połączenie ścisłej logiki pojęć prawnych staropolskich a wypróbowanej praktyki pruskiej, przywracając zasadzie jawności hipotecznej ten przynależny szacunek bezwzględny, jaki była osłabiła procedura francuska, a tem samem stanowiąc niewzruszoną powagę hipoteki krajowej. Przyjęto z konieczności, lecz z chwalebny umiarkowaniem i uczciwą niechęcią dla tego chorobliwego środka, prawo o odroczeniu moratorium na dalsze dwa lata; a zarazem stwierdzono procent prawny oraz ścieśniono arbitralność sądów w udzielaniu zwłoki dłużnikom na niekorzyść wierzyciela: wbrew kuszącym pobudkom własnego interesu prawodawców, — skoro większość sejmujących, jeszcze z czasów pruskich, albo wojennych, pod ciężkimi ugięta się długami, — a w imię zdrowego instynktu prawnego. Zajęto się ujednostajnieniem prawodawstwa karnego; rzecz potrzebna, skoro, skutkiem nieprzyjęcia na sejmie warszawskim francuskiego, słusznie zresztą niesympatycznego, kodeksu karnego, obowiązywały w kraju i nadal dwa różne systematy karne: austriacki i pruski; przyjęto też nowy ogólny krajowy kodeks kar, niedoskonały zapewne

z wielu względów, opracowany przez Ksawerego Potockiego, austriackiego prawnika, wzorowany na przestarzałym systemacie austriackim, często do zbytku surowy, naprzykład sposobem austriackim i pruskim wprowadzający karę chłosty, nieznaną kodeksowi francuskiemu,—ale zwięzły w swoich kilkuset artykułach, niejednokroć nawet reformatorski, i napewno lepszy od swojej opinji. Odrzucono wreszcie jedyny projekt nowego prawa o małżeństwie, który, połowiczny w założeniu, żadnej strony nie zadowolnił, ani zwolenników pojęć małżeńskich Napoleońskich, ani duchowieństwa. Po czterotygodniowych wyteżonych pracach sejm został zamknięty życzliwą i wdzięczną mową tronową. Pochwalał cesarz Aleksander obfitą i owocną sejmujących działalność, pochwalał w równej mierze niezawisłość sądu, z jaką odrzucili przeciwny ich przekonaniu projekt rządowy o prawie małżeńskim: „Wolno obrani, — rzekł. — winniście byli wolno się naradzać“. W serdecznych i obiecujących wyrazach zapowiadał rychły swój powrót. „Obstawam — kończył — przy spełnieniu moich zamiarów. Są one wam znajome“.

Drugi sejm Królestwa odbył się jesienią 1820 roku. Inny już był nastrój kraju. Rozmaite dotkliwe przeprawy, doświadczone zwłaszcza ze strony W. Ks. Konstantego, świeże zaś postanowienia rządowe, w poprzednim 1819 roku, o cenzurze na czasopisma i książki, wydane bez sejmu, więc bez uwagi na konstytucję, głęboki wywołały niepokój. Inny też był nastrój monarchy, wstrząśnionego już przez ów przełom stanowczy, który wówczas-to, jak zaznaczono, dokonywał się w najgłębszych tajnikach jego duszy, pod wpływem czynników najrozmaitszych, pod wpływem wypadków europejskich, a zwłaszcza pod wpływem ponurych odkryć o rozległym knowaniu spiskowym w Rossji. Inny też, wstrzemięźliwy i raczej ostrzegawczy był nastrój mowy tronowej. Ostrzegał Aleksander sejmujących „przed złym duchem, co się nad Europą unosi“. Jednak jeszcze nie wyrzekł się wspaniałych zamierzeń. „Jeszcze kilka kroków — wyrzekł, — a staniecie u celu moich i waszych nadziei.“

Mniej pomyślny tym razem był przebieg prac sejmowych. Przyjęte dwie tylko nowelle prawodawcze: dodatkowy przepis moratorium, przyczem w rozprawach stwierdzono nieodzowność stworzenia wielkiej krajowej instytucji kredytowej; oraz przepisy proceduralne o wywłaszczaniu na użytek publiczny. Przypadły natomiast ogromną większością głosów projekty rządowe: kodeks procedury karnej, odrzucony najsluszniej, bo lichy; oraz nowy statut organiczny dla senatu, odrzucony mniej zasadnie, gdyż, pomimo pewnych

usterek, na ogół rozsądny i potrzebny. W obszernych uwagach komisji sejmowej nad raportem Rady Stanu, wytknięte krytycznie rozliczne niewłaściwości w gospodarstwie rządowym, w szczególności uwydatnione oplakane położenie finansów krajowych. W znacznej, zbyt może znacznej, liczbie dziewięćdziesięciu petycji sejmowych, obok dezyderatów praktycznych, wygłaszane także niektóre *gravamina* zasadnicze z powodu niejednokrotnego odchylenia się rządu od brzmienia i ducha poręk ustawodawczych. Jednakowoż i w samych rozprawach poselskich, i w uwagach komisyjnych, i w petycjach sejmowych, przeważał w ogromnej większości, zarówno pod względem formy, jak treści, duch trzeźwy, rzeczowy i umiarkowany. Wszakże w tronowej mowie zamknięcia nie znalazło się już wyrazów aprobaty. Owszem, wydało się sposobnością wcale poręczną, aby wywołać uczucie przyczynowego związku pomiędzy mniej zadowalającym wynikiem prac sejmowych, a przesądzoną już w głębi sprawą powszechniejszą. „Zapytajcie się sumienia waszego — takiego niespodziewanego napomnienia wysłuchał sejm zasmucony, — czy w ciągu obrad waszych położyliście dla Polski wszystkie te usługi, jakich od waszej oczekiwała mądrości; czy też przeciwnie, poświęcając nadzieję, którą przezorna ufność była by ziściła, nie opóźniliście w jego postępkach dzieła przywrócenia ojczyzny waszej? Ta ciężka odpowiedzialność na was spadać będzie.“ Dysproporcja pomiędzy skutkiem a rzekomą przyczyną, aż nazbyt widoczna. Lecz jakakolwiek przyczyna — skutek jawnie stwierdzony.

W zarządzie wewnętrznym kraju tymczasem dwie doniosłe dokonały się zmiany. Zmienili się kierownicy dwóch ważnych wydziałów: skarbu, oraz oświaty i wyznań. Na czele skarbu stanął Lubecki. Wybór zbawienny: gdyż to był człowiek jedyny, który mógł uratować i uratował istotnie skarbowość krajową, schorowaną ciężko, prawie śmiertelnie, i który zresztą w najszerszym, w najogólniejszym zakresie administracyjnym i politycznym mógł oddać, i istotnie oddał, niepoślednie usługi krajowi. Druga zmiana była innego rodzaju. Była skroś ujemna, nie z korzyścią, lecz ze stratą dla kraju. Na czele Komisji oświecenia i wyznań religijnych, na miejscu Stanisława Potockiego, postawiony Grabowski. Nie był Potocki napewno najlepszym ministrem oświaty i wyznań, z niejednego względu nawet zgola nie był dobrym. Ale Grabowski był najgorszym. Nie była to zresztą tylko zmiana osób. Była zmiana systemu. Był oplakany skutek obustronnych ciężkich błędów w tej tak żywotnej, a tak trudnej dziedzinie kościelno-politycznej. Poszedł

nasamprzód w skrajnym, jednostronnym kierunku Potocki. Na mocy dekretu królewskiego z 1817 roku o organizacji Komisji wyznań, przyswoił swemu wydziałowi zbyt dużą i niezawodnie zbyt daleko sięgającą kompetencję nadzorczą i reglamentacyjną w rzeczach czysto wyznaniowych. Wychodząc z założeń, napozór liberalnych, dotarł do skrajnych wyników wojującego biurokratyzmu, zawsze niepożądanych, a niepożądanych podwójnie wobec szczególniejszej sytuacji kościelno-politycznej katolickiego Królestwa Polskiego. W takim razie rokowania posła rosyjskiego w Rzymie, ks. Ita-lińskiego, z kardynałem sekretarzem Consalvim, doprowadziły w styczniu 1818 roku do podpisania umowy konkordatowej. Utworzone przez bullę *Militans Ecclesia* w marcu tegoż roku arcybiskupstwo warszawskie, z Franciszkiem Malczewskim, jako pierwszym arcybiskupem; obdarzone przez breve *Romani pontificis*, z października tegoż roku, godnością i purpurą prymacjalną, *primatis Regni Poloniae*; zbudowana w *Ex imposita nobis*, z czerwca tegoż roku, zupełna, w ośmiu biskupstwach, budowa djecezjalna Królestwa. Wobec nowych, uporządkowanych ogólnych stosunków kościelnych tembardziej było niezbędnem wewnętrzne pokojowe porozumienie pomiędzy polskim rządem a polskim duchowieństwem. Z żadnej strony nie umiano w należyty stopniu przejąć się tą potrzebą. Z jednej strony dotychczas Potocki chodził do Aleksandra po broń przeciw „klerykalizmowi”; teraz biskupi poszli do Aleksandra po broń przeciw „niedowiarstwu”. Złożono Aleksandrowi skargę osobistą na Potockiego; złożono oraz piętnaście punktów petycyjnych od duchowieństwa. Tak wysunął się Grabowski; tak też, w sierpniu 1821 roku, na miejscu dekretu 1817 roku powstał nowy statut organiczny dla Komisji oświaty i wyznań. Utworzona oddzielna sekcja rzymsko-katolicka, instytucja niewątpliwie pożądana, lecz bynajmniej nie wszędzie odtąd w pożądanym kierowana duchu; utworzona oddzielna dyrekcja wychowania publicznego, i w ręku dyrektora generalnego i naczelnego cenzora, Kalasantego Szaniawskiego, uczyniona narzędziem systematycznego ociemniania. Takim sposobem, błąd, z jednej strony poczęty, wyrodził, w drodze koniecznej reakcji, równoległy błąd ze strony przeciwnej; obadwa błędy jednakowo wyrosły z niedość pełnej pamięci o najwyższym kryterjum narodowego interesu; tem żałośniejsze obadwa błędy, że przecie jednakowo w najlepszej zrodzone wierze. Gdyż jakże wątpić o dobrej wierze Stanisława Potockiego?

Coraz chmurniejsze stawały się tymczasem ostatnie lata

Aleksandra. Coraz chmurniejsza jego dusza osamotniona i stargana. Wielki czarodziej nie czuł się już na siłach wypuścić do lotu rozpiętych przez siebie duchów. A już nie było w jego mocy powściągnąć ich z powrotem, obzwać, uciszyć. Tak stało się, jak okazano na szerokim terenie europejskim. Już tam wrzała walka grecka. W Rosyi, pierwotny prąd liberalny i humanitarny, przekształcony niebawem w najskrajniejszą i najgwałtowniejszą dążność spiskową, coraz szersze zataczał kręgi wśród przodujących żywiołów w społeczeństwie i zwłaszcza w armji. Kiedy w tym czasie naczelnik sztabu gwardji, wierny ks. Wasilczykow, przypadkiem powiadomiony o istniejących knowaniach, w najwyższym przerażeniu, drżącym głosem, doniósł o swoim straszliwym odkryciu cesarzowi, — Aleksander, wysłuchawszy spokojnie tych rzeczy, o których sam wcześniej był już otrzymał najdokładniejszą wiadomość, zmroził gorliwość oddanego sługi temi słowy, wyrzeczonymi z bolesną wyrozumiałością: „*Mon cher Vasilitchikoff, ce n'est pas à moi à sévir*“ *). Istniały w Królestwie Polskiem związki tajne, jakkolwiek i z genezy swojej, i z charakteru, nie mające nic absolutnie wspólnego z nieubłaganą robotą dekabrystów. Początek dały tu polskie związki wolnomularskie, wiadome i tolerowane w swoim istnieniu, składzie i dążnościach. Po roku 1815 „wolnomularstwo narodowe“ stanęło mianowicie pod hasłem zjednoczenia kraju pod berłem Aleksandra, w granicach pierwotnej, obszerniejszej myśli cesarskiej, powstrzymanej przez Kongres wiedeński i okoliczności. We wszystkich łóżach Wielkiego Wschodu polskiego znajdować się musiało obowiązkowo popiersie Aleksandra. Po przyłączeniu łóż poznańskich, zaczęto od tego, że potłuczono popiersia Fryderyka-Wilhelma, a wystawiono Aleksandra. Istotnie te dążenia w pierwszym rządzie kierowały się przeciw Prusom i Austrii. Wielkim mistrzem był Walery Łukasiński, który zmarł przed trzydziestu trzema laty, w 1868 r. i sekret swój dobrze strzeżony zabrał do grobu. Ale w takim stadjum rzecz związkową utrzymać było niezmiernie trudnem, było niepodobieństwem. Tak wyłoniło się Towarzystwa Patriotyczne, ciągle jednak jeszcze przez Łukasińskiego trzymane w duchu monarchicznym, przy Aleksandre. Stało się, co się stać musiało. Gorliwość, tym razem nie ostrzeżona, odkryła istnienie związku. Złagodził Aleksander wyrok na Łuka-

*) General Szylder „Cesarz Aleksander I“, T. IV, według własnoręcznej zapiski Wasilczykowa.

sińskiego i towarzyszków, zabezpieczając jego osobę; wydał oraz amnestję ogólną dla wszystkich członku związku. Odbiła się przeciw cała sprawa dalekiem echem, aż na uniwersytecie wileńskim; wytoczono śledztwo młodzieży filareckiej; usunął się z kuratorstwa ks. Czartoryjski, zastąpiony przez Nowosilcowa. Zajątrzyło się położenie powszechne. Zaciemniał się widnokrąg krajowy.

Wśród takich warunków zjechał Aleksander, wiosną 1825 roku, na trzeci sejm do Warszawy. Wyprzedził jego przybycie doniosły i dotkliwy akt ustawodawczy. W lutym tegoż roku, równocześnie z uniwersałem o zwołaniu sejmu, wydany został Artykuł dodatkowy, znoszący zupełnie jawność sejmowania, z wyjątkiem tylko dwóch formalnych posiedzeń: zagajenia i zamknięcia. Równało się to, w pewnej mierze, zawieszeniu Karty konstytucyjnej. W mowie tronowej otwarcia tak znaczna nowość zlekka tylko została dotknięta. „W chęci utwierdzenia dzieła mego, — mówił Aleksander, — zapewnienia jego trwałości i zaręczenia wam spokojnego onegoż używania, dodałem jeden artykuł do kardynalnego prawa Królestwa“. Zresztą, unikając starannie wszelkich tematów ogólniejszych, kładł głównie nacisk na wyraźną poprawę materialnego bytu kraju, na dokonane tak szybko, od czasu ubiegłego sejmu, postępy pod względem gospodarczym, a zwłaszcza skarbowym; wyprowadzał stąd obowiązek zupełnego zaufania dla troskliwości rządu, i zalecał też ufne roztrząsanie prawodawczych projektów rządowych. Sejm istotnie poszedł za tą wskazówką. Odłożył świadomie na bok wszelkie r kryminacje. Wyrzekł się zamierzonego pierwotnie zastrzeżenia przeciw Artykułowi dodatkowemu, a nawet ułożonego już adresu do tronu z prośbą o zniesienie tego artykułu. Przyjął natomiast wszystkie, bez żadnego wyjątku, projekty rządowe. Tak uchwalone zostały znaczna większością w obu izbach: nowa księga pierwsza kodeksu cywilnego, opierająca prawo o osobach na kompromisie kodeksowych pojęć cywilnych a religijnych pojęć krajowych; stosowne przepisy przechodnie dla tego nowego prawa osobowego; nowela do kodeksowego przepisu o umowie czynszowej, zmierzająca do utwierdzenia tego stosunku prawnego i pomnożenia stanu czynszowników w kraju; wyjaśniająca nowela hipoteczne o uprzywilejowanym i osobistym wierzycielu; poszczególne dopełnienia niektórych sankcji kodeksu karnego; wreszcie ustawa Towarzystwa Kredytowego ziemskiego. Sejm, mając sobie wrazone ostatnie niespodziane słowa monarsze o „ciężkiej swojej opowiedzialności“, postawił sobie za punkt honoru usunąć podstawę wszelkim

w tym względzie upozorowaniom, i dać pełny i dobitny dowód ufności dla korony. Nie mógł nie uznać tego w mowie zamknięcia Aleksander. „Zgromadzenie wasze—mówił—przyniosło skutki, których wam dość powinnować nie potrafię... Spełniliście oczekiwania ojczyzny waszej i usprawiedliwiliście moje zaufanie... Upragnieniem mojem będzie, że bym was przekonał,... jaki wpływ postępowanie wasze mieć będzie na waszą przyszłość“. Jakiegokolwiek jednak było to pragnienie monarchy, już nie miało się ono urzeczywistnić. Po raz ostatni zęgnął Aleksander sejm, Warszawę i Królestwo, Wyjeżdżał, aby więcej nie powrócić. Wyjeżdżał do Taganrogu, gdzie jeszcze przed końcem tego roku czekała go śmierć przedwczesna.

Objęcie rządów przez Mikołaja I nastąpiło wśród warunków nadzwyczajnych, i wprost bezprzykładnych. Widzano już na świecie dosyć sporów o pochwycenie dla siebie korony. Nie widziano jeszcze dotychczas sporu o odsunięcie od siebie korony. Przez trzy prawie tygodnie grudniowe 1825 roku było dwóch monarchów, a nie było żadnego. Wybuch petersburski rozwiązał to jedyne w dziejach dwukrólewie. Ale pociągnęło ono za sobą długi szereg najdrażliwszych i najniebezpieczniejszych komplikacji. Wytworzył się wyjątkowy stosunek pomiędzy Konstantym Pawłowiczem, a młodszym bratem a monarchą; odmienił się też równocześnie stosunek Wielkiego Księcia względem Królestwa Polskiego. Nieodwołalnie już teraz przestał istnieć Cesarzewicz, następca tronu wszechrossyjskiego. Odtąd też, z jednej strony, tem ściślej mógł on odtąd czuć się zsolidaryzowanym z krajem, gdzie naczelną została mu rola; z drugiej strony natomiast, tem bardziej musiał oglądać się na swoją odpowiedzialność wobec Petersburga. To stanowisko obosieczne natychmiast wystawione zostało na najcięższą próbę. Sprawa dekabrystów wykryła pewną ich styczność z Towarzystwem Patryotycznym warszawskiem. Styczność była najbliższa. Jest rzeczą matematycznie pewną, że, po pierwsze, inicjatywa zbliżenia się wyszła ze strony rossyjskiej, i że, powtórę, ze strony polskiej nie wdano się w żadne pozytywne zobowiązania. Na kontraktach kijowskich 1824 roku podpułkownik Krzyżanowski odszukany został przez Bestużewa-Riumina i Murawiewa - Apostoła. Krzyżanowski zachowywał się całkiem biernie, z uderzającą dojrzałością i rozmową. Żądano od niego akcesu do wspólnego spiskowego działania, oraz dopytywano się szczegółów o związkach polskich. Odpowiedział, że żadnego od nikogo nie posiada upoważnienia, i że nie jest ciekaw szczegółów o związku rossyjskim. Pytano

o myśli polskie względem kształtu rządu i wystawiono jako cel konieczny tezę republikańską, Odpowiedział oświadczeniem, że wedle jego przekonania interes polski polega jedynie na rządzie monarchicznym. Otworzono przed nim gwałtowne i krwawe zamiary, i żądano, w razie potrzeby, nałożenia ręki na W. Księcia Konstantego. Odpowiedział, że „nigdy Polak nie zmazał ręki krwią monarchów swoich“. Kiedy natomiast poruszoną została sprawa terytorjalna, zauważył Bestużew, że „przedmiot ten później mógłby być ułożonym, gdyż zdania związku rosyjskiego są w tej mierze podzielone, i znajduje się nawet strona, która przy całości obecnych granic państwa obstaje“ *). Zeznania uwięzionych w Petersburgu dekabrystów sprowadziły aresztowanie w Warszawie Krzyżanowskiego i towarzyszków. Rozpoczęła się długa, paroletnia sprawa o zbrodnię stanu. W. Książę Konstanty, pełną surowość zewnętrznie objawiając w Warszawie, równocześnie ze szlachetną śmiałością stawał w obronie oskarżonych i kraju w poufnych pismach do cesarza Mikołaja **). Nareszcie Sąd sejmowy, po dziesięciomiesięcznych naradach, prawie jednogłośnie wydał wyrok, karzący, umiarkowanym sposobem głównych oskarżonych, uniewinniający innych. Wyrok został zawieszony przez Mikołaja, poddany opinii Rady Administracyjnej, obroniony przez potężną wymowę Lubeckiego, wreszcie zatwierdzony przez monarchę.

Rok 1828, rok Sądu sejmowego, który tyle mocnych wzruszeń przyniósł Królestwu, był oraz rokiem pierwszej Mikołajewskiej kampanji tureckiej, która dosyć niebezpiecznych niespodzianek przyniosła Rossji. Mikołaj I, z dużą

*) Zeznanie Sergieja Murawiewa-Apostoła; zeznanie Aleksieja Bestużewa-Riumina; raport ministra wojny Tatiszczewa do W. Księcia Konstantego, 22 lutego 1826 roku. Ograniczamy się na razie do powołania tych świadectw; a dodajemy, że urzędowe dokumenty śledcze, rękopiśmienne, które w komplecie zbadać mieliśmy sposobność, w pełnej swojej zawartości najzgodniej potwierdzają powyższe przedstawienie rzeczy.

***) W. Książę Konstanty do Mikołaja I, 19 stycznia 1826 roku, 11 kwietnia, 2, 12 grudnia 1827 roku: „l'idée de feu l'Empereur était d'en fuire ses Hongrois, et j'aime à me persuader qu'ils sauront justifier cette attente... Quant á l'assassinat même et que les Russes provoquaient il est prouvé... que les Polonais s'y sont constamment refusés et n'ont pas seulement voulu en entendre parler, mettant en avant qu' aucun régicide n'a entaché la nation polonaise“, Russ. Star., luty, marzec, 1900.

wytrawnością sądu, podwójnie godną uwagi, jeśli uwzględnić jego wiek i charakter, odrazu jasno zrozumiał, jak dalece w takiej chwili zależało na przywróceniu zupełnej równowagi duchowej w Królestwie Polskiem. Wszak była to chwila, kiedy trudności oręża rosyjskiego przed Szumłą ściągały gorączkową uwagę mocarstw zachodnich, kiedy największe powikłania europejskie wisiały w powietrzu, kiedy w szczególności dyplomacja austryjaska na wszystkie strony ruchliwą rozwijała działalność, i kiedy nawet Jego Ekselencja c. k. gubernator galicyjsko-lodomeryjski, ks. Lobkowicz, przy uroczystem otwarciu Muzeum imienia Ossolińskich, przypomniawszy sobie swój indygenat, ukazał się zdumionym oczom mieszkańców Lwowa w autentycznym polskim kontuszu. Mikołaj I na te wszystkie rzeczy pilne miał baczenie. Zamyślał on pierwotnie zażytkować armię polską na półwyspie bałkańskim, lecz ta myśl, niezawodnie najskuteczniejsza, rozbiła się o stanowczy opór Wielkiego Księcia Konstantego. Nie omieszkał atoli Mikołaj, z trafną i przeczorną mądrością, zdaleka zasylać Królestwu ponawiane dowody troskliwości i łaski monarszej. Nie ograniczył się tedy zatwierdzeniem wyroku sądu wojennego. Po wzięciu Warny, pamiętny, iż tutaj „przed czterystu laty król Władysław, jeden z poprzedników Jego, poległ w chwalebnej walce“, dwanaście zdobytych dział tureckich posłał w podarunku do Warszawy. Wtedy też u Kapucynów warszawskich swoim sumptem polecił wystawić kaplicę dla przechowania serca króla Jana, pogromcy niewiernych. Po zawarciu pokoju adryanopolskiego, część zabranych chorągwi i buńczuków tureckich rozkazał złożyć w katedrze Świętojańskiej. Wreszcie, w ścisłem wykonaniu ustawodawczego przepisu zapowiedział przybycie swoje do Warszawy dla dopełnienia aktu Świętej Koronacji. W rzeczy samej przybył do Warszawy w połowie maja 1829 roku, w towarzystwie małżonki i jedenastoletniego syna, Wielkiego Księcia następcy tronu, Aleksandra Mikołajewicza. Koronacja odbyła się z największą wystawnością i zachowaniem wszelkich form ustawodawczych. Akt ten nietylko wobec kraju, lecz oraz, a nawet zwłaszcza, wobec Europy, posiadał doniosłość wyjątkową.

Już na wiosnę następnego roku zjechał monarcha powtórnie do Warszawy dla zagajenia czwartego i ostatniego sejmu Królestwa. W mowie tronowej odezwał się o mioniej wojnie, w której nie było mu danem użyć wojska polskiego; wszakże, — dodał znacząco ku Europie skierowanym zwrotem, — „zaufanie moje wskazało mu nie mniej ważne przeznaczenie: tworzyło ono straż przednią armji

mojej, czuwającą nad niebezpieczeństwem Cesarstwa". Wskazał ważny dopełniony akt koronacyjny. Sąd sejmowy pominął milczeniem. O przyszłości, o której tyle bywało napomknien w przemówieniach Aleksandra, jednego nie stracił słowa. Wreszcie, zwyczajnym sposobem, zalecił uwa-
dze sejmującym wnioski prawodawcze rządu.

Działalność prawodawczo sejmu była jednak tem samem mniej obfitą. Przyjęto drobne nowele o porządku hypotecznym, o służebnościach pastwisk i wrębu, o domach poprawy dla włóczęgów i żebraków, uchwalono jednomyślnie podatek narodowy na wystawienie Aleksandrowi I, Odnowicielowi Królestwa, pomnika na placu publicznym w Warszawie. Odrzucono natomiast znaczną większością projekt rządu do prawa o małżeństwie. W uwagach Komisji sejmowych poddano surowej krytyce działanie rządu nie tylko w interesie administracyjnym, lecz oraz prawno-państwowym. Umieszczono pośród petycji prośbę o zniesienie Artykułu dodatkowego, o ulaskawienie Łukaszińskiego i tym podobne drażliwe materje. Zwięzła mowa tronowa pożegnalna dała uczuć istniejący rozdzźwięk, we wstrzemięźliwej zresztą, raczej negatywnej, wyrażony formie. Winszował monarcha sejmowi pięknej uchwały o pomniku dla Aleksandra. „Senat to pierwsze ciało państwa, — mówił dalej, — usprawiedliwił. w zupełności całe moje zaufanie“. O izbie poselskiej milczał, Nazajutrz opuścił Warszawę.

Naprężenie w kraju szerzyło się i rosło gwałtownie. Wiadomość o rewolucji paryskiej doprowadziła je niebawem do najwyższego napięcia. Odtąd pierwsza iskra musiała spowodować wybuch. Odkrycie zleceń monarszych do Lubbeckiego o postanowionej wojnie francuskiej, o postanowionym wymarszu armji polskiej, stała się tą iskraw. Wypadki następowały po sobie z błyskawiczną szybkością. 29 czerwca 1830 roku Mikołaj I był wyjechał z Warszawy. 29 lipca Karol X został detronizowany w Paryżu. 29 listopada wybuchła rewolucja w Warszawie. Zaczęło się straszne, nierówne zmaganie się wojenne polsko-rosyjskie. Zdruzgotane w niem doszczętnie Królestwo Kongresowe. Pogrzebana ostatecznie era kongresowa. Nowy ustrój publiczny, wśród nowych warunków, wkraczał do nowej doby dziejowej.

Szymon Askenazy.

Po lodowcach i wydmach.

(Podróż doktora Swena Hedina).

Ale podróżnik nie dba ani o upał ani o zimno, jeżeli kraj, po którym wędruje, jest interesujący, a tu szczególnie, w krainie zwiedzanej przez Swena Hedina, miał na każdym kroku ciekawe odkrycia. Albowiem w tych właśnie okolicach spotkał pokolenie pastuchów, których istnienie było dotąd zupełnie nieznanne, nawet przez władze chińskie. Krajowcy ci, żyjąc w lasach Kerya-Darji, nie mając żadnej styczności prawie z resztą świata, stanowią pouczający przykład z życia ludności za czasów przedhistorycznych.

Podróż po tej części Azji jest pogładową nauką historii ludzkości.

Okolica ta jest jedną z ostatnich, w których przebywa wielbłąd nieoswojony, unikat zoologiczny. Zdaniem krajowców, zwierzę to pochodzi od gatunków domowych oswojonych, któremi się posługiwali dwa tysiące lat temu mieszkańcy starożytnych dolin Takla-Makane. Wielbłądy te, puszczone na wolność po wtargnięciu do kraju piasków, powróciły do stanu dzikości. Zdolność asymilacyjna, jakiej dowody daje ten zwierz czworonożny, czyni to wyjaśnienie bardzo prawdopodobnem. Albowiem po kilku dniach wolności, wielbłądy domowe stają się bardzo dzikimi, a na od-

wrót młode zwierzęta nieoswojone mogą łatwo przeobrazić się w swojskie.

Zwierzyna ta pozwala się podejść, tak, że przez dni kilka udało się myśliwcom z karawany ubić kilka sztuk wielbłądów. Mięso wielbłąda dzikiego jest bardzo poszukiwane przez krajowców; tłuszcz, wypełniający garby, jest, jak mówią, bardzo smaczny. Kucharz wyprawy szwedzkiej używał go zamiast masła, przygotowując tradycyjny pudding na ryżu, stanowiący jedyną potrawę ranną i wieczorną karawany.

Przez góry Tybetu. — Dwa miesiące na wyżynie 3,500 metrów.

Dnia 23 lutego Swen Hedin dotarł do miasta Szach-Jar nad rzeką Tarym, przeszedłszy Saharę azjatycką z północy na południe.

Ztąd, biorąc się na wschód, zwiedził kotlinę Lob-Nor, gdzie się łączą wszystkie wody kotliny Tarym, które uniknęły wyparowania lub wsiąknięcia w piaski. W tym bowiem kraju, najzupełniej suchym, powietrze i ziemia pełnią czynności gąbki, pochłaniając całą prawie wodę, z gór spływającą. Badania Swena Hedina w krainie Tarym dały ten wynik bardzo ciekawy, że odkryły szczególny porządek przyrody w kotlinie Lob-Nor. Ten spadek wody stanowi jezioro wędrownie, którego zmiany miejsc są zdaje się przeważnie zależne od pochodu wędrowców, przez wiatry pędzonych.

Karawana powróciła potem do Khotan, głównego punktu skupienia szerokiej oazy, zawierającej około trzechset wiosek. Rynek główny tego miasta wygląda malowniczo, z powodu mozaiki białych ścian meczetów i bram pomnikowych.

Chcąc zakończyć wielkie dzieło geograficzne, nad którym pracował już półtrzecia roku z taką energją, nieugięty

podróżnik szwedzki postanowił przejść Chiny niebezpieczną drogą na Tybet. Dnia 30 lipca 1896 roku osiągnął góry Konen-loun, gdzie się znajduje bastjon północny wielkiego muru, wznoszącego się pomiędzy równinami indyjskimi a korytem Taramu.

Karawana dla próby przeszła tutaj grzbiet góry po nad wylomem otwartym na wysokości 4182 metrów. Z drugiej strony grunt przedstawiał głęboką wklęsłość, poczem wznosił się raptownie, tworząc drugie pasmo, jeszcze wyższe od pierwszego. Sięgało ono wysokości 4780 metrów, o 30 tylko metrów niżej góry Montblanc. Wdzierali się na górę



Rynek w Khotanie.

i schodzili wielokrotnie, i w ten sposób gromadka wędrowców męcząc się, ćwiczyła odtąd tygodnie całe...

Na takich wyżynach nieomal wszyscy ludzie cierpią chorobę górską. Tłomacz chiński, nie mogąc wytrzymać na podobnej wysokości, musiał się wrócić. Nazajutrz trzech ludzi byli zniewoleni przerwać podróż, a Islam Bai zapadł również ciężko na zdrowiu.

„Obóz jest szpitalem, — pisze ze smutkiem Swen Hedin. — Jedyne naczelnik wyprawy znosił rozrzedzenie powietrza z równym spokojem, jak męki braku wody. Nie doznając najmniejszego niedomagania, jadł i palił, co stanowi

wymowny dowód zdrowia, jak twierdzą doświadczeni alpinści.

Na przekór wszelkim trudnościom, nasz energiczny podróżnik posuwał się wciąż naprzód.

„Mamy mało wody — pisze — lub jej nie mamy wcale, pasza jest chuda, a nieraz uważamy to sobie za szczęście, jeśli się ją napotyka. Pogoda jest ciągle brzydka. Co popołudnie sroży się burza okropna. Grzmoty rozlegają się z przerażającym trzaskiem, a grad bije zapamiętale. Ziarna gradu, grube, jak ziarnka kukurydzy, uderzają w nas z taką siłą, że czujemy te ciosy po przez czapki futrzane i futra.“

Lecz miał on nietylko przeszkody, któremi walczy przyroda. Nieposłuszeństwo uczestników wyprawy dodało jeszcze niebezpieczeństwa temu przykremu położeniu.

Taglikowie, towarzyszący Swenowi Hedinowi, przerażeni niebezpieczeństwami przedsięwzięcia, uciekli w nocy, wprowadzając ze dwanaście koni i osłów, oraz znaczną ilość zapasów żywności.

Wnet jednak po ucieczce wybrano trzech ludzi zaufanych z pośród najenergiczniejszych, dano im dobre konie i broń dobrą. Puścili się w pogoń za uciekinierami, a pędząc szybko, doścignęli ich i sprowadzili do obozu. Odtąd co wieczór, chcąc uniknąć nowej próby ucieczki, związywano mocno tych ludzi. Dnia 23 sierpnia wyprawa wdarła się na Arka-Tag, jeden z najwyższych grzbietów Tybetu.

„Tutaj wreszcie, — pisze Swen Hedin, — nadszedł dzień ostateczny, który będzie stanowił o naszym zwycięstwie lub porażce, zależnie od tego, czy uda nam się przejść mur straszny, przed nami się wznoszący, czy też nie. Przepowiednia nasza nie jest zachęcająca. Dzisiaj, jak wczoraj, jak onegdaj, zawierucha śnieżna otacza nas i oślepia. Sierpień się jeszcze nie skończył, a tu już zupełna zima.“

„Karawana obozuje na wysokości 5580 metrów. Wożo biwaku niema wcale pastwiska.“

„Niebo jest wyjątkowo czyste, księżyc w pełni świeci bladą swą tarczą. Jedyne szum wydaje szmer wody bieżącej; jedynym ruchem jest powolna wędrówka wiatrów po

bokach śnieżnych olbrzymów. Doznaję wrażenia, jakbym był na innej planecie."



Rantony potwór rozwiścieczył się. Padł dopiero po jedenastu celnych strzałach.

Nazajutrz wyprawa wybiera się na właściwe płaskowzgórza Tybetu. Krajobraz tej części ziemi jest nader je-

dnostajny. Ciąg szerokich kotlin, mieszczących się między dwoma olbrzymimi grzbietami gór. W tych kotlinach płyną jeziora słone, nie mające odpływu.

Podróż byłaby tutaj dosyć łatwą, gdyby nie to, że codziennie o stałej prawie godzinie srożyła się wichura straszna, gradowa lub śniegowa, prawdziwy orkan, którego gwałtowne podmuchy wstrzymywały na jakiś czas pochód karawany.

Na tym ogromnym szkielecie z kamieni i śniegu jedyłą rozrywką było polowanie, gdyż zwierzyna jest tutaj szczególnie interesująca. Są tam przedewszystkiem *pułany*, rodzaj konia dzikiego, bardzo podobny do muła, a będący, być może, odmianą konia oswojonego.

Dalej kraina ta obfituje w *jaki* dzikie. Zwierzęta te odznaczają się nadzwyczajną wytrzymałością. Byk, do którego strzelił Islam, padł dopiero, gdy go trafiła siódma kula z rzędu. W kilka godzin potem, gdy ludzie posłani celem zabrania zdobyczy, doszli do miejsca, na którem miało leżeć zwierzę nibyto zabite, zastali je na nogach, gotowe do obrony. Ósma kula rozwścieczyła tylko zwierzę. Rozjątrzony bólem wół, wpadł w złość nieopisaną; ryczał tak strasznie, że odgłosy odzywały się ze wszech stron tego świata zmarłego; dyszał jak parowóz, rył ziemię rogami i pyskiem potężnym, otaczając się obłokiem kurzu, przypominał słowem postawę walczącego byka cyrkowego. Dopiero od jedenastej kuli zwierzę padło ostatecznie. Była to wspaniała sztuk,—od pyska do początku ogona miał przeszło 3 metry długości,—ale ucztą z niego była nieszczęśliwa. Mięso jest łykowane, a gryźć je można dopiero po kilkukrotnem gotowaniu.

Od sześciu tygodni karawana podróżuje po stromych górach. Zwierzęta wyczerpane długim pochodem i brakiem żywności, zdychają jedno za drugim, a do krain zaludnionych jeszcze daleko.

„Z dnia na dzień położenie naszej karawany, czyni się bardziej groźnem, — pisze ze smutkiem Swen Hdin. — Przy

każdym postoju mamy do zapisania jakąś stratę. Dnia 10 września—koń i osioł; d. 12—koń i trzy osły. I nie mamy żadnego środka wzmacniającego dla zwierząt. W miarę posuwania się ku wschodowi, pastwiska są coraz rzadsze.

„Dnia 14 września, dzisiaj mamy tylko cztery osły, i to w jakim stanie!”

Cyfry, jak twierdzą, są wielce wymowne. Lepiej, niż to uczynić mogą wszelkie opisy szczegółowe, objaśni nas podanie wysokości strat, jakie poniosła wyprawa szwedzka. To nam da pojęcie o trudnościach, związanych z tą podróżą.

Karawana podczas wyjazdu w drogę miała pięćdziesiąt sześć sztuk zwierza; do przeciwnej strony gór doszło ich tylko siedm. Dziewięćdziesiąt procent zwierząt padło przeto na płaskowzgórzach Tybetu.

O tej porze nadejście zimy pogorszyło jeszcze położenie podróżników. Termometr spadł 11 stopni poniżej zera, śnieg sypał grubemi płatkami, powiększając jeszcze cierpienia zwierząt. Pastwiska, ukryte pod grubą warstwą kryształową, dały koniom zaledwie kilka pęczków trawy.

Dnia 28 września odkryli ślady stóp ludzkich, ścieżek i obo, czyli ofiarki, jakie pielgrzymowie buddyjscy złożyli w pustyni. Dnia 1-go października wreszcie, po pięćdziesięciu pięciu dniach, spędzonych w najzupełniejszej pustyni, karawana napotkała obozowisko mongolskie. Jeszcze kilka dni, a dósza do Harato. Barometr wskazuje już tylko 3310 metrów wysokości. Od dwóch miesięcy wyprawa nie znajdowała się na tak niskiej wyżynie.

Dnia 6 października, wychodząc z ciasnego wąwozu, ujrzeni nasi podróżnicy panoramę niezwykłą, oni, co dotychczas miesiącami całemi mieli koło siebie same góry. Pasma, otaczające dolinę, rozeszły się nagle, odkrywając widnokrąg równiny bez granic przypominający widok morza. Było to Tzaidam, nowa pustynia piaszczysta, tworząca, jak kotlina Tarymu, nowe łożysko pośród gór wielkich. Jeszcze 2000 kilometrów dzielą Swen Hedina od Pekinu. Droga jest często fatalna, ludność miejscami wroga, mróz okropny, lecz żadna przeszkoda nie może powstrzymać naszego wędrowca.

Kosztom pięciomiesięcznych wysiłków dochodzi w marcu 1897 r. do Pekinu, z kąd wraca do Szwecji drogą na Mongolję i Syberję, przebiegając w ten sposób po raz drugi całą szerokość ładu azjatyckiego. Dopiero dnia 10, maja 1897 r., po trzech i pół roku nieobecności, Swen Hedin wraca do Sztokholmu, obszedłszy dwa razy Azję, czyli przestrzeń 23000 kilometrów, co jest prawie tyle, ile wynosi odległość od jednego do drugiego bieguna kuli ziemskiej.

Siedm cudów świata.

(Z dziejów starożytnych).

Czasy nowożytne przyczyniają się do coraz większego postępu wiedzy i stosowania jej do przemysłu. Natomiast cywilizacja w starożytności doszła była do takiego stopnia wspaniałości artystycznej, że obecnie niema wcale nadziei ujrzenia czegoś podobnego. Pamięć o tym artyzmie przechowała się przez wieki do naszych czasów. Niektóre z owych dzieł sztuki słyną szczególnie ze swej okazałości nadzwyczajnej i doskonałości.

Dzięki opowieściom pisarzy ówczesnych, możemy w czasach terażniejszych odtworzyć w myśli te cuda, oraz przedstawić czytelnikom obraz ich żywy i zachwycający, w postaci, w jakiej je oglądały oczy praprzodków.

Są słowa, które samym swym dźwiękiem wywierają potężne wrażenie. Gdy słyszymy teraz o „siedmiu cudach świata“, wywołuje to w nas zachwyt mimowolny. Wiemy bowiem, że te arcydzieła zadziwiały cały świat starożytny, będąc ostatnim wyrazem okazałości imponującej i doskonałości artystycznej. W czasach obecnych, chcąc olśnić świat cały, wystawia się wieżę Eiffla. Gdy jednak znikną ostatnie sztaby tego potwora żelaznego, to jakąż on po sobie zostawi pamięć? że był o tyle brzydki, o ile bezużyteczny. Starożytni zaś pamiętali o tem, aby zawsze rzeczy użyte-

cznie szły w parze z piękniemi. Oni zresztą nie liczyli się tak bardzo, jak obecnie, z czasem i robotą.

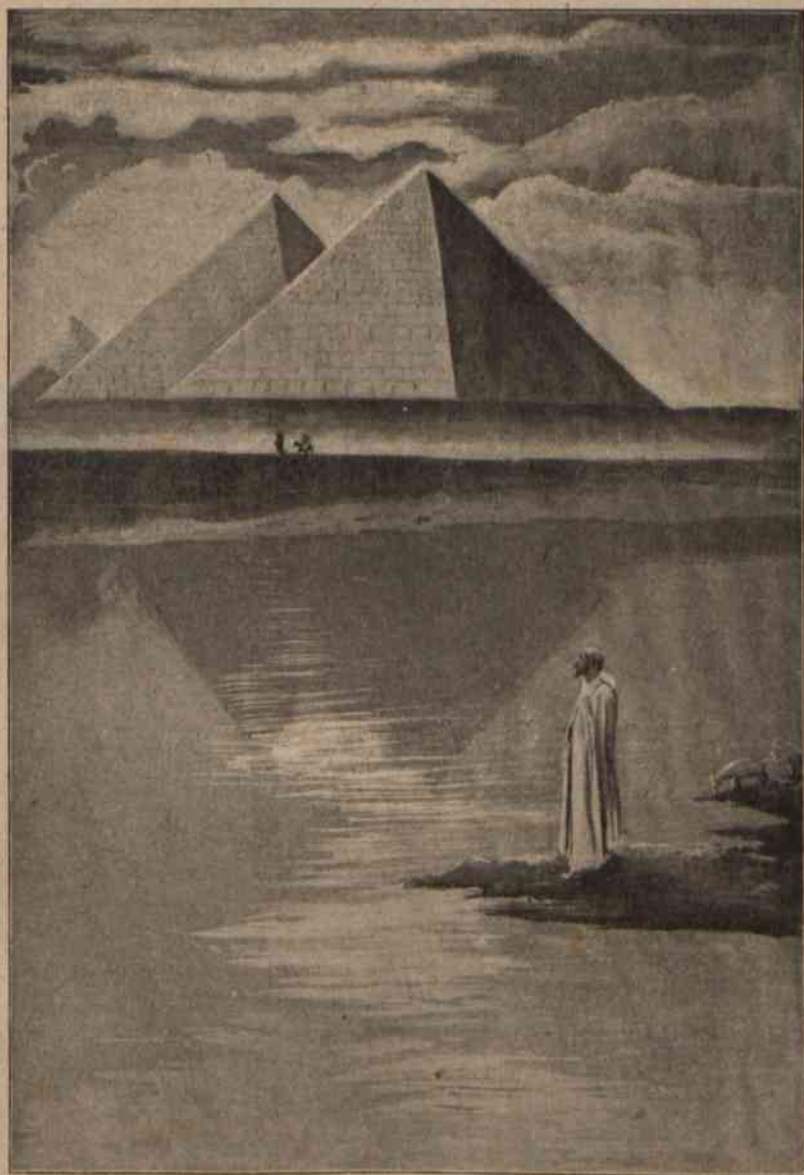
Ówczesna organizacja społeczna zezwalała na długie prace zbiorowe. W ten sposób zdołali wykonać siedm słynnych pomników, które historia starożytna stawia na pierwszym planie rzeczy, godnych podziwu. Są to Piramidy egipskie, Aleksandryjska Latarnia morska, Ogrody wiszące Semiramidy, Świątynia Djany z Efezu, Posąg Jowisza olimpijskiego, wykonany przez Fidjasza, Grobowiec Mausolusa w Halikarnasie i Kolos Rodyjski.

Piramidy egipskie.

Cudowne dzieła sztuki, będąc wytworem rąk ludzkich, są, jak ludzie, znikome. Z pośród tych dzieł pozostały jeszcze, jako jedyne cudo starożytne, piramidy egipskie. Przetrwały wieki, przeżyły upadki niejednej cywilizacji.

Jedynie najwyższa z piramid uległa potrosze niszcącemu zębowi czasu. Beduin, przebywając nad brzegami Nilu, widzi, jak te piramidy w poranku zimowym sterczą niewyraźnie za całunem mglistym, zawieszonym na widnokręgu, odznaczając się na niebie, jako ogromne trójkąty. Zna je dobrze, bo widywał codziennie, jak się wznoszą dumnie, panując nad pustynią.

Widok tę wspaniały. Ośmdziesiąt piramid rozłożyło się na przestrzeni długości przeszło 30 kilometrów, na granicy pustyni Libijskiej, której zdają się strzedz niewzruszenie! Najsłynniejsze są piramidy Gizeh, wśród których znajduje się najwyższa ze wszystkich, piramida Cheopsa, nazwana Khout (Błyszcząca). Podstawa jej mierzy 232 metry kwadratowe. Wysokość pierwotna wynosiła 146 metrów. Obecnie obniżyła się do 139 metrów, ale jest jeszcze dwa razy wyższa, niż kościół Najświętszej Marji Panny w Paryżu. Wchodzi się na tę piramidę po schodach, wysokich na 1 metr. Bu-



W poranki sinowe piramidy sterczą z pod zasłony mglistej, zawieszanej na widnokregu, i odznaczają się na niebie, jako ogromne trójkąty.

dował ją Kufru, pierwszy król IV dynastji, około 6120 lat temu. Napoleon I niezbyt więc był blizki prawdy, zwracając się do swego wojska ze słynnym orzeczeniem: „Żołnierze! z wyżyn tych piramid patrzy na was czterdzieści wieków...“.

Przez długie czasy zastanawiano się nad pytaniem: do czego służyć mogły te olbrzymie pomniki? Obecnie wiadomo, że te przybytki z kamienia były grobowcami królów.

Egipcjanie wierzyli w życie materialne duszy po śmierci. Królowie egipscy, Faraonowie, chcieli przeto mumje swe, czyli ciała nabalsamowane, umieszczać pod pomnikiem wiecznietrwałym. Nie dopuszczając do unicestwienia swej powłoki ziemskiej, byli przekonani, że tym sposobem i dusza ich nie powróci do nicości. Gdy tedy jaki Faraon rozpoczął panowanie, to pierwszą jego troską było sporządzenie dla siebie grobowca z kamienia, cegły, granitu.

Starożytni autorowie opowiadają nam o tem, jaki ogrom rzemieślników, armja ze 100,000 ludzi, pracował razem lata całe przy budowie piramid. Byli to niewolnicy, źle odżywiani, jęczący pod kijami dozorców; z wielkim wysiłkiem wznosili pomniki chwały swych władców.

W opowiadaniach starodawnych jest jednak znaczna ilość przesady, która świadczy, jak dalece umysły były przejęte uwielbieniem dla tych budowli okazałych. W istocie Egipcjanie posiadali już wtedy maszyny, bardzo udoskonalone, które, służąc do dźwigania ogromnych odłamów kamieni, ułatwiały niemało zadanie.

Faraonowie bronili swych grobów przeciw wszelkiemu znieważeniu z zazdrosną skrzętnością i z niesłychaną zreżnością. Wejście do kolosalnych grobowców było zazwyczaj skryte. A gdy się udało je odkryć, miało się przed sobą otwór do korytarza wąskiego, krytego.

Wszystkie te środki ostrożności nie przeszkodziły archeologom współczesnym dotrzeć do wnętrza piramid. Ciała zmarłych Tutmesów, Sezostrysów, Ramzesów zajmują teraz miejsce w witrynach muzeów egipskich i europejskich. Ogląda się Faraonów, dotyka, odbito ich fotografie. A tymcza-

sem nieużyteczne już groby wznoszą nadal w pustyni swe kształty olbrzymie.

„Wszystkie przedmioty obawiają się czasu, mówi przysłowie arabskie, ale czas boi się piramid.“

Dziwne zestawienie, dokonane przez podniecony umysł poety i rozmyślania filozofa! Te kupy kamieni, które przeżyły wieki, są grobowcami. Te pomniki nieśmiertelne są pomnikami śmierci. Trwając przez wieczność, stanowią w przeciągu wieków dowód oczywisty próżności ludzkiej i świadectwo naszej znikomości.

Aleksandryjska latarnia morska.

Pozostałe „cuda“, mniej trwałe, znikły zupełnie, albo też przechowały się po nich ślady ledwo dostrzegalne. Możemy wszakże cuda te podziwiać w opisach, jakie nam zostawili pisarze starożytni. Dokładność tych opisów jest tak wielka, że można odtworzyć z istotną wiernością obraz tych arcydzieł. Okaz Aleksandryjskiej latarni morskiej świadczy, jak starożytni umieli przyozdabiać pięknie to, co w pierwotnym swem przeznaczeniu miało służyć tylko za dzieło do praktycznego użytku.

Podczas czterech wieków przed erą Chrystusową, miasto egipskie, Aleksandrja, było wydatnem środowiskiem cywilizacyjnem i portem handlowym, jednym z najbogatszych. Za czasów największego rozwoju Aleksandrja miała 20,000 domów mieszkalnych. Budynki te niskie i kwadratowe, z białego marmuru, nie były uszeregowane w porządku z przyczyny kaprysu mieszkańców. Słońce, rzucając promienie na te kwadraty lśniące, fantazyjnie rozproszone, wytworzyło w ten sposób grę tysiąca światel wspaniałych. O zachodzie słońca Aleksandrja przedstawiała widok arcyciekawy. Bankierzy, kupcy, pisarze, eleganci chodzili wtedy

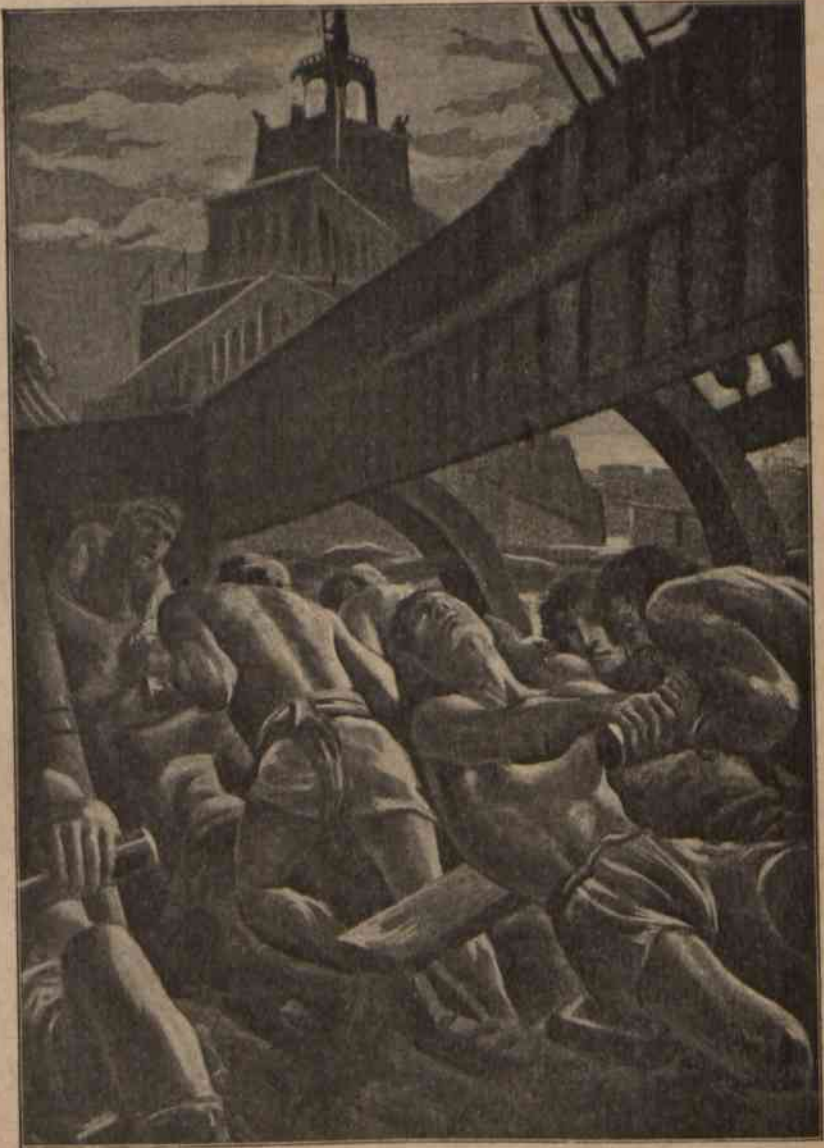
na spacer, oddychając świeżem powietrzem wieczornem na brzegu morskim.

Handlarze owoców przechodzili, wywołując z krzykiem, że mają do sprzedania figi i morwy. Następnie ukazały się flecistki, któremi chlubiła się Aleksandrja, i grały na swych instrumentach. Od jednego końca bulwaru do drugiego panował hałas różnych głosów bawiącego się tłumu. Cudzoziemcy zbierali się razem i rozmawiali z sobą, każda grupa w oddzielnem narzeczu. Tutaj wszyscy zapominali o troskach i trudach materialnych, odurzając się tą symfonią światła i wesela, jaką przedstawiała Aleksandrja wieczorami po dniach pięknej pogody.

Na nieszczęście, morze w tych okolicach było niebardzo pewne, a okręty rozbiły się, jak szkło, o brzeg, najeżony skałami. Gdy ciemność ogarnęła żeglarzy na morzu rozkołysanem, mieli oni aż nadto słuszny powód do niepokoju. Majtkowie w starożytności, nie posiadając kompasu, busoli, mapy, mieli jedyne przewodniki w gwiazdach, a zwłaszcza w Małej Niedźwiedzicy. Gdy zabrakło im tego znaku, byli narażeni na największe niebezpieczeństwa. Zdarzały się częste rozbicia okrętów. Nieraz, nazajutrz po burzy, fale przynosiły na bulwary w okolicach Aleksandrji szczątki różnorodne, jako świadectwo niedawnej katastrofy.

Ptolemeusz Filadelfos, który panował w pierwszej połowie III wieku przed Narodzeniem Chrystusa, postanowił przyjść z pomocą żeglarzom, przyczyniającym się swym handlem do bogactwa stolicy. Zbudowano tedy z rozkazu króla na wyspie Faros, nieopodal portu aleksandryjskiego, kolosalną „wieżę ogniową“. Latarnie morskie nazywają z tego powodu „farosami“. Faros aleksandryjski, utworzony z kilku wież sklepionych, a wznoszących się jedna nad drugą, był zbudowany z marmuru białego, jak domy miejskie. Wysokość jego dosięgła około 160 metrów (wyżej o 12 metrów, niż szczyt kopyty kościoła katedralnego w Strasburgu). Budowa tego gmachu wspaniałego kosztowała całkowite 800 talentów (około 2,000,000 rubli).

Aleksandryjska latarnia morska miała na szczycie ukryte ognisko, w którem palące się drzewo dzień i noc buchało



Majtkowie, którym przyświeca dobroczynna latarnia na wieży Faros, wiostują szybciej.

ogromnym płomieniem. Latarnię widać było na odległość 80 kilometrów. Uratowała ona życie wielu marynarzom!

Jeszcze daleko od portu widzieli cel, do którego dążą. Dobroczyne światło wieży Faros uspokajało ich i ubezpieczało. Z wysiłkiem wiosłując, przyspieszali instynktownie wiosłowanie, bo zwolna wyłaniały się coraz wyraźniej z pod mgły nadwodnej zarysy olbrzymiej wieży Faros. Jeszcze chwila pracy, a już mają przed sobą łańcuchy, zamykające wejście do przystani. Tutaj straż czuwała bezustannie. Trzeba było zatrzymać się, załatwiać różnorodne formalności. Potem łańcuchy opadły, i łódź wpłynęła do przystani. Potem łańcuchy opadły i łódź wpłynęła do przystani. Nowoprzybyły statek zajmował miejsce w szeregu innych okrętów, znajdujących się w przystani, których wiosła równolegle zwieszały się po wodzie, jakby opadłe skrzydła martwego ptaka.

Tymczasem zdala dochodzi gwar. Aleksandrja się budzi. Szczyt latarni znika w ogromnym obłoku dymnym. A właściciel okrętu nowoprzybyłego, zapominając o nocy bezsennej i trudach, oblicza teraz zyski, jakie mu przyniesie dzień świtający.

Babilonskie ogrody wiszące.

Pobudką do zbudowania Aleksandryjskiej latarni morskiej była myśl o pożytku jej znacznym: światło ułatwiało handel morski i chroniło od niebezpieczeństwa całą armję marynarzy. Ale próżna chęć rozkoszy zawiesiła nad Babilonem ogrody czarowne, których przeznaczeniem było uprzyjemnić czas wolny kobiety, urzeczywistnić marzenia władcy wsi wszechpotężnej.

Semiramida jest istotą nawskroś poetyczną. Jej dzieje nawpół legendowe, zawierają jednocześnie szczegóły prawdziwe i zmyślane. Ma być córką bogini Derceto. Narodziła

się w pustyni, gdzie dzikie zwierzęta z łatwością mogły dziecię pożreć. Ale losy czuwały nad córką bogini. Przyfrunęły gołębie, które grzały dziecinę swem ciepłem i karmiły ją mlekiem, porywanem w pobliskich owczarniach. Intendent królewski znalazł ją przypadkiem, a widząc jej piękność zachwycającą, uprowadził do pałacu. Tutaj zaślubiła króla assyryjskiego, Ninusa; objąwszy po jego śmierci władzę, była tak energiczna, że rozszerzyła znacznie granice państwa i uczyniła je potężnem.

Zwycięstwa wojenne przysporzyły jej niezliczone bogactwa, które postanowiła poświęcić na wzniesienie pomnika tak wspaniałego, żeby pamięć o nim trwała przez wieki potomne. Były nim ogrody wiszące.

Ogrody te mieściły się nad fortecą. Podstawa ich była czworoboczna, a każda strona była szerokości 120 metrów. Wchodziło się po stopniach na tarasy, ułożone jeden nad drugim amfiteatralnie. Tarasy spoczywały na kolumnach, które były stopniowo coraz wyższe, a z których najwyższa mierzyła 50 metrów. Ta dźwigała szczyt ogrodu. Płaszczyzny tarasów składały się z ogromnych brył ziemi, pokrytych warstwą trzciniową, zmieszaną ze smołą ziemną. Na tej warstwie leżał podwójny szereg cegły palonej, gipsem spojonej. Na niej znowu spoczywała warstwa ołowiu. Ta pokrywa miała na sobie pokład ziemi, wystarczający na rozrastanie się w niej największych korzeni. Drzewa sadzono w prostej linii, szeregami: platany wschodnie, więzy o liściach wązkich. Po obudwóch stronach alei rozłożyły się galki i lasy kwieciste. Powietrze było tam balsamiczne, a wieczorem podczas powiewu wietrzyka, cały Babilon upajał się temi zapachami świetnemi.

W tych to ogrodach przebywała Semiramida; tam przedstawiają ją artyści i poeci, szukającą zapomnienia trosk panowania w Edenie wiszącym. Krokiem majestatycznym, w towarzystwie świty oficerów, obchodzi królowa swą posiadłość nadpowietrzną, zachwycając się wspaniałościami, jakich tu pełno z rozkazu władczyni. Królowa zatrzymuje się pod cieniem drzew, goni wzrokiem wzory dziwne, jakie kwiaty rysują na murawie, a zmęczona prze-

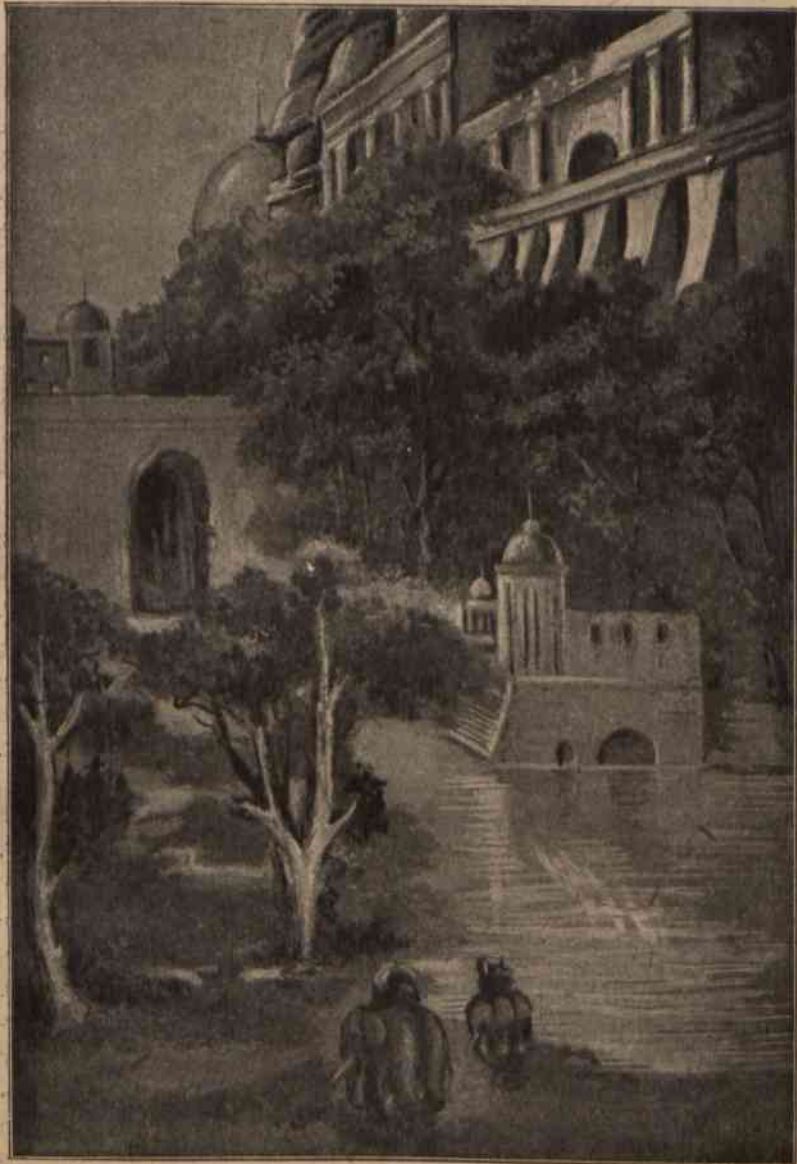
chadzką, rzuca się na kobierzec. I wtedy orkiestra flecistów i gitarzystów wykonywa słodkie melodie, których królowa słucha, łowiąc zarazem uchem szmer wodotrysków, tryskających wodą, sprowadzaną z Eufratu.

A podczas gdy w Babilonie trapi ludzi upał tropikalny, tu Semiramida rozkoszuje się na tarasach królewskich powietrzem wonnem, chłodnem.

Ślady, odnalezione na miejscu, gdzie był Babilon starożytny, świadczą, że tam właśnie mieściły się napiętrzone tarasy cudowne. Drzewa uschły, fontanny są nieczynne. Semiramida, przemieniona w gołębicę, porzuciła tę ziemię. Dzięki stworzeniu ogrodów wiszących, imię królowej słynie dotąd i żyje w pamięci ludzkiej. Z pośród tajemniczych cieni drzew, z tych czarownych gajów, władczyni babilońska uniosła się pewnego dnia, promienna, w postaci białej gołębiczy, ku niebiosom legendowym.

Trzy cuda, o jakich mówiliśmy dotychczas: Piramidy, Ogrody wiszące i Aleksandryjska Latarnia morska, zachwycały starożytnych głównie swym wyglądem wspaniałym i ogromnem. Cztery następne zadziwiały przede wszystkim swą doskonałością artystyczną. Dają one wyobrażenie tego, czem była sztuka grecka podczas swego rozkwitu najpiękniejszego.

Są to: Kolos Rodyjski, Świątynia Djany Efezkiej, posąg Jowisza Olimpijskiego, Grobowiec Mausolusa w Halikarnasie a wywierają wrażenie bardziej łagodne, dają zadowolenie szlachetne, czyste, subtelne, jakiego się doznaje przy oglądaniu dzieła doskonałego. One nas wprowadzają w prawdziwe państwo sztuki. Przenoszą nas w ten świat grecki, któremu zawdzięczamy pojęcie piękna. Dają nam styczność z duchem harmonji, prostoty wykwintnej i wielkości umiarowanej.



Ogrody królowej Semiramidy piętrzyły się niegdyś tarasami cudownymi nad Babilonem.

Kolos Rodyjski

Wyspa Rodos, stosownie do legendy, została utworzoną na rozkaz Apollina z bałwanów Archipelagu. Początkowo była bagniskiem ogromnem i pełnem wyziewów zaraźliwych. Lecz bóg słońca pochłoniął za pomocą promieni żarzących wody stojące, któremi była pokryta. I wnet przystroiła się w roślinność bujną, piękną i barwną, tak że zachwycone ludy dały jej nazwę którą nosi jeszcze dodziś dnia: *Rodos* czyli *róża*.

Wyrocznia orzekła: „Ty, Rodos, córko boga dnia, będziesz przez długie czasy ziemią wolną i posiadiesz skarby niezliczone“. Ta przepowiednia ziściła się. Rodos stał się pierwszorzędnym punktem handlowym całego archipelagu. Rodyjczycy, ruchliwi i przedsiębiorczy, pozyskali ogromne majątki. Pewien poeta starożytny, opiewając bogactwo tego miasta, opisuje, jak Jowisz spuszcza na nie obfity deszcz złoty.

Ta pomyślność obudziła oczywiście zawiść sąsiadów. Ale Rodos potrafił mimo wszystko utrzymać swą fortunę i niezależność. Jeden z najslawniejszych bojowników starożytnych, Demetrjusz Poljorcetes, musiał zaniechać oblężenia miasta, pomimo że wytrwał pod jego murami wiele miesięcy. Zgoda została zawarta, a wódz wojska oblegającego, chcąc okazać nowym sprzymierzeńcom dowód poważania, ofiarował im wszystkie maszyny, użyte przeciw nim podczas wojny. Rodyjczycy sprzedali je na publicznej licytacji; 300 talentów (600,000 rb.) otrzymano za te przyrzady, a pieniądze przeznaczone na wzniesienie sławnego kolosu.

Wszyscy obywatele zgodzili się wnet jednomyślnie na użytek, jaki miało się zrobić z tej sumy. W miastach Archipelagu panował wówczas zwyczaj stawiania posągów o olbrzymich rozmiarach na rynkach miejskich. Rodos postanowił wnieść posąg, którego wymiary zaćmią wszystkie pomniki miast współzawodniczących. Budowę Kolosu powierzył rzeźbiarzowi znakomitemu, Charesowi z Lindos. Ten

dał posągowi rysy Apollina, za którego sprawą, wedle wierzzenia Rodyjczyków, Demetrjusz przegrał wojnę.

Kolos umieszczono przy wejściu do przystani Rodosu. Nogi kolosu spoczywały na dwóch wieżach, oddalonych od siebie o 12 metrów. W ten sposób mogły największe okręty łatwo przepływać między stopami kolosu. Marynarz, zbliżający się do Rodosu, widział z daleka tę ogromną bryłę metalową, na której powierzchni gładkiej odbijały się zarówno niebo jasne, jak morze wielkie. Posąg służył żeglarzom za przynętę, przypominając im z góry o potędze i bogactwie miasta widzianego zdaleka. Rozmiary kolosu wzrastały, gdy się do niego marynarz zbliżał coraz więcej. Odróżniał wreszcie szlachetne kształty posągu, rysy majestatyczne boga słońca. Widok ten przejmował żeglarza zachwytem. Jeżeli bowiem zwyczaj wznoszenia posągów kolosalnych przyjęto od Egipcjan, to kolos Rodyjczyków był właściwie robotą grecką, czyli sztuką cudowną, dziełem skończenie pięknem. Chares z Lindos pracował nad niem przez lat dwanaście, od roku 300 przed Narodzeniem Chrystusa do r. 288.

Trzęsienie ziemi, które nawiedziło wyspę w r. 222 a z którego powodu ona dużo strat poniosła, wywróciła także kolos.

Olbrzym miedziany, leżąc już na brzegu morza, wywoływał jeszcze zachwyt podróżników.

Gdy Turcy zawojowali wyspę Rodos, to kalif Osman sprzedał słynny posąg w r. 672 po Narodzeniu Chrystusa. Rozebrano kolos na kawałki, a do przewiezienia tych szczątków trzeba było aż 980 wielbłądów.

Świątynia Djany z Efezu.

Apollo, bóg dnia, mógł przypatrzeć się własnym rysom w Kolosie Rodyjskim, stworzonym na jego podobieństwo.

Siostra Apollina, Djana, bogini miesiąca, natchnęła artystów z Efezu.

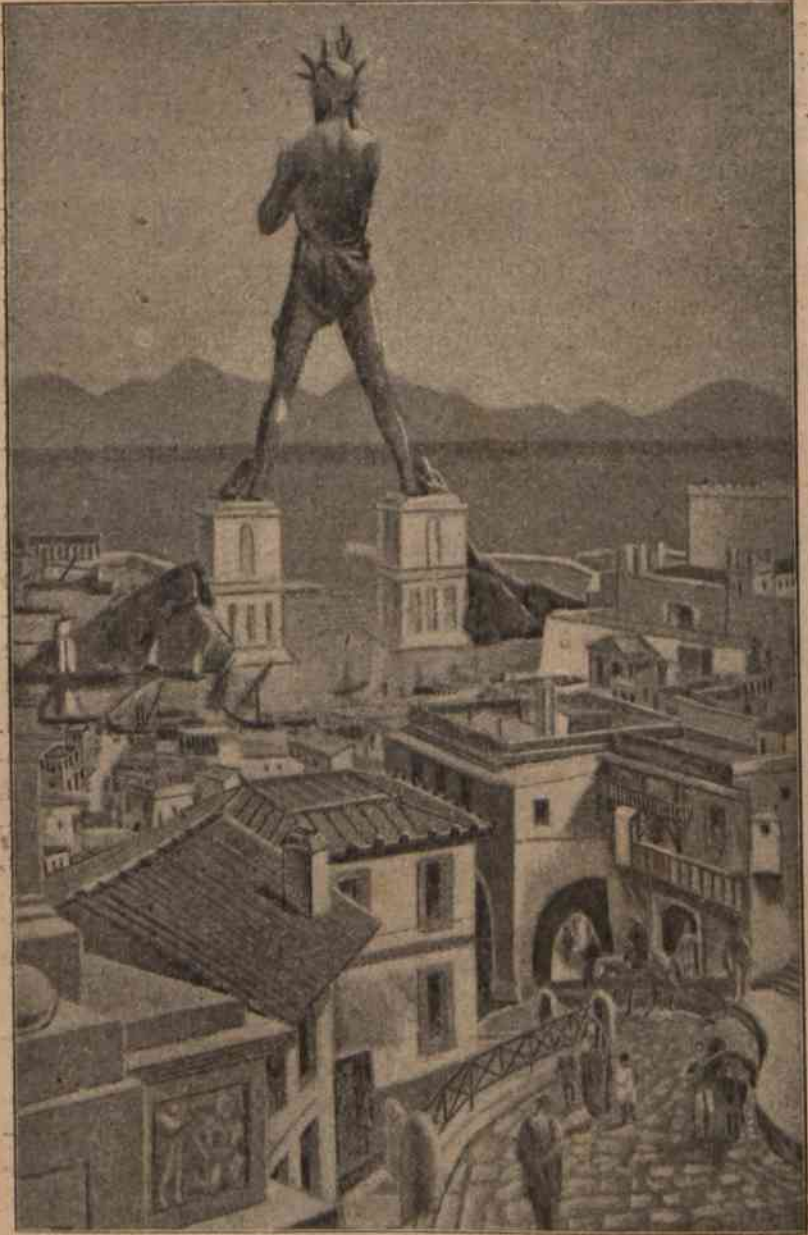
Czerwone skały o kształtach dziwacznych i krętych, to znowu pagórki o ziemi miękkiej, pokryte wyblakłemi drzewami oliwnymi i czarnymi cisami, a schodzące stopniowo do wybrzeża morskiego,—oto jak wyglądała okolica, otaczająca bogate miasto Efez.

Wsamym początku poświęcono je Djanie. Liczny zastęp kapłanów i kapłanek uprawiał tutaj w różnych świątyniach kult bogini bezustannie a wystawnie.

Lecz około roku 620 przed naszą erą, Efezjanie w przekonaniu, że nie dosyć jeszcze uczynili dla okazania wdzięczności swej opiekunce boskiej, uchwalili wznieść jej świątynię, która będzie największą i najpiękniejszą na całym świecie.

Skończono układanie fundamentów, a budowniczowie zastanawiali się, jakiego materiału użyć i jak budować świątynię, gdy nagle wypadek szczęśliwy przyszedł im z pomocą. Młody pastuch, Piksador, widział raz w górach wałkę na rogi między dwoma baranami swojego stada. Raptem jedno ze zwierząt, chybiło przeciwnika, a róg uderzył o skałę, od której urwał odłam. Piksador podniósł ten kawałek skały. Był to marmur wspaniały, wytrzymały jak żelazo, lśniący, jak śnieg w słońcu. Pastuch zostawił stado i przybiegł do Efezu, gdzie pokazał to, co znalazł, urzędnikom państwowym. Oni też kazali zaraz zbadać skały w miejscowości wskazanej. Znalezione tam ogromne łóżysko marmuru świętego. Ztąd więc czerpano cały zapas kamienia, potrzebny do budowy świątyni dla Djany.

Ten cud sztuki greckiej wznosi się na tarasie sztucznym w samym środku miasta. Wchodzi się nań po schodach pomnikowych, przyzdobionych w posągi. Sama świątynia ma 130 metrów długości; szerokość wynosi 66 metrów. Gmach zdobią kolumny w liczbie stu dwudziestu siedmiu, w stylu jońskim. Każda kolumna jest wysoka na 20 metrów. Te sto dwadzieścia siedem kolumn były podarunkiem tyluż książąt i władców sąsiednich, których Efezjanie zmusili do składania hołdu potężnej Djanie. Od podstawy do



*Obie nogi kolosu spoczywały na dwóch wieżach, oddalonych od siebie na 12 metrów.
Największe okręty przepływały swobodnie między jego stopami.*

szczytu świątynia była cała z marmuru białego. Podczas pięknych nocy Azji Mniejszej, księżyc czyli sama Djana, rzucał na tę bryłę białą światło uroczne. I mieszkańcy Efezu szczylic się tem, że żadne miasto nie uczciło w sposób tak wspaniały dobrodziejstw swego bóstwa opiekuńczego.

Przy wejściu do świątyni Djany widniał posąg bogini, Posąg był ze szczerego złota, a legenda opiewała, że spadł z nieba. To tajemnicze pochodzenie kazało narodom czcić go zabobonnie. Pielgrzymki ze stron dalekich przybywały do Efezu na wielkie uroczystości, jakie obchodzono każdego roku na cześć Djany.

Ulice miasta przedstawiały wtedy przez kilka dni widok niezwyklego ożywienia. Wielcy panowie, bogaci kupcy, wieśniacy biedni, wszyscy przybywali, poruszeni jednym uczuciem religijnem i żyli z sobą po bratersku przez kilka godzin w imię potężnej bogini.

Pochody, jakie urządzano po ulicach Efezu podczas tych ceremonji religijnych, należą do najsłynniejszych ceremonji starożytnych, o których wiadomo potomności. Ze wschodem słońca zbierano się u drzwi świątyni. Na czele orszaku mieścili się muzycanci, grając na fletach i cytrach. Za nimi szli wojownicy, uzbrojeni w dzidy i tarcze, kawalerja uszeregowana w porządku, w strojach galowych, pod dowództwem naczelników. Bezpośrednio za wojskiem posuwał się majestatycznie wóz Djany, który ciągnęły woły, muły i psy białe. Z obydwóch stron wozu miejsce zajęli kapłani wszelkiej kategorii, obowiązani służyć bogini. Od czasu do czasu, gdy muzycanci, idący na czele orszaku, grać przestawali, kapłani zaczęli śpiewać hymn do bogini.

Wreszcie pędzone przez ofiarników szły zwierzęta, przeznaczone na ofiarę. Zwierzętami temi były byki o złoconych rogach, jałowice opasane wieńcami z kwiatów i wstęgami. W pewnem oddaleniu kroczyli starcy o siwych brodach, dzierżąc w rękę różdżki oliwne, potem szli ofiarodawcy, którzy darowali przedmioty wyjątkowo drogie; w końcu jeszcze młodzieńcy i dziewczęta z kwiatami i owocami w ręku, a za tym pochodem zbity tłum ludu.

Procesja obeszła najpiękniejsze ulice miasta, poczem wracała do miejsca, z kąd wyszła. Ustawiano z powrotem

na cokóle posąg Djany i wzniecano ogień na ołtarzach, przeznaczonych do palenia ofiar. Ukończywszy obowiązki religijne, pielgrzymi rozchodzili się, powracając do ognisk rodzinnych. Każdy pielgrzym zostawiał kapłanowi znaczną sumę pieniędzy na cele kultu Djany. Dzięki tym ofiarom dobrowolnym, napływającym ze wszech stron obficie, udało się wybudować świątynię Djany. Przez tę bezustanną a szczodłą jałmużnę można też było odpowiednio przyozdobić gmach świątyni, która była tym sposobem dziełem zbiorowem wszystkich Greków.

Można więc sobie łatwo wyobrazić przestרח i trwoгę Efezjan, gdy pewnej nocy wieść się rozeszła, że świątynia Djany stoi w płomieniach. Podły szaleniec, Herostrat, o władnięty żądzą wślawienia się w potemności, obmyślił i dokonał podpalenia najpiękniejszego pomnika Efezu. Mieszkańcy przypatrywali się bezradnie tej klęsce. Lecz następnego roku przystąpili do odbudowy przybytku bogini. Nowa świątynia była również piękna, jak pierwsza. Przez długie czasy jeszcze wabiła do siebie wiernych pielgrzymów. Potem jednak, w III wieku po Chrystusie, barbarzyńscy scytowie dopuścili się powtórnie czynu Herostrata. Podpalili świątynię i zrabowali ją. W następnym wieku monarchowie chrześcijańscy zrównali wreszcie z ziemią ostatki świątyni pogańskiej.

Posąg Jowisza Olimpijskiego.

Szósty cud świata był podobnie, jak dwa poprzednie, hołdem oddanym bóstwu. Tym razem uczczono najstraszliwszego, wszechpotężnego Jowisza. Ten król Olimpu miał w Grecji wielką ilość przybytków boskich, lecz najbardziej uczęszczano do świątyni na Olimpie w Elidzie.

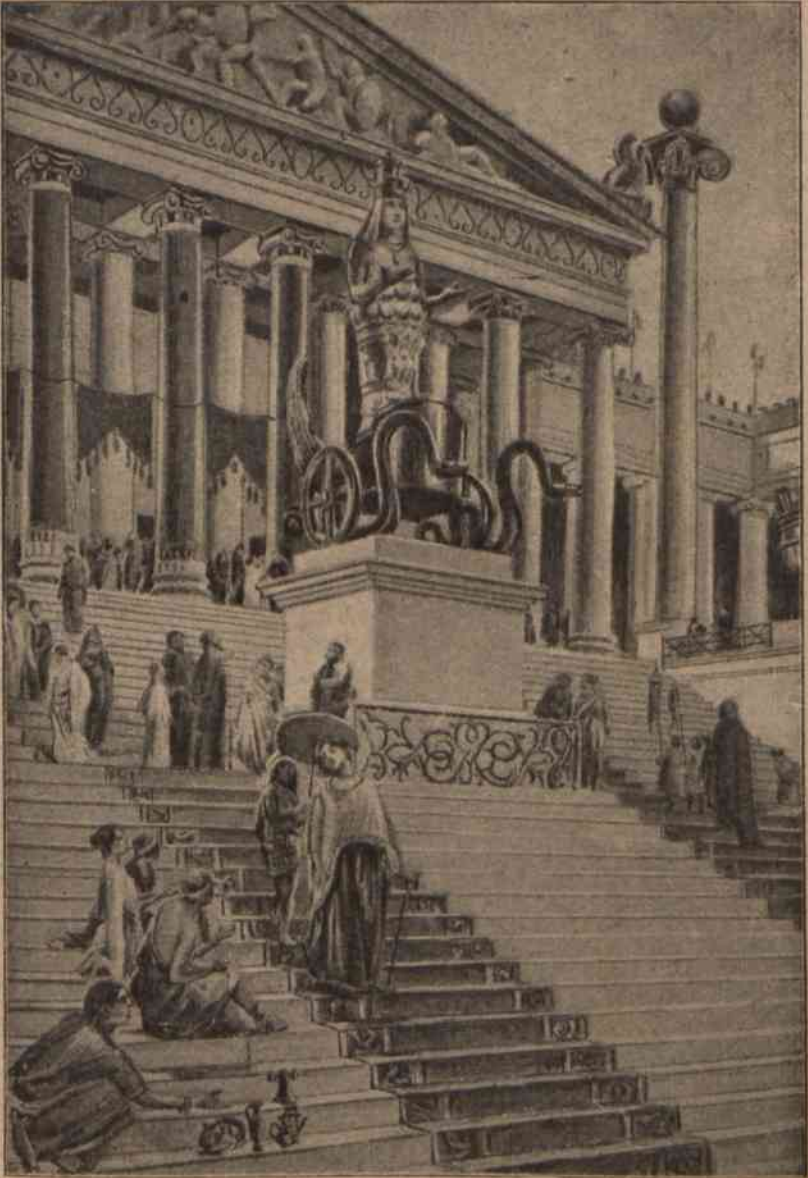
Prowincja ta była niezmiernie ważną dla całej Grecji z powodu odbywających się tutaj co cztery lata igrzysk olimpijskich. O tej głównie porze, podczas letniego przesile-

nia dnia z nocą, najwięcej zbierało się wiernych w świątyni Jowisza, w stolicy Elidzie, głównem mieście prowincji. Ze wszystkich krańców Grecji przybywali pielgrzymi do świętego miasta.

Młodzieńcy, którzy życzyli sobie brać udział w igrzyskach, zbierali się na Olimpie dziesięć miesięcy przed terminem. Wiadomo, jak wysoko Grecja starożytna ceniła wszelkie ćwiczenia cielesne: wyścigi piesze, skakanie, rzucanie pocisków, strzelanie do celu i walkę na pięści. Grecy nie uważali tych „sportów“—jak my to teraz czynimy—za wyłączną tylko rozrywkę, dla zdrowia zbawienną. Te ćwiczenia miały dla Hellenów znaczenie wyższe, rozleglejsze. Igrzyska Olimpijskie były prawdziwemi uroczystościami religijnemi, a młodzi Grecy byli przekonani, że czczą nadzwyczajnie swych bogów, popisując się siłą fizyczną przed wrotami ich przybytków.

Miasto olimpijskie było więc rodzajem stolicy religijnej kraju całego. Siedm gościńców wielkich łączyło Grecję z tem miastem. Gościńce też pod bramami stolicy zamieniały się w prześliczne aleje, usiane świątyniami i grobowcami, strojne w zieloność drzew oliwnych, sosen i gaików laurowych. Wszystkie aleje ciągnęły się do samej świątyni Jowisza. Budowla ta w stylu doryckim, była jednym z najobszerniejszych gmachów starożytnych i miała 64 metry długości a 27 szerokości. Wchodziło się do świątyni po czterech szeregach schodów. Wokoło wszędzie znajdowały się wspaniałe ogrody, w których pełno było rzadkich, wonnych kwiatów. W przeddzień rozpoczęcia igrzysk olimpijskich splatano z tych kwiatów wieńce i girlandy, w które przyozdabiano świątynię.

Pierwszym obowiązkiem zwycięzców na igrzyskach było składanie ofiary uroczystej przed posągiem kolosalnym Jowisza, cudem cudów. Posąg ten bez cokołu mierzył całe 13 metrów wysokości. Przedstawiał boga, siedzącego na tronie, który był arcydziełem stolarstwa i rzeźbiarstwa. Jowisz dzierżył w dłoni prawej wiktorję, znak zwycięstwa. Ręką lewą opierał się o berło, zakończone orłem. Tułów boga był cały z kości słoniowej, ubiór rzeźbiony w złocie. Oblicze otaczały broda gęsta i obfity włos na głowie.



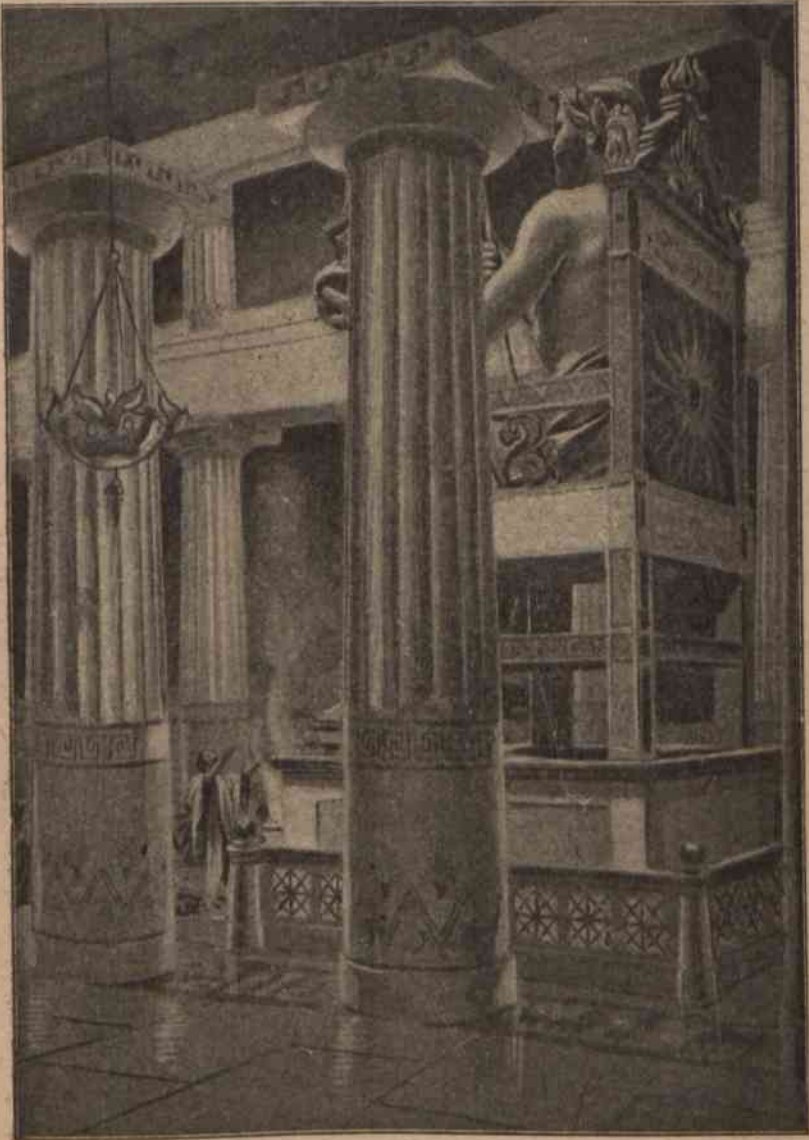
W Efezie, przy wejściu do świątyni, stał posąg Djany.

Pielgrzymi przychodzili doń z daleka na czas uroczystości. Ulica, schody, które prowadziły do przybytku bogini, były wtedy nadzwyczaj ożywione.

Posąg ten wyszedł z pod dłuta Fidjasza. Twierdzono, że ten wizerunek króla bogów, dokonany przez króla rzeźbiarzy, nie miał sobie równego na świecie. Artysta szukał natchnienia w odpowiednich wierszach Homera, gdzie poeta przedstawia Jowisza marszczącego brwi czarne w gniewie i dumnym spojrzeniem obejmującego cały Olimp rozległy. Ale Jowisz, Fidjasza nie był tym Jowiszem, który w zapalczywości ciska grom na grzesznych śmiertelników. Jego Jowisz miał tylko wielkość i majestat. Był to prawdziwy wizerunek króla bogów i ojca ludzi.

Fidjasz, zwyczajem prawdziwych artystów, ukończywszy swą pracę, nie był z niej zupełnie zadowolony. Ukrył się więc za posągiem, zaprosiwszy publiczność do świątyni celem obejrzenia posągu. Mieszkańcy Olimpu oczywiście nie szczędzili uwag krytycznych. Jeden uważał, że nos jest za gruby, inny, że oczy są nazbyt wylupiaste. Fidjasz słuchał cierpliwie tych spostrzeżeń. potem sprawdził, o ile niektóre uwagi były słuszne, i poprawiał ciągle dzieło z całą drobiazgowością. W końcu, gdy dokonał ostatniego uderzenia rylcem, rzucił się na kolana przed swym Jowiszem i, jak opiewa legenda, zmówił taką modlitwę: „Królu bogów, przyjmij łaskawie mą pracę, a jeśli uważasz ją za godną siebie, racz o tem uwiadomić znakiem widomym.“ I oto stało się, podług istniejącego podania, że niebiosa się rozwarły, piorun zagrział, a bóg w dowód zadowolenia wypuścił błyskawicę przez otwarty dach świątyni, na plac przed gmachem. Odtąd wszyscy Grecy podzielili zdanie, głośno objawione przez Jowisza. Starożytni wychwalali też arcydzieło Fidjasza ostatnimi wyrazami czci i hołdu. „Pójdźcie na olimp, woła Epiktet, podziwiajcie wizerunek Jowisza i uważajcie za nieszczęście umrzeć, zanim go zobaczycie.“

Gdy Grecja przeszła pod władzę cesarzów rzymskich, ci obmyślili projekt sprowadzenia tego cudu świata do Rzymu. Kaligula wyznaczył umyślne poselstwo, któremu poruczył odszukanie słynnego posągu na Olimpie. Posłowie mieli zdjąć głowę boga z posągu i uprowadzić ją do Rzymu, na miejscu zaś tej głowy postawić wizerunek cesarza rzymskiego z kości słoniowej. Gdy jednak poselstwo wtargnęło



Posąg Jowisza na Olimpie.

Przeszwany cudem cudów, był dziełem Fidjassz. Kształty posągu były z kości słoniowej, strój ze złota cynelowanego.

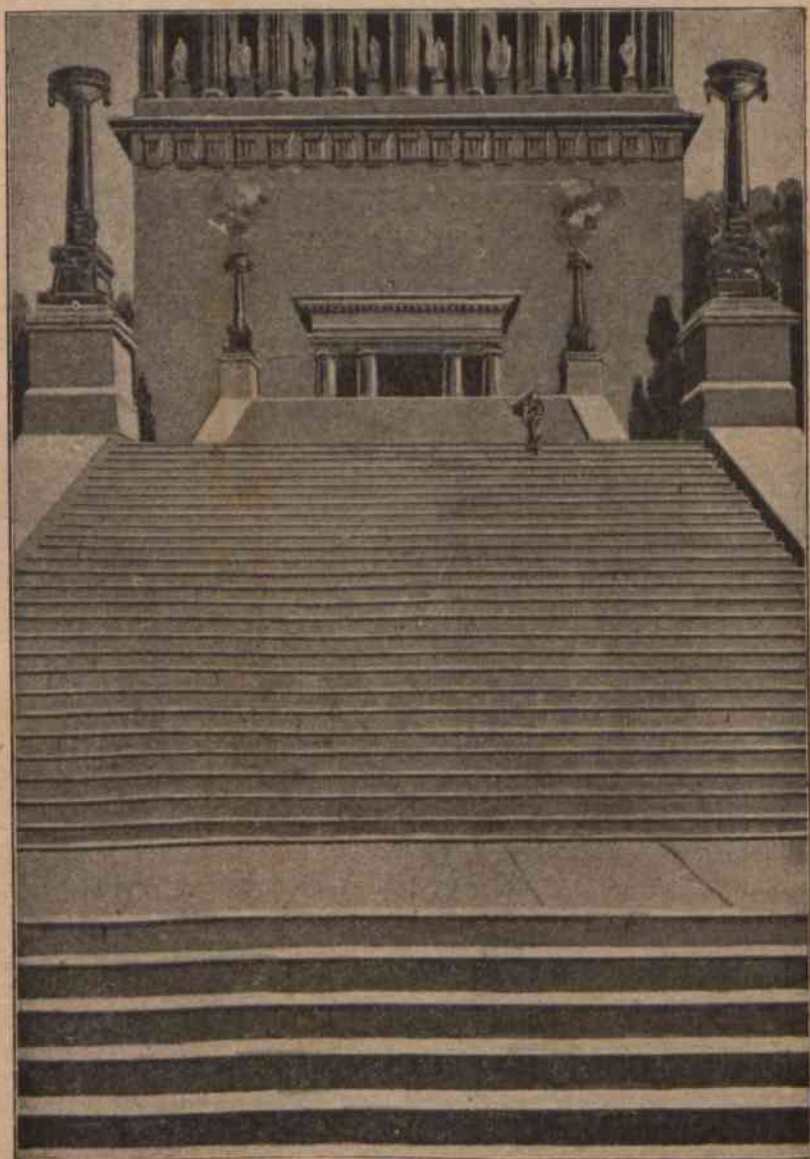
do wnętrza świątyni z głową swego cesarza, to Jowisz, jak mówią, wybuchnął takim śmiechem strasznym, że Rzymianie ułękli go się i czmychnęli. Kalikula zarzucił projekt. Cesarz Teodozjusz był za to mniej bojaźliwy. Kazał przemieścić arcydzieło Fidjasza z Olimpu do Konstantynopola. Nie odnaleziono jednak żadnego śladu po posągu w tem mieście.

Grobowiec króla Mausolusa w Halikarnasie.

Kolos Rodyjski, świątynia Efezu, arcydzieło Fidjasza, stanowiły hołd złożony przez wszystkich mieszkańców potężnym bogom. Budowa Mausoleum nie była wyrazem czci powszechnej ludu, lecz czułym upominkiem kobiety. Ten siódmy i ostatni cud świata ma znaczenie nie pogańskie, lecz ludzkie. Obchodzi on też nas tem bliżej, a pomiędzy „cudami“ ten jeden wywołuje u nas wspomnienie prawdziwego uczucia ludzkości.

W pierwszej połowie IV wieku przed Chrystusem państwo Karja w Azji Mniejszej cieszyło się pomyślnością niesłychaną pod władzą króla Mausolusa i królowej Artemizji. Nadaremnie szukanooby małżeństwa bardziej zgodnego od tej pary królewskiej. Król Mausolus nadewszystko kochał królowę Artemizję; Artemizja całe życie uwielbiała jedynie Mausolusa. Lecz śmierć, która zarówno jest nielitościwa dla biedaków w chałupach, jak dla bogaczy w pałacach, zapukała pewnego wieczoru do drzwi rezydencji w Halikarnasie. I król Mausolus zmarł tejże nocy.

Ponura rozpacz Artemizji nie miała granic, mimo to pamiętała o wszystkich szczegółach pogrzebu męża. W starożytności mniemano, że dusza nieboszczyka jest szczęśliwa, gdy się odprawia najpiękniejszą ceremonję żałobną. Artemizja więc starała się czynić wszystko dla szczęśliwości pośmiertnej Mausolusa.



Grobowiec króla Mausolusa w Halikarnasie.

Królowa Artemisja, przybita bólem i żalem, wychodziła z pałacu tylko wtedy, gdy odwiedzała grób męża; nosiła zawsze długie suknie żałobne.

Postanowiła także wznieść mu pomnik, który świadczyć będzie przez wieki potomne o wierności niepokieszonej wdowy. Nad przystanią morską, na wielkim placu w Halikarnazie, na tem samym miejscu, gdzie spalono ciało Mausolusa, Artemizja kazała wybudować grobowiec okazały, Mausoleum. Halikarnas był wielkiem miastem, posiadał liczne świątynie i pałace. Ale żaden z tych budynków nie mógł współzawodniczyć ze wspaniałością Mausoleum. Wola królowej okazała się potężniejszą, niż uczucie wiary u całego ludu.

Zgnębiona bólem i żalem, Artemizja wychodziła z pałacu tylko wtedy, gdy szła obejrzeć postępy robót koło Mausoleum, Poddani widząc ją w długim stroju żalobnym, współczuli z nią szczerze i serdecznie.

Artemizja tymczasem, oglądając budowlę ze łzami w oczach, rozmyślała niespokojnie, czy będzie żyła tak długo, aż ukończą grobowiec. Kazała więc pomnożyć zastęp mularzy, dodała pomocników rzeźbiarzom i malarzom. Praca koło mausoleum szła z gorączkową szybkością. Wreszcie wykończono budynek. Był to gmach czworoboczny, naśladowujący kształty świątyni. Część wewnętrzna budynku miała 30 metrów wysokości, każdy bok mierzył 33 metry. Między kolumnami znajdowało się trzydzieści sześć posągów, przedstawiających na przemian bohatera i lwa. Nad grobowcem wznosiła się piramida, zakończona u góry kwadrygą marmurową. Na wozie kwadrygi umieszczono stojące dwa posągi o 3 metrach wysokości, przedstawiające Mausolusa i Artemizję. Całkowita wysokość pomnika sięgała przeszło 43 metrów.

Słuszna дума ogarnęła Artemizję, gdy widziała ukończone dzieło. Ale ponieważ jedyną rzeczą, która utrzymywała królowę przy życiu, była chęć ujrzenia Mausoleum, przeto, z chwilą jego ukończenia, urwała się też nić, łącząca wdowę ze światem żywych. Artemizja zmarła, przekazując swej stolicy jeden z najwznioślejszych cudów sztuki greckiej, a potomności — wspaniały przykład przywiązania małżeńskiego.

Odbywszy przegląd wszystkich poszczególnych cudów świata starożytnego, możemy jeszcze słów parę poświęcić ogólnemu wrażeniu, jakie wywierają na umysł współczesny wspomnienia o tych cudach. Wiktor Hugo, znakomity poeta francuski, poświęcił im cały poemat. Jeden z rozdziałów *Legendy wieków* nosi właśnie tytuł *Siedm cudów świata*. Jest to utwór o szerszym zakresie, prawdziwy poemat epicki. Poeta opiewa widzenie nocne, w którym kolejno ukazywało się siedm pomników myśli ludzkiej. Każdy z nich przemawia, wystawia swą chwałę i spodziewa się trwać wiekuiście.

Piramida wznosi się wysoka i ponura, wśród skłębionych obłoków, od których otrzymuje zasłonę mglistą. I odzywa się: Jestem wiecznością.

Ogrody Semiramidy wychwalają swe krzaki gęste, obladowane kwiatami czerwonymi i białymi.

Aleksandryjska Latarnia morska jest pomnikiem, który wykonano z jaspisu, marmuru i żelaza; służy ona w nocach burzliwych za zastępczynię gwiazd nieobecnych.

Kolos Rodyjski, jako „warta, co się nigdy nie zmienia“, pilnuje miasta przed morzem, które jęczy pod jego stopami, w huraganie, któremu śmiało stawia czoło.

Świątynia Efezu chełpi się, że jest „Prawdą, wykutą w marmurze białym“.

Jowisz Tidjasza szczydzi się tem, iż przedstawia oblicze władcy ludzi i bogów.

Mausoleum jest pałacem — grobowcem, pomnikiem wiekuiściej żaloby; mówi ono:

„Wieki dumne, tryumfujące, upływając ciągle, widzą wielką wdowę, siedzącą na mym progu, jak widmo święte a dobre. Oczekuje ona chwili, gdy połączy się z mężem. Zdobi swe czoło w liście i kwiaty i oblewa wonnościami, by się podobać małżonkowi. Przed sobą ma lustro, do którego nie uśmiecha się nigdy. I kładzie pierścienie na palce, a pod zasłoną czesze włos długie.“

I każdy z siedmiu cudów wierzy, że długie istnienie nie przyczyni mu uszczerbku. Żaden się nie boi niszczącego zęba czasu. Każdy tryumfuje przez wieki. A gdy owe cuda zachwycają się tak swą wspaniałością, wyrażając swą

dumę w obrazach świętych, nagle rozlega się głos ponury robaka, toczonego ciała w grobie. Czatuując na to wszystko w cieniu, drwi z tego przepychu i z tej dumy, z jakimi widma cudów wznoszą się coraz wyżej, sięgając ostatnich szczytów. Albowiem robak wie doskonale, że w końcu on wszystko stoczy, całą tę wielkość nadzwyczajną.

„Ruina czeka wszystko, co się wznosi. Budując pałace wymarzone, stawiając szczyty z twardego cementu, dostarczacie mnie tylko stos pożywienia, trochę za wysoki. A im więcej zdobiecie go w upiększenia architektoniczne, tem przykrzejszy jest jego upadek.“

Zestawienie poety jest rzeczywiście wzruszające. Można wszakże sądzić, że myśl to więcej genialna, niż słuszna. Nawet bowiem te pomniki, po których niema obecnie śladu na miejscu, gdzie stały w starożytności,—nie zaginęły całkowicie. Żyją one w pamięci, jaką po sobie zostawiły, we wzruszeniach, jakie wywołują w umyśle ludzkim.

Dzieje się to samo ze wszystkimi utworami wzniosłymi myśli ludzkiej. Wyrzują one zawsze ślad promienisty, zanim znikną. Świecą stale na niebie sztuki, gdzie choć raz jeden zapłonęły światłem ideału.

Ze świata kobiecego.

Pogadanka o modach.

Jeszcze w kwietniowym zeszycie „Miesięcznika“ podałam moim czytelniczkom do wyboru pięć typów sukien: 1) Paryżanka. 2) Kostjum angielski. 3) Kostjum neutralny. 4) Reforma i wreszcie 5) Styl nowy, trochę fantastyczny. Jakkolwiek już zaraz w maju zaczęły napływać orzeczenia, czekałam jednak — aż zbierze się większa liczba głosów, aby uwiadomić resztę czytelniczek o wyborze dam, biorących udział w głosowaniu. Rezultat ucieszył mnie bardzo, świadcząc, że w moich pogadankach natrafiłam na nutę właściwą, że przemawiam w myśl upodobań moich czytelniczek. Zśród stosu otrzymanych listów, biorę jeden:

Abonentka z gub. wileńskiej pisze do mnie w te słowa: „Rada jestem, że pytaniem do nas wprost zwróconem, dała mi pani sposobność wyrazić to, co myślę o jej „Pogadankach“. Trzymałam kolejno żurnale warszawskie, ale nie znajdowałam w nich tego, co mi trzeba. My, na wsi, nie potrzebujemy i zresztą nie możemy stosować się niewolniczo do mody. Co nam po tych wszystkich falbankach, ruskach, po opisach: co noszą w Paryżu lub w Warszawie? Nam potrzeba wskazówek ogólnych, rad praktycznych, wypróbowanych, jakby komentarzy do każdego fasonu, a to właśnie znajdujemy w „Pogadankach“. Dobrze pani robi, odwołując się do zbytku, bo „Miesięcznik“ czytany jest i pod ubogą strzechą, a tam niekiedy bywają aspiracje toaletowe, przewyższające środki materialne. Poprę te słowa przykła-

dem. Żona mojego rządcy, osoba, wychowana w jednym z większych miast, dość inteligentna, ale próżna, miała tę śmieszność, że zawsze chciała się „wyczupurzyć“ wedle najostatniejszej mody. Jej suknie były za jasne, za strojne, razily pretensjonalnością. Pragnęłam zwrócić na to jej uwagę, ale jak się wziąć do tego? Sprawa była drażliwa. Przyszedł mi z pomocą „Miesięcznik“. Mówiąc z nią o modach, radziłam jej przeczytać jedną, drugą pogadankę, dodając, że są w nich ciekawe rzeczy, że między innymi widać z tych wskazówek, iż prawdziwe „elegantki“ wcale się nie stroją, tylko ubierają się gustownie i starannie. Ten argument przemówił do przekonania pani rządczyni. Bardzo pilnie czytuje „Pogadanki“ a znajdując w każdej zachętę do oszczędności, przestaje „ładować“ swoje suknie niepotrzebnymi ozdobami. A dobrze na tem wychodzi: ładniej wygląda i na śmieszność się nie naraża. Powiadam pani, inna osoba. Mąż uszczęśliwiony. Gdyby jeszcze ją oduczyć od pozowania na dystynkcję, byłaby zupełnie na swoim miejscu. Ale to już nie wchodzi w zakres działalności pani. Rozpisałam się może za długo, ale sądzę, że pani chętnie się dowie o skutkach swojej pracy. Na zakończenie i na dowód, jak moja znajoma zmieniła pogląd na toaletę, przesyłam głos jej: wotuje ona za kostjumem neutralnym (przed rokiem z pewnością obrałaby „Styl nowy“). Ja zaś oświadczam się stanowczo za strojem angielskim, jako praktycznym, nieopatrującym się i tanim.“

Bóg mi świadkiem, że przytoczyłam ten list nie dla chwalby, pragnę poprostu, aby niejedna pani rządczyni, ofcjalistka, „urzędniczka“, dowiedziała się z niego, co myślą o jej „czupurzeniu“ i jej falbankach osoby rozsądne i z prawdziwie dobrym gustem; aby zastanowiła się, że naraża męża na koszt po to tylko, aby się wydać... śmieszna...

Lecz w listach znajduję nietylko słowa uznania dla moich dobrych chęci. Jest i ziarno goryczy. Ha! trudno, aby przekonać czytelniczki, że chwalić się nie chce, przepisuję dosłownie tę filipikę.

„Dobra sobie pani ze swojemi ciągłemi morałami: „to ładne, ale za drogie, tamto efektowne, ale się opatruje“. Co pani do mojej kieszeni? Czy ja panią proszę o rady? Radę, to każdy dać potrafi, ale nikt jej słuchać nie chce. W dodatku, nieszczęście mieć chciało, że jedna taka pogadanka wpadła do rąk mojego męża; czytał, kiwał głową, a potem mówi: „Ot, patrz, nawet w książkach piszą, że „ostatnia moda“ głupstwo, że to dobre dla wielkich pań, a żony ludzi ubogich powinny zaglądać naprzód do kieszeni mężów,



Suknia z frakiem.

Toaleta z woalu.

a potem dopiero do żurnalów. Zawsze ci to mówię, ale czy ty kiedy posłuchasz?”

„Mój mąż zawsze był skąpy, ale od tego czasu jeszcze trudniej wyciągnąć z niego pieniądze na suknie: zaraz mi rzuca w oczy te pogadanki. Życzę pani, żeby własny jej mąż skąpił na wszystko, nietylko na toaletę. Jak będę w Warszawie, muszę panią zobaczyć, bo moja przyjaciółka Lodia, powiada, że pani musi być brzydka i stara, i dlatego drugim pani zazdrości ładnego wyglądu i radzi ubierać się skromnie. Ciekawa rzecz, czy i pani sama taka oszczędna? Ja tam zawsze mówiłam, że nie ma nic gorszego, jak kobieta, która pisuje do gazet. Od czasu tych pogadanek, to nawet prosiłam panny Anzelmy, nauczycielki mojej Malwinki, żeby nie zadawała jej ćwiczeń. Nie chcę z niej robić



Toaleta z woalu
(plecy).



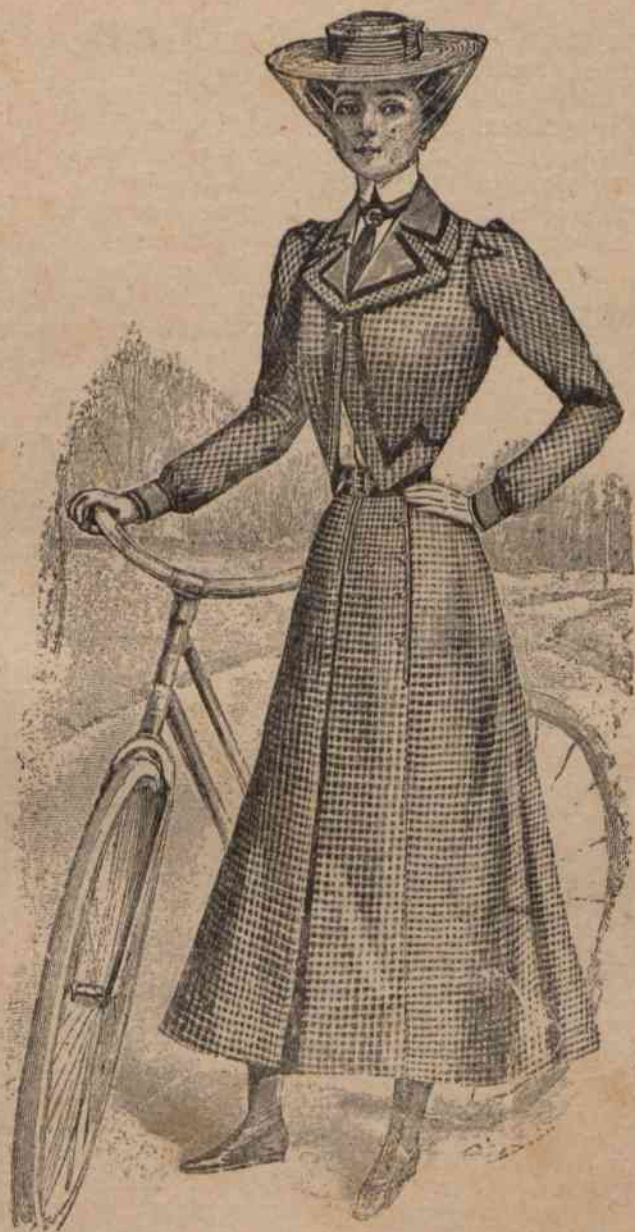
Suknia płóciana
(plecy).



Kostjum do roweru
(plecy).

literatki. Jeszczeby, tak jak pani, zasiewała niezgodę między porządnym małżeństwem, które ze sobą nieźle przez piętnaście lat żyło. No, no, zobaczę jak pani wygląda, a jeżeli pani naprawdę brzydka, to powiem Mateuszkowi, w czym jest sekret tych moralów.”

Kto ma rację: pierwsza, czy druga korespondentka — nie moją rzeczą sądzić. *Relata refero*, co znaczy, mówiąc po polsku: powtarzam, a mam nadzieję, że czytelniczki oświadczą się za pierwszym z dwu zdań. Tymczasem przytoczę im rezultat głosowania. Otóż za kostjumem angielskim oświadczyło się najwięcej pań, bo aż 120, za neutralnym —



Kostjum do roweru.

82, za Paryżanką—60, za Stylem Nowym—53, za Reformą — tylko 6 głosów, zatem rozsądek góra.

Ale czas już przystąpić do „przedmiotu“ i zająć się ostatnimi wynikami mody. Trudno byłoby śledzić jej przejawy we wszystkich szczegółach, zresztą zostawia ona dużo w tym względzie pomysłowości osobistej.

Każdą toaletę, stosownie do własnego gustu, można ozdobić lub oszpecić dodatkami zewnętrznymi, jako to: żabotem, krawatem, broszką itp. lub niewidzialnemi, a jednak widocznymi, jak gorset, spodniczka. Otóż w pierwszym zakresie wprowadzono ładną nowość: dokoła szyi rjuse bardzo sute, w rodzaju fryzy, zakończonej długimi aksamitkami, pluszowemi sznurami lub wstążkami. Rjuse robią się z tiulu białego, czarnego albo białego z czarnym. Każda twarz dobrze wygląda w takiej ramce lekkiej, puszystej, nawet starsze osoby mogą z tej mody korzystać, byle czarny ton przeważał. Takie fryzy nieodpowiednie są tylko dla pań o bardzo krótkiej szyi i podniesionych ramionach. Będą one mogły powetować to sobie, albowiem równie modnemi są kołnierze marynarskie, wykładane do staników zlekką otwartych. Bluzki noszą się z białymi stojącymi kołnierzykami, do tego wążki krawat batystowy, biały lub kolorowy w paski; wiąże go się na kokardkę.

Przy kostjumie angielskim, całą ozdobę stanowią guziki, coraz ładniejsze, prawdziwie artystyczne; fantazja wysiła się też na paski; widzimy taśmy kauczukowe, srebrzyste, naśladowujące skórę, łuskę rybią itp., do tego klamry oksydowane, srebrzone, złoczone. Jednak zaznaczam z radością, że powodzenie złota już blaknie; wychodzą z mody taśmy, galony, spiczaste *pendenty*. Było to jaskrawe i niepraktyczne: szych prędko czerniał, a złocenia są bardzo drogie. Rozsądek pań musiał przeciwdziałać takiemu fałszywemu zbytkowi.

Mówiąc o paskach, dla wiadomości naszych cyklistek dodam, że spodniczki, używane do rowerów, uległy pożądanej zmianie: wszywają się w pasek wysoki z ząbkiem, z przodu i z tyłu, co czyni je podobnemi do spodnic gorsetowych, o których już wspominałam. Jest to zastosowanie nader praktyczne, albowiem przy szybkiej jeździe pasek skórzany może się łatwo przekrzywić, zanadto podnieść lub opuścić, bluzka wysuwa się, marszczy, słowem toaletka wygląda nieporządnie. Pasek jednolity z suknią usuwa te niedogodności. Należy w kostjumach sportowych unikać kolorów jaskrawych, a nawet jasnych, obierając przytem formy gładkie, skromne. Cyklistka w sukni niebieskiej, różowej, sza-

frowej, bordo, w żabocie, w kapeluszu z odwiniętem rondem lub ze strusimi piórami, wygląda wprost śmiesznie. Najodpowiedniejsze są kostjmy gładkie, popielate i szare lub też białe z czarnem w drobniutką kratkę. Spódnica zawsze nie



Suknia płócienna z aplikacjami kretonu.

dłuższa jak do kostki, fałdzista, do tego bluzka lub też kamizelka z figarem, jak na załączonej rycinie.

Jako materiał zaleca się wełna z pominięciem kretonów,

batystów, jedwabiów. Chcemy brać udział w rozrywkach męzkich, naśladowmyż prostotę męzkich strojów!

Wspominałam już, że „niewidzialne“ dodatki toaletowe odgrywają wielką rolę. Istotnie przy materiałach przezroczystych i lekkich, używanych w obecnym sezonie, spódniczki winny być zastosowane do wierzchu i podtrzymywać go; inaczej toaleta wygląda niedbale, jakby zmięta. Do sukien pikowych, kretonowych, muślinowych używane są spódniczki z perkalu, obcisłe u góry, coraz szersze ku dołowi i obszyte kilku mocno namarszczonemi i wyrurkowanemi falbankami. Jestto kosztownem w mieście, bo wymaga częstego prania, można więc urządzić się praktyczniej: do spódniczki z białej mory, wełnianej, albo z jasnego kanausu przypinać duży półbatystowy wolant. Trzy takie wolanty na zmianę wystarczą na całe lato, a spodnica jedwabna lub morowa zawsze się przyda. Na gorsety pod suknie przezroczyste noszone są staniczki batystowe w kolorze białym, kremowym lub zastosowanym do podszycia sukni. Toaleta z przezroczystej tkaniny wygląda lepiej i lepiej się nosi na tle kolorowem, byle odpowiednio do deseni: a więc biała z czarnem na spodzie czarnym, biała z żółtem — na żółtym, biała gładka na kremowym lub *cerise*.

Natomiast pojawiają się coraz częściej białe pończochy i już nikogo nie rażą. Wogóle pończoszka bywa stosowana do trzewików, a te noszone są w najrozmaitszych kolorach, ulubionemi są: białe, popielate, *beige*, żółte już wyszły z mody. Próbowano też stosować rękawiczki do toalety, ale próba nie przyjęła się; skórki białe, popielate, brązowe, *souris* nie ustąpiły miejsca fioletowym, zielonym itp.

Natomiast rękawiczki jedwabne i bawełniane noszą się w rozmaitych kolorach. Uczesania coraz niższe, spuszczaają się misternym węzłem na szyję. Do takiej fryzury trzeba włosów obfitych, kto ich nie ma, zaopatruje się u fryzjerów, skutkiem czego włosy sztuczne bardzo podrożały. Mam nadzieję, że ta wiadomość nie obejdzie moich czytelniczek.

E. Żmijewska.

ROZMAITOŚCI.

Żywe światło. Podróżnicy często w krajach podzwrotnikowych zachwycają się czarującym widokiem świeżącego się morza. „Gdy okręt przecina wodę, pozostawiając za sobą pienisty szlak—mówi Humboldt, — nie można napatrzeć się dość na niezwykle widok. Gdy fale uderzają o okręt, w górę bryzgają niebieskawe i zielonawe iskry... Niezwykle uroczy widok przedstawiają del-finy, igrające wśród ciemnej nocy w morzu podzwrotnikowem i pozostawiające za sobą błyszczącą drogę.“

Inny podróżnik, Forster, pisze: „Gdy okręt, jak olbrzymi pług, przecina ciemną powierzchnię morza, woda błyszczy miljonami iskier u steru i z boku okrętu, po za nim zaś pozostaje szeroki pas płomienny. Byłem świadkiem wspaniałego widoku pewnej nocy lutowej na wybrzeżu Morza Czerwonego, gdy morze było bardzo niespokojne. Mieszkanie moje znajdowało się nad samym brzegiem i za każdym uderzeniem fal, silny blask uderzał w okna domku, tak że wyraźnie odróżnić mogłem wszystkie przedmioty.“

Te ciekawe zjawiska fosforensceji morza, znane już, jak się zdaje, ludom starożytnym, zaocekwiały uczonych wszystkich krajów. Robiono rozmaite przypuszczenia: za przyczynę uważano zjawiska chemiczne lub fizyczne, jak np. elektryczność powstała wskutek tarcia okrętu o wodę, lub nasycenie światłem górnych warstw wody i następnie odbijanie; niektórzy tłumaczyli zjawisko wybuchem pęcherzyków gazu, inni—obecnością fosforu w wodzie morskiej. Gdy jednak okazało się, że woda, już filtrowana, światła nie wydziela, teorie te upadły.

Za czasów Humboldta większość przyrodników skłaniała się do przypuszczenia, że światło wody morskiej pochodzi od obec-

ności świecącej materji organicznej. I rzeczywiście, odkrywano coraz więcej zwierząt morskich, wydających światło, a należących do rozmaitych klas królestwa wodnego. Były to i wymoczki, i meduzy, i polipy, i moluski. Niektóre mniejsze od łebka szpilki, inne jak meduza *Cyanea*, mają 7 stóp w przecięciu, a z mieczami do 100 stóp.

Na zasadzie spostrzeżenia, że zjawisko świetlane ukazuje się tylko w obecności tlenu, a niknie w gazach duszących, oraz że wzrasta przy umiarkowanym podwyższeniu temperatury, słabnie przy znaczniejszem, ginie zaś przy bardzo niskiej lub przy wrzeniu, Pflüger wywnioskował, że zjawisko to powstaje wskutek utleniania się, czyli procesu palenia; ale są jednak wypadki, że przyczyną jest obecność na ciele zwierząt mikroskopijnych żyłatek świecących. Dlatego też zjawisko niknie wskutek zagotowania wody, która zabija takie organizmy.

Hypotezę tę potwierdziły odkrycia fizjologa francuskiego Dubois, któremu udało się wyhodować mikroby świecące, zwane fotobakterjami. Mikroby te, wyhodowane sztucznie, wydają tak silne światło, że bardzo łatwo zrobić z nich żywą lampę, przy świetle której można czytać z łatwością. Lampa taka składa się z szklanego słoja, opatrzonego dwoma otworami dla dostępu powietrza, a na dnie którego kładzie się żelatynę, nasyconą mikrobami świecącymi.

„Żywe światło“, otrzymane od fotobakterji, różni się bardzo od światła słonecznego i elektrycznego tem, że zawiera bardzo mało promieni chemicznych, nie posiada zaś, lub też posiada bardzo małą ilość promieni cieplikowych. Jest to więc zupełnie „zimne“ światło, które świeci, lecz nie grzeje.

— Ilość spożywanego chleba przy pracy umysłowej. Na zasadzie danych, dostarczonych przez intendentów niektórych zakładów naukowych, uczony francuski Binet dowodzi, że miesięczna konsumpcja chleba w zakładach naukowych zmniejsza się stopniowo od października do lipca, zwłaszcza w czasie egzaminów, w maju i czerwcu. To znaczy, że praca umysłowa, w przeciwieństwie do fizycznej, wpływa na zmniejszenie apetytu.

Tenże autor stwierdza inną także przyczynę zmniejszenia konsumpcji chleba, mianowicie — temperaturę powietrza. Podług sprawozdania firmy paryskiej, *Bon-Marché*, która ma na swym stole 5,000 pracujących, dzienna konsumpcja chleba na osobę wynosi 450 gramów w zimie, a tylko 325 w lecie.

Zadania do nagrody.

Za rozwiązanie poniżej podanych trzech zadań, przeznaczamy

9 nagród

w książkach, do wyboru, dla prenumeratorów „Miesięcznika”, po

3 nagrody

na każde zadanie.

Upraszamy pp. rozwiązujących o adresowanie do Redakcji „Miesięcznika Kurjera Polskiego” z dopiskiem na kopercie „Rozwiązanie”, a nadto o podawanie każdego z rozwiązań na osobnej stronie lub kartce, ułatwia to bowiem znacznie i przyspiesza ocenę.

Upraszamy również o podawanie, wraz z rozwiązaniem, tytułu żądanej nagrody oraz swego adresu; takie tylko korespondencje będą uwzględniane w konkursach.

Tytuły dzieł, przeznaczonych na nagrody:

- Asnyk Adam. — Wybór poezyj.
 Dawid J. W. Ł. — Nauka o rzeczach.
 Jokaj M. — Poruszmy z posad ziemię (4 tomy).
 Konopnicka M. — Nowele (z ilustr.).
 Lenartowicz. — Wybór poezyj.
 Łoziński. — Zakłęty dwór (2 tomy).
 Prus Bolesław. — Placówka.
 Sienkiewicz Henryk. — Nowele (z ilustr.).
 Szymański Adam. — Dwie modlitwy (z ilustr.).

Z E R O.

Na rysunku naszym mamy 36 zer, ułożonych w kwadrat. Jak wykreślić należy 6 zer, aby w każdej kolumnie w linii poziomej i pionowej otrzymać liczbę pozostałych zer parzystą?

0	0	0	0	0	0
0	0	0	0	0	0
0	0	0	0	0	0
0	0	0	0	0	0
0	0	0	0	0	0
0	0	0	0	0	0

Zgubiona sakiewka.

Ktoś, zgubivszy sakiewkę, nie wie dokładnie, jaką sumę zawierała. Pamięta jednak, że miał w niej tylko monety rublowe, że liczba ich nie dosięgała stu i że licząc je po 2, po 3, lub po

5,—otrzymywał jedną monetę w reszcie. Gdy je liczył po 7, nie zostawała mu ani jedna moneta. W jaki sposób właściciel saskiewki dokładnie obliczyć może sumę pieniędzy, którą utracił?

[P S Y .

Poniżej zamieszczony rysunek wyobraża dwa psy martwe. Czterema linjami, odpowiednio nakreślonymi, zmienić je w dwa psy biegnące.



Aby rozwiązać niniejsze zadanie, należy rysunek ten przerysować, lub przekalkować na bibułce i oznaczyć linje punktami.

P Y T A N I A .

I.

Który z poetów w tak dosadnych wyrazach gromi karcia-
rzy i nałóg karcioarstwa?

Kto się nad tajnikami ludzkich sero zacieka,
Niechaj się na tych graczów popatrzy zdaleka:
Tutaj przy jednym stole, o! hańbo bez miary,
Nieraz dwóch młodych synów i ojciec ich stary,
Zmięszani z rozbestwioną zapaleńców zgrają,
Bez rumieńca na czole, obok siebie grają.
Ten stracił już majątek—pożyczką się łąta,

Ztąd wyrwał kilka złotych, a ztamtąd dukata,
 I, kosztem poniżenia jałmużnę zebraną,
 Przynosi w drżącej dłoni na pastwę karcianą.
 Tamten znów został sknerą, choć dawniej żył w zbytku,
 Ujmuje własnej gębie strawy i napitku,
 Skąpi obuwia dzieciom, albo sukni żonie,
 By zaoszczędzić grosza, — który sztos pochłonie.
 Inny, szatańską siłą nad przepaść zagnany,
 Naruszył cudzy fundusz w depozyt mu dany;
 Niepomny kary Bożej, ni ludzkiej pogardy,
 Wypuszcza szeląg wdowi na banków hazardy.
 Ten odmówił stu złotych krewnemu, co w nędzy,
 Skarżąc się na złe czasy i na brak pieniędzy,
 A z pełnym workiem zasiadł wśród graczy kamratów,
 I w partji preferansa przegrał sto dukatów....

II.

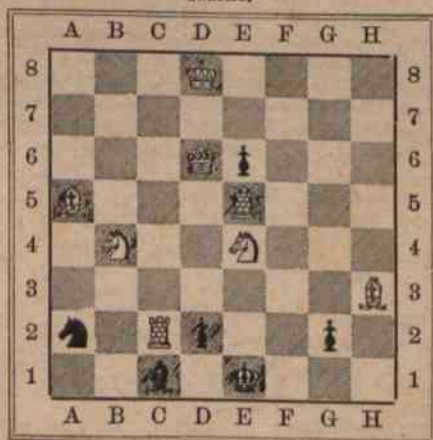
Jakie między pesymistami i optymistami — zachodzą różnice zasadnicze w poglądzie na świat i życie?

III.

W jaki sposób dowcipna Fryne dowiedziała się od Praksytelesa, którą z prac swoich za najlepszą uważa ten genialny rzeźbiarz?

SZACHY.

J. Taylor.
 Czarne.



Białe.

Białe zaczynają i dają mata za drugim posunięciem.

Rozwiązania.

Uwaga. Trzy nagrody, przeznaczone za najlepsze rozwiązania zadań, przyznawane są trzem prenumeratom, *po jednej dla każdego* z trzech nagrodzonych.

Z a k ł a d.

Dowcipny gość, który założył się, że podzieli między siebie i dwóch towarzyszków 7 pełnych, 7 napełnionych do połowy i 7 pustych butelek, nie przelewając wina z jednej butelki do drugiej i nie krzywdząc żadnego z nich przy podziale,—postąpił tak:

Jednemu dał 3 pełne butelki, 1 półpełną i 3 puste.

Drugiemu też samo: 3 pełne, 1 półpełną i 3 puste.

Trzeciemu—1 pełną, 5 półpełnych i 1 pustą.

Mógł on podzielić wino i w następujący sposób:

Jednemu dać 2 pełne, 3 półpełne i 2 puste.

Drugiemu też samo.

Trzeciemu—3 pełne, 1 półpełną i 4 puste.

Rozwiązania nagrodzone pp.: Aleksander Maresch z Falentyna, A. Ostrowski z Kotelni, Jan Uhle z Zawiercia. Inne dobre rozwiązania nadesłali pp.: L. Biłek z Lubiaszowa, Adam Bahr z Antonin, E. Błotnicki z Lipna, Flor. Bartoszewski z Pińczowa, Piotr Bejnar z Chełma, L. Brzozowski z Briańska, F. Cieslikowski z Ujazdu, F. Cygankiewicz ze Strzemieszyc, Adam Dominiak z Częstochowy, Stefan Duja z Warszawy, B. Frencler z Płocka, Józef Godlewski z Lubar, M. Gładyszewski z Radomia, Stanisław Garztecki z Częstochowy, Zofja Gintylto z Ranienburga, W. Hirner z Węgrowa, Rajmund Iworowski z Radomia, Jan Jaworowski z Dobrzyniewa, Kopczyński z Białostoków. A. Krzyżanowski z Płocka, S. Komorowski z Surytyszek Mieczysław Michałowski z Rakiszek, Maksymilian Mizgajski z Hłężny, S. Maron z Opatówka, Niepokojczycka z Winnicy, Fr. Nowicki ze Stepania, Kazimierz Nieszokoć z Kowna, Kaz. Roszak z Łodzi, Wincenty Rymaszewski z Rostowa, A. Siwodied z Wiślicy, Marja Sudnik z Moskalówki, Julja Tykocinerówna z Włocławka, W. Wudawski z Brodowa, R. Zaurzewski z Daszawa, Zaborowski z Antonin, Zdankiewicz ze Szpanowa, A. Żeligowska z Żyto mierz.

S i ł y.

1. Góra. — Żelazo przenika górę.
2. Żelazo. — Ogień je zmiękoza.
3. Ogień. — Woda go gasi.
4. Woda. — Chmura ją wypija.
5. Chmura. — Wiatr ją niesie.

Przypowieść arabska.

Pewien derwisz posiadał mysz, do której tak się przywiązał,

że prosił Allaha, by dał jej postać ludzką. Allah skłonił się do prośby wiernego derwisza i zamienił mysz w dziewczeczkę.

Gdy dziewczę doszło do lat, kiedy należało wydać ją za mąż, derwisz zapytał, kogo ona chce za męża.

— Pragnę najsilniejszego — odparła.

Derwisz odrzekł, że nie zna nic silniejszego, niż słońce. Poszedł do słońca i powiedział mu o życzeniu dziewczęcia.

— Chmura silniejszą jest odemnie — rzekło słońce, ona gasi moje promienie i chłodzi me ciepło.

Poszedł derwisz do chmury i prosi, by była mężem dziewczyny.

— Wiatr silniejszy odemnie — mówi chmura.

Idzie do wiatru, a wiatr mówi, że góra jest silniejsza, gdy go wstrzymuje w drodze.

Zwrócił się więc do góry, która powiada:

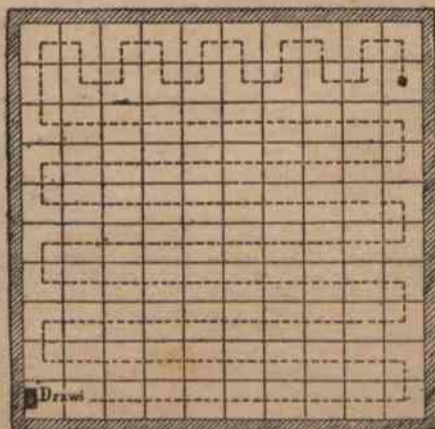
— Czyż nie wiesz, że mysz silniejszą jest odemnie: kopie mnie, dziurawi — ona?

Widząc to, derwisz prosił Allaha, by uczynił dziewczę jego myszą, aby mogła stać się małżonką myszy, która jest silniejsza od góry, wiatru, chmury i słońca...

Rozwiązania nagrodzone pp.: E. Błotnicki z Lipna, Zofja Gintylto z Ranienburga, W. Wudawski z Brodowa. Inne dobre rozwiązania nadeszły pp.: Marja Bujnowska z Moskwy, Florentyna Bartoszevska z Pińczowa, A. Ostrowski z Kotelni, A. Siwodied z Wislicy, Jan Uhle z Zawiercia, Zaborowski z Antonin-

Więzi eń.

Poniżej zamieszczony rysunek przedstawia jedną z dróg, jakie mógł odbyć więzień w celu wydostania się na wolność. Jest wiele innych dróg.



Rozwiązania nagrodzone pp.: Wacław Brajczewski z Fastowa, Rajmund Jaworowski z Radomia, Wincenty Rymaszewski z Rostowa. Inne dobre rozwiązania nadesłali pp.: L. Brzozowski z Briańska, Piotr Bejnar z Chełma, Florent Bartoszewski z Pińczowa, E. Błotnicki z Lipna, Adam Bahr z Antonin, L. Biłek z Lubiszowa, Marja Bujnowska z Moskwy, F. Cieślowski z Ujazdu, F. Cyganiewicz ze Strzemieszyc, Adam Dominiak z Częstochowy, Stefan Duda z Warszawy, B. Frenkler z Płocka, Stanisław Garztecki z Częstochowy, Zofja Gintyło z Ranienburga, Józef Godlewski z Lubar, M. Hładyszewski z Radomia, W. Hirner z Węgrowska, Z. B. J. z Aleks. Pogr., S. Komorowski z Surytyszek, S. Kruszyński z Kamińska, Kopczyński z Białostoków, Adam Kołakowski z Kalisza, A. Krzyżanowski z Płocka, S. Maron z Opatówka, Mieczysław Michałowski z Rakiszek, Maksymiljan Mizgajski z Hleńny, Kazio Maresch z Falentyna, Niepokojczycka z Winnicy, Fr. Nowicki ze Stepania, Kazimierz Nieszokoć z Kowna, A. Ostrowski z Kotelni, Marjan Robakiewicz z Kowla, Kazimierz Roszak z Łodzi, Marja Sudnik z Moskałówki, Edmund Sierakowski z Warszawy, A. Siwodziej z Wiślicy, Józef Sokołowski z Białej Cerkwi, Julja Tykocinerówna z Włocławka, Thoma z Rózan, Jan Uhle z Zawiercia, W. V. zka z Rygi, W. Wudawski z Brodowa, Róża Wilkicka ze Staromyśla, Antoni Witkowski z Żarnowca, Zaborowski z Antonin, R. Zakrzewski z Daszcza, Zdankiewicz ze Szpanowa, Adela Żeligowska z Żytomierza,

Rozwiązanie szachów.

W zadaniu, zamieszczonym w numerze czerwcowym, król czarny zajmuje miejsce C 5, a król biały miejsce F 1.

Białe.

1. Dama H 4 — F 6
2. Skoczek F 3 — D 4
3. Laufer A 5 — B 6
lub Skoczek D 4 — B 3.

Albo:

1. . . .
2. Dama F 6 bierze D 6
3. Laufer A 5 ← B 4

Czarne,

1. G 7 bierze F 6
2. C 5 bierze D 4,
lub inaczej
Mat.

1. G 7 — G 5
2. Król C 5 bierze D 6
Mat.

Odpowiedzi na pytania, zamieszczone w numerze czerwcowym „Miesięcznika.

I.

Adam Asnyk w wierszu p. n. „Odpowiedź przeszłości“, którego urywek zamieściliśmy w n. z., streszcza rozmowę swą

z „duchami przeszłości“, gdzie wyjaśniają mu one źródło szczęścia i pogody u ludzi-obywateli starożytnych. — Poeta ze smutkiem porównywa „słoneczność ducha, z jaką przez ziemię niegdyś szli szczęśliwi“ z goryczą i smutkiem pokolenia współczesnego. Cienie mężów greckich tłumaczą mu przyozynę zjawiska tego: wówczas żył każdy nietylko dla siebie, ale i dla innych.

Każdy krąg swego istnienia rozszerzył,
 Żyjąc w swych ojcach i braciach i synach;
 I całe dzieje swej ojczyzny przeżył.
 W nowych nadziejach i spełnionych czynach,
 I w nieśmiertelność swojej pracy wierzył, —
 W myśl, kielkującą wiecznie na ruinach,
 Co w doskonalszej wschodząc wciąż postać,
 Za trudy ojców potomnym zapłaci.

II.

Twórcą pierwszej biblioteki popularnej był Benjamin Franklin, urodzony d. 17 stycznia 1706 r. w Bostonie w Ameryce Północnej. Dzięki energii i wytrwałości, mimo nędzy, która stała obok kolebki jego, — dorobił się on stanowiska, majątku i najwyższych godności, zdobył sobie u potomnych cześć i wdzięczność. Jako chłopiec drukarski, zebrał on dziesięciu rówieśników i zaproponował im:

— Jeżeli każdy z nas kupi jedną książkę, jeśli je połączymy, to każdy z nas okaże się posiadaczem dziesięciotomowej biblioteki. Jeśli znajdziemy stu towarzyszków, dwustu, trzystu, a każdy jedną tylko książkę nam przyniesie, każdy z członków wspólnej naszej czytelnicy będzie mógł korzystać ze stu, dwustu, trzystu książek.

Był to projekt tak praktyczny, że z zapalem został przyjęty.

Ta pierwsza biblioteka popularna, założona przez drukarza Franklina i jego towarzyszków, istnieje po dziś dzień w Filadelfji, posiadając około miliona tomów.

Celem zakładania podobnych wspólnych czytelnicy, istnieje we Francji towarzystwo imienia Benjamina Franklina.

III.

Henryk Pestalozzi (1746 — 1827) szwajcar, jest jednym z najslawniejszych reformatorów wychowania. Człowiek ten ge-

nialny dokonał przewrotu w sprawie wychowywania dzieci, nazwać go można ojcem oświaty ludowej, twórcą, tak zwanej metody freblowskiej (Frebel był jego uczniem). Życie jego, pełne poświęceń, wielkie i czyste — może i powinno być przykładem wzniosłym dla tych wszystkich, którym nie są obce sprawy wychowawcze.

Za życia hołd mu składali królowie, w Szwajcarii imię jego narówni jest czozone z imieniem Wilhelma Tella.

W czasach najwyższych tryumfów Bonapartego, Szwajcarya wysłała do Paryża deputatów — w celu omówienia formy przyszłego rządu w Szwajcarii. W liczbie deputatów znalazł się Pestalozzi, który nie przestawał myśleć więcej o przyszłości szkoły, niż przyszłości rządu. W Paryżu ohoiał dostać się do Bonapartego, ale wielki wódz odpowiedzieć kazał, że niema czasu na zajmowanie się kwestją abecadła.

Gdy po powrocie do Szwajcarii pytano Pestalozziczego, czy widział Bonapartego, ten odrzekł:

— Nie, nie widziałem Bonapartego, ale i Bonaparte mnie nie widział.

W słowach tych przebija szlachetna duma genialnego, pewnego siebie, ohoć w pewnych razach niezwykle skromnego — reformatora.

Niewiele lat upłynęło, a Europa więcej i nierównie lepiej wspomina Pestalozziczego, niż Bonapartego.

ODPOWIEDZI.

P. J. Gąsienki w Warsz. P. M. Bałuchi w Warsz. Rozwiązania kryzysa nadeszły po d. 23 danego miesiąca, więc—spóźnione.

P. Niepok. w Winnicy. Arytmograf zamieszczony być nie może.

P. Bron. Karw. Rozumie się, że: wódz i prawodawca. Omyłka drukarska.

P. Komorowski. Na zadania z m. marca nagrody nie były wyszaczone, co łatwo sprawdzić. Co do drugiego, sprawdzimy i wyslemy.
